



**LINDA  
WINSTEAD JONES**



***NAWIEDZONY***

# GIDEON

Nazywam się Raintree. To więcej niż nazwisko, więcej niż miejsce na drzewie genealogicznym. To anomalia w moim DNA.

Piętno przeznaczenia.

Mówiąc krótko, magia istnieje. Otacza nas, ale większość ludzi nie potrafi jej dostrzec. Ja zawsze byłem wyczulony na jej przejawy. Mam magię we krwi. Moich przodków nazywano czarodziejami, magami i wróżbitami. Nazywano ich także demonami i diabłami. I jak tu się dziwić, że wieki temu postanowili ukrywać swoje talenty przed światem. Ukrywać, powiedziałem, a nie je pogrzebać. To wielka różnica. Nie można się wyrzec swojej mocy, uciec od odpowiedzialności tylko po to, by nam się łatwiej żyło.

Każdy członek rodu ma unikalny dar. Niektóre z nich są potężne, inne słabe; są też mniej i bardziej użyteczne. Ale wszystkie są nadprzyrodzone. Mój dar jest związany z energią elektryczną. Mogę okiełznać wszelką elektryczność, która nas otacza. Jestem gromowładny. Często przepalam komputery i żarówki, ale nauczyłem się nad tym panować.

Rozmawiam też z duchami, które są po prostu niepojętą dla nas formą energii elektrycznej. To umiejętność przydatna w mojej obecnej profesji.

Ja, Gideon Raintree, jestem w chwili obecnej jedynym policyjnym detektywem w mieście Wilmington w Karolinie Północnej, który specjalizuje się w wykrywaniu sprawców morderstw.

# ***PROLOG***

## ***Niedziela - północ***

Poziom adrenaliny podskoczył jej tak szybko, że Tabby nie była w stanie ustać w miejscu. Szybka wspinaczka po schodach na drugie piętro była wysiłkiem niewartym wzmianki. Skrzywiła się na widok zielonych drzwi, z których płatami odchodziła farba, a numer mieszkania był przekrzywiony. Jaki szanujący się Raintree może mieszkać w takiej norze?

Tabby od dawna na to czekała. Czasem wydawało jej się, że od zawsze. Nie należała do osób cierpliwych, ale wstrzymywała się, czekając na właściwy moment. Wielokrotnie słyszała, że zadanie musi być wykonane w ściśle określonym terminie. I oto wreszcie może zrobić coś, do czego się tak długo przygotowywała. Z pudełkiem pizzy w dłoni zapukała do drzwi, mocno i szybko. Planowała wszystko od roku. Nadszedł czas.

- Kto tam? - spytał niecierpliwie kobiecy głos.

- Pizza - odparła.

Osoba po drugiej stronie zdjęła łańcuch, odsunęła zasuwę i drzwi otworzyły się ze skrzypieniem.

Tabby jednym rzutem oka oszacowała stojącą przed nią dziewczynę. Dwadzieścia dwa lata, metr sześćdziesiąt wzrostu, zielone oczy, włosy ufarbowane na różowo. Ona.

- Myślę, że to pomyłka - zaczęła kobieta, ale nie miała szansy dokończyć zdania.

Nowo przybyła wepchnęła ją do środka. Odrzuciła puste pudełko po pizzy i pokazała nóż, który trzymała w lewej ręce.

- Jedno słowo, a zginiesz - zagroziła, zanim Echo zdążyła wydać z siebie głos.

Oczy dziewczyny zrobiły się okrągłe. Dziwne, ale nie było w nich niczego szczególnego. Jej tęczołki były całkiem przeciętne, szarozielone. A tyle słyszała o charakterystycznych zielonych oczach rodu Raintree.

Jeden cios i zadanie zostanie wykonane. Tabby nie chciała się spieszyć, rozkoszowała się każdą minutą. Była empatką, ale zamiast odczytywać uczucia i myśli innych ludzi, karmiła się ich strachem. Nienawiść i przerażenie miały słodki odurzający smak. Wzmacniały ją. W tej chwili spijała każdą kroplę śmiertelnej zgrozy, jaka emanowała z dziewczyny, i czuła się wspaniale. Czuła się potężna, fizycznie i psychicznie. Aż kręciło jej się w głowie.

- Nie mam pieniędzy - jęknęła żałośnie Echo, coraz bardziej przestraszona. - Dam ci wszystko, czego chcesz.

- Wszystko, czego chcę - powtórzyła Tabby, popychając Echo, aż ta uderzyła plecami o ścianę.

Tak się stanie. To, czego naprawdę chciała, kryje się w głowie dziewczyny. Jej dar przewidywania przyszłości. Jeśli naprawdę jest tak potężny, prorokini nie robiła z niego dobrego użytku, sądząc po tym obskurnym mieszkaniu. Jaka szkoda, że zupełnie wyjątkowy talent marnuje się w takiej roztrzęsionej nieudacznicy.

Tabby czasem śniła o tym, że wchłania w siebie wszystkie talenty swoich ofiar. Teoretycznie było to możliwe, powinno jej się kiedyś udać. Na razie nie potrafiła urzeczywistnić swoich snów. Ale nadejdzie taki dzień, kiedy znajdzie zaklęcia czarnej magii, które przeniosą ją na kolejny etap osobniczej ewolucji.

Byłoby dobrze, gdyby dar profetyczny przeniósł się z duszy małej prorokini do jej własnej. Ta myśl ją podnieciła. Tabby przesunęła koniuszkiem noża po smukłej białej szyi. Na skórze pojawiła się krew. Dziewczyna wydała z siebie jakiś zdławiony odgłos, a strach, który wypełnił pomieszczenie, był mocny i aromatyczny.

Mogłaby się zabawiać z Echo Raintree przez całą noc, ale Cael kazał zabić ją szybko i sprawnie. Podkreślił to parę razy. To nie czas na zabawę.

Jesteś żołnierzem. Wojowniczką. Trzeba odłożyć na bok prywatne upodobania.  
Zdecydowanie nie chciała narazić się Caelowi.

Uśmiechnęła się i cofnęła rękę z nożem. Echo nabrała nadziei, a Tabby pozwoliła jej na złudzenie, że to zwykły napad rabunkowy, który zaraz się skończy.

A to był dopiero początek.

RS

## ***ROZDZIAŁ PIERWSZY***

### ***Poniedziałek - 3.37 rano***

Telefon dzwoniący w środku nocy oznaczał tylko jedno - czyjaś śmierć.

- Gideon Raintree - powiedział zaspanym głosem.

- Przepraszam, że cię budzę.

Zdziwiony, że słyszy głos Dantego, z miejsca oprzytomniał.

- Co się stało?

- W kasynie wybuchł pożar. Mogło być gorzej, ale i tak jest wystarczająco źle. Nie chciałem, żebyś zobaczył to w porannych dziennikach telewizyjnych i niepokoił się o mnie. Zadzwoń za parę godzin do Mercy, daj jej znać, że nic mi się nie stało. W najbliższych dniach będę miał tu urwanie głowy.

Gideon usiadł, całkowicie obudzony.

- Jeśli mnie potrzebujesz, jestem do twojej dyspozycji.

- Dziękuję, ale nie trzeba. Nie powinieneś latać samolotami w tym tygodniu, poza tym wszystko jest w porządku. Chciałem ci dać znać, zanim wpadnę w taki wir rozmów z policją, inspektorami i agentami ubezpieczeniowymi, że nie będę miał ani chwili na telefon.

Gideon przeczesał palcami włosy. Za oknem fale Atlantyku rozbijały się o brzeg i cofały. Ponowił propozycję przyjazdu do Reno. Mógłby wziąć samochód. Ale Dante tylko powtórzył, że ze wszystkim sobie poradzi, i zakończył rozmowę. Gideon nastawił budzik na piątą trzydzieści. Rano zadzwoni do Mercy. To musiał być ogromny pożar, skoro Dante oczekuje, że wzmianka o nim trafi do ogólnokrajowych wiadomości.

Opadł na łóżko. Może jeszcze zdoła zasnąć? Wsłuchał się w monotony szum fal. Za tydzień będzie letnie przesilenie; energię elektryczną, która go przepełniała, było coraz trudniej opanować. Jej niespodziewane erupcje oznaczały najczęściej obecność jakiegoś ducha w pobliżu, ale w najbliższych

dniach nawet bez duchów Gideon będzie stanowił śmiertelne zagrożenie dla wszelkich elektronicznych urządzeń. Może powinien wziąć parę wolnych dni i trzymać się z dala od komendy?

Przymknął oczy i zasnął.

Pojawiła się bez ostrzeżenia, unosiła się nad brzegiem łóżka i uśmiechała do niego. Miała prostą białą sukienkę i rozpuszczone ciemne włosy.

Emma, tak się przedstawiła, bo takie imię będzie nosiła pewnego dnia, pojawiała się zawsze pod postacią dziecka. Nie przypominała innych duchów, które go nawiedzały. Przychodziła tylko we śnie i była nietknięta trudami ziemskiego bytowania. Nie domagała się sprawiedliwości, nie dręczyło jej poczucie, że zostawiła jakieś niezakończony sprawy, nie miała złamanego serca. Zamiast tego przynosiła ze sobą światło, miłość i pokój. Upierała się, by go nazywać tatusiem.

- Dzień dobry, tatusiu.

Gideon westchnął i usiadł. Emma nawiedziła go po raz pierwszy trzy miesiące temu, ale od tego czasu jej wizyty stawały się coraz częstsze. Kto wie? Może w którymś z poprzednich wcieleń był ojcem, ale z pewnością w tym życiu nie miał dzieci i nie zamierzał ich mieć.

- Dzień dobry, Emmo.

- Jestem taka szczęśliwa - rzekła i zaśmiała się. Jej śmiech brzmiał dziwnie znajomo, a radość była zaraźliwa. Powtarzał sobie, że to miłe uczucie zażyłości nie ma żadnego znaczenia.

- Czemu jesteś szczęśliwa?

- Już niedługo przyjdę do ciebie, tatusiu.

- Emmo, kochanie. Powtarzałem ci wiele razy, że nie zamierzam mieć dzieci, więc możesz przestać mnie nazywać tatusiem.

- Nie bądź niemądry, tatusiu. Przecież masz mnie.

Dziewczynka, która mu kiedyś powiedziała, że na tym świecie będzie nosiła imię Emma, miała zielone oczy jego rodziny, jego ciemnobrązowe

włosy i miodową cerę. Ale i tak nie zamierzał wierzyć świadectwu własnych oczu. Przecież to tylko sen.

- Przykro mi, kochanie, ale żeby zostać dzieckiem, trzeba mieć mamusię, a nie tylko tatusia. Tymczasem ja nie znam nikogo, z kim chciałbym się ożenić, więc tym razem musisz sobie wybrać innego ojca.

- Jesteś taki uparty - stwierdziła dziewczynka beztrąsko. - Niedługo przybędę, tatusiu. Sam się przekonasz. Będę w księżycowym promieniu.

Gideon nie stronił od kobiet, ale jego związki nie trwały długo. Zbyt wiele rzeczy musiał ukrywać, by dopuścić partnerkę do prawdziwej bliskości. Żona i dziecko? Mowy nie ma. Wystarczy, że musi się liczyć z nowym szefem, swoją rodziną i nawiedzającymi go duchami. Nie chciał ponosić odpowiedzialności za kolejne osoby. Dlatego kobiety przychodziły i odchodziły, a Gideon pilnował się, by żadna nie stała się dla niego ważna i nie postanowiła zostać na stałe.

To Dante ma obowiązek kontynuować ich ród, spłodzić potomstwo. Gideon spojrzał na szafkę, gdzie leżał ostatni talizman z zaklęciem na płodność, już gotowy do zapakowania i wysłania bratu.

Z chwilą, gdy urodzą się dzieci Dantego, Gideon przestanie być następcą dranira, głowy rodu Raintree. Nie był stworzony do roli przywódcy. Rola dranira przerażała go prawie tak samo, jak rola męża i ojca.

Starszy brat ma teraz wiele innych spraw na głowie, więc należy poczekać parę dni z wysyłką amuletu.

- Uważaj. - Emma zbliżyła się, jakby przesunął ją powiew wiatru. - Ona jest bardzo zła, tatusiu. Bardzo zła. Musisz być wyjątkowo ostrożny.

- Nie nazywaj mnie tatusiem. - I po zastanowieniu dodał: - Kto jest bardzo zły?

- Wkrótce się dowiesz. Uważaj na mój księżycowy promień, tatusiu.

- Promień księżycy - mruknął cicho. - Co za głupstwa...

- Właśnie się zaczęło - szepnęła Emma, rozplywając się w powietrzu.



Zaterkotał budzik i wyrwał Gideona ze snu. Co za dziwaczne majaczenia. Spojrzał do góry, spodziewając się zobaczyć tam małą zjawę. Halucynacje na pograniczu snu i jawy bywają niezwykle realistyczne i trudno się z nich otrząsnąć.

Podszedł do przeszklonych drzwi i otworzył je na oścież. Prowadziły na taras wychodzący na plażę. Widok oceanu dodawał mu sił. Czasem mu się zdawało, że uderzenia fal są zsynchronizowane z biciem jego serca, a w oceanie było tyle elektryczności, że odbierał ją wszystkimi zmysłami.

Musi zadzwonić do Mercy, opowiedzieć jej, co stało się w kasynie. Będzie się martwiła, choć Dantemu nic się nie stało.

Potem powinien pojawić się w pracy. Był pewien, że to Frank Stiles zamordował Johnny'ego Raya Blacka, ale nie miał na to żadnych dowodów. Właściwie powinien wziąć parę dni wolnego, dopóki nie skończy się letnie przesilenie. Mógłby zabrać akta do domu i popracować nad nimi w spokoju. Wtedy przypomniały mu się ostatnie słowa Emmy, jakby znowu szepnęła mu je do ucha: „Właśnie się zaczęło”.

## ***ROZDZIAŁ DRUGI***

### ***Poniedziałek - 10.46 rano***

Małe mieszkanie było całkowicie zdewastowane. Rozbite szkło połyskiwało na beżowym dywanie; książki i bibeloty zostały zrzucone z półek na podłogę, obok nich leżało puste pudełko po pizzy. Ktoś porzwał ostrym narzędziem obicie czerwonej skórzanej kanapy stojącej na środku pokoju. Czy użyto w tym celu tego samego noża, którym została zabita Sherry Bishop? Tego jeszcze nie wiedział.

Gideon patrzył na ciało Sherry, a kobieta za jego plecami mówiła zdenerwowanym, piskliwym głosem.

- Myślałam, że Echo ma zamiar wrócić wcześniej i zamówiła pizzę przez telefon. Nie przyszło mi do głowy... - Parsknęła z irytacją. - Idiotka ze mnie. Moja mama mnie zabije, jak się dowie, że wpuściłam tę świruskę do mieszkania.

Sherry Bishop musiała często używać tej frazy, bo teraz nawet nie zastanowiła się, jak bardzo jest nieodpowiednia. Czy zdawała sobie sprawę z tego, że już nie żyje? Moja mama mnie zabije...

Wyglądała niemal tak, jakby była z ciała i kości, a nie z astralnej materii. Miała na sobie spłowiałe dżinsy biodrówki i koszulkę z dziurą na pępku, by lepiej było widać kolczyk.

Echo znalazła jej ciało rano, po powrocie z Charlotte. Natychmiast do niego zadzwoniła. Diabli wzięli planowany wolny tydzień. Gideon wezwał ekipę techników policyjnych przez telefon, w drodze na miejsce zbrodni. Po przyjeździe uspokoił Echo, wysłuchał jej zeznań i powstrzymał niedoświadczony mundurowy przed wejściem do pokoju i zdeptaniem śladów. Teraz chłopak służbiście przeżył się w korytarzu i tylko zerkał do środka z zaciekawieniem. Ileż minęło czasu od chwili, gdy sam był taki młody?

Czuł na plecach spojrzenia młodszych kolegów. To go nie niepokoiło. Zapracował sobie na opinię dziwaka i było mu z tym dobrze.

- Znałaś ją? - Ciągle nie mógł uwierzyć, że morderstwo i cały ten bałagan były dziełem kobiety, choć dobrze wiedział, że wszystko jest możliwe. Nawet rzeczy niewiarygodne. „Ona jest bardzo zła, tatusiu. Bardzo zła”. Kiedy Emma nawiedziła go we śnie, Sherry Bishop nie żyła już od kilku godzin. Jej ciało zostało okaleczone. Miała odcięty palec wskazujący prawej dłoni, a także wycięty kwadratowy kawałek skóry na głowie, razem z ufarbowanymi na różowo włosami.

- Otworzyłam, wpadła do środka, powiedziała, że nic mi nie zrobi, jeśli będę siedziała cicho, a potem... - Dziewczyna z niedowierzaniem dotknęła szyi i spojrzała na ciało na podłodze. Jej własne ciało. - Ta suka mnie zabiła, prawda?

- Przykro mi. Pomóż mi i opowiedz wszystko, co pamiętasz.

Sherry przyjrzała się zwłokom uważniej.

- Odcięła mi palec? Jak teraz będę grać na perkusji?! - Z westchnieniem opadła na kanapę. - Tak, wiem. Jestem martwa.

- Detektywie Raintree? - Jeden z policjantów zajrzał do pokoju. - Dobrze się pan czuje?

- Jasne. - Nawet się nie odwrócił.

- Wydawało mi się, że coś pan mówił.

Tym razem Gideon zmierzył chłopaka nieprzyjaznym wzrokiem.

- Mówię do siebie. Proszę dać mi znać, gdy się pojawi ekipa techników śledczych.

Usłyszał w korytarzu szlochanie swojej kuzynki. Wszyscy policjanci rzucili się ją pocieszać. Wiedział, że Echo robi to celowo, by mu pozwolili pracować w spokoju. Nie było na świecie faceta, który by nie chciał użyć jej swego męskiego ramienia.

- Nie widzą mnie, prawda? - upewniała się ze smutkiem Sherry.

- Nie.

- Ale ty widzisz?

Skinął głową.

- Dlaczego?

Krew. Geny. Klątwa. Dar. Elektrycy.

- Nie mamy czasu rozmawiać o mnie. - Nie wiedział, ile jeszcze czasu duch Sherry pozostanie na tym świecie. Może parę minut, a może kilka godzin czy nawet dni. Niektóre duchy czekały uparcie, aż ich morderca zostanie ukarany, aż się stanie sprawiedliwość. Nigdy nie był pewien. Duchy są całkowicie nieprzewidywalne. - Opowiedz mi wszystko co wiesz o kobiecie, która na ciebie napadła.

Detektyw Hope Malory wbiegła po schodach starej kamienicy na drugie piętro. Przed drzwiami kłębił się mały tłumek: sześciu policjantów i kilkoro sąsiadów. Wszyscy starali się zajrzeć do środka, jakby to było widowisko. Tylko drobna młoda kobieta z jasnymi włosami, od których odbijały jaskraworóżowe pasemka, trzymała się z tyłu, jakby bała się koszmarnego widoku.

Hope odetchnęła głęboko i wygładziła granatowy żakiet. Zawsze dbała o profesjonalny wygląd. Miała na sobie spodnie, jak wszyscy jej koledzy. W kaburze przy pasku nosiła pistolet, a na szyi zawiesiła odznakę, by uniknąć zbędnych tłumaczeń.

Jedynym ustępstwem na rzecz kobiecości był delikatny makijaż i wysokie obcasy. Chciała wyrzeć dobre wrażenie. Przecież to jej pierwszy dzień w nowej pracy. Z plotek wywnioskowała, że niezależnie od tego, co zrobi, jej nowy partner nie będzie uszczęśliwiony.

Przepchnęła się obok policjantów. Jeden z nich starał się ją powstrzymać.

- Nie może pani tam wejść.

Zatrzymała się w drzwiach i obserwowała detektywa Gideona Raintree przy pracy.

Dokładnie przestudiowała jego akta osobowe. Był nie tylko dobrym policjantem - jego wskaźnik rozwiązanych spraw przyprawiał o zawrót głowy.

Kłęczął przy zwłokach i mówił coś do siebie półgłosem. Zapalona lampa skierowana była na niego jak teatralny reflektor. Wszystkie rolety były zasunięte, więc w pokoju panował półmrok. Scena zbrodni pozostała niezmieniona od wczorajszego wieczoru.

Fotografia Gideona w aktach nie oddawała mu sprawiedliwości. Mogła to stwierdzić, chociaż widziała tylko jego plecy. Był bardzo przystojny, a dobrze skrojony garnitur jedynie to podkreślał. Trochę za długie ciemnobrązowe włosy dodawały mu wdzięku. Zawsze miała słabość do mężczyzn obdarzonych bujną czupryną.

Garnitur wyglądał na drogi; ciekawe, jak sobie mógł pozwolić na taką fanaberię z policyjnej pensji. Może żywi się przez cały rok makaronem z serem? Buty z prawdziwej skóry także nie należały do tanich. Na zdjęciu miał bródkę i wąsy, które nadawały mu wygląd pirata. Gdyby nie odznaka i pistolet, nikt nie wzięłby go za policjanta.

Bezceremonialnie weszła do pokoju, ignorując ostrzeżenia. Gideon poderwał głowę.

- Przecież prosiłem... - Nie dokończył zdania. Patrzył na nią niebywale zielonymi oczami, zdziwionymi i inteligentnymi.

Hope po raz pierwszy miała okazję przyjrzeć mu się z bliska. Takie rzęsy u mężczyzny powinny być zakazane, wiele kobiet zapłaciłoby za nie majątek.

Za jej plecami z trzaskiem pękła żarówka.

- Przepraszam - powiedział, jakby to była jego wina. - Jeszcze nie jestem gotów na wpuszczenie tu ekipy techników. Za parę minut zrobię dla was miejsce.

- Nie jestem z ekipy technicznej.

- W takim razie proszę wyjść.

Hope nie zamierzała pozwolić sobą komenderować. Normalnie przywitałaby go uściskiem ręki, ale miał na sobie białe lateksowe rękawiczki, więc ograniczyła się do wyjaśnienia:

- Jestem Hope Malory, pańska nowa partnerka.

- Mój partner pięć miesięcy temu poszedł na emeryturę. Nie potrzebuję kolejnego. Wychodząc, proszę niczego nie dotykać.

Brakuje tylko, by kazał jej odmaszerować. Gideon zajął się znowu oględzinami zwłok na podłodze, chociaż górne światło było przyćmione. Uwagę Hope przykuły początkowo włosy kobiety. Były mieszanką pasemek jasnych jak słoma i jadowicie różowych. Identyczną fryzurę miała zapłakana dziewczyna w korytarzu. Denatka miała na sobie džinsy i koszulkę z logo lokalnego festiwalu muzycznego. W jednym uchu cztery złote kolczyki, a w drugim jeden. Na palcach pięć pierścionków. Smukłych palcach u obu rąk. Dziewięciu palcach.

Żołądek podszedł jej do gardła. Ktoś obciął ofierze jeden palec. Na głowie była paskudna krwawa rana, jakby ktoś usiłował zerwać kobiecie skalp.

Ten sam ktoś poderżnął jej gardło.

Hope wzięła głęboki oddech, by się uspokoić, ale najwyraźniej nie był to dobry pomysł. Śmierć nie wygląda ładnie i nie pachnie ładnie. Widziała wcześniej zwłoki ludzkie, jednak nigdy nie były to ciała złośliwie zbezczeszczone, tak świeże. Trudno było zachować zimną krew.

- Widzę, że pani nie ma zamiaru stąd iść - westchnął Gideon Raintree.

Hope pokręciła głową i starała się niepostrzeżenie zakryć dłonią nos i usta.

- W porządku. Ofiarą jest Sherry Bishop, lat dwadzieścia dwa. Samotna, bez stałego partnera. Bez majątku, więc rabunek jest mało prawdopodobnym motywem zbrodni. Była perkusistką w lokalnym zespole muzycznym i kelnerką w kawiarni na bulwarze. To drugie zajęcie było podstawowym źródłem utrzymania.

- Skoro grała w zespole, może prześladował ją jakiś maniakalny wielbiciel  
- zasugerowała.

- Jej zabójczynią jest leworęczna blondynka z długimi włosami.

- Jakim cudem doszedł pan do tego wniosku w ciągu dwudziestu minut?

- Piętnastu. - Wyprostował się.

Mierzył ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, metr osiemdziesiąt pięć według akt osobowych.

Hope musiała zadzierać głowę, by mu spojrzeć w oczy. Miał smagłą cerę, a jego oczy były intensywnie zielone. Broda i wąsy nadawały mu nieco diaboliczny wygląd, co przydawało mu uroku. Kiedy tak patrzył na nią spod przymrużonych powiek, wyglądał na surowego inkwizytora, który ma serce równie twarde jak mordercy, których ściga. Hope opuściła wzrok na jego niebieski jedwabny krawat.

- Kąt zadania rany wskazuje na to, że morderczyni trzymała nóż w lewej ręce - wyjaśnił. - Jestem pewien, że sekcja to potwierdzi.

Z tego, co jej mówiono, Gideon zawsze był pewny siebie. I zawsze miał rację.

- Powiedział pan „morderczyni”. Skąd pewność, że to kobieta?

- Na ubraniu ofiary jest jeden długi jasny włos. Byłoby możliwe, ale bardzo mało prawdopodobne, że należy do mężczyzny. Dlatego zakładam, że była to kobieta.

W porządku. Trzeba przyznać, że jest spostrzegawczy. Zna się na rzeczy.

- Skąd tyle detali na temat prywatnego życia tej dziewczyny? -

Perkusistka, bez chłopaka, kelnerka w kawiarni. Rozejrzała się po pokoju, ale nie znalazła niczego, co pozwoliłoby na wyciągnięcie podobnych wniosków.

- Sherry Bishop była współlokatorką mojej kuzynki Echo.

Hope starała się udawać, że zbrodnia nie wywołuje na niej wrażenia, ale zapach krwi przyprawiał ją o mdłości.

- To pani pierwsze zabójstwo?

Hope przytaknęła.

- Jeśli jest pani niedobrze, proszę wymiotować w korytarzu. Nie chcę, żeby pani zanieczyściła moje miejsce zbrodni.

- Z pewnością nie utrudnię zbierania dowodów.

- Świetnie. Jeśli chce pani zostać, proszę przesłuchać sąsiadów. Może ktoś coś słyszał wczoraj w nocy albo dziś nad ranem.

Hope wykonała w tył zwrot i uciekła z pokoju, zostawiając Gideona z martwą kobietą. Najwyraźniej czuł się lepiej w jej towarzystwie niż w towarzystwie swojej nowej partnerki.

Pani detektyw zajęła się wścibskim sąsiadem, a technicy robili zdjęcia i zbierali ślady na miejscu zbrodni. Gideon przysiadł z Echo na schodach prowadzących na trzecie piętro.

- Jest tutaj? - spytała cicho kuzynka.

Nikt nie zwracał na nich uwagi, ale oboje wiedzieli, że to nie potrwa długo.

- Siedzi tuż za nami.

Echo zerknęła przez ramię, chociaż nie spodziewała się zobaczyć ducha.

- Przykro mi. Powinam była się domyślić. Jego kuzynka miała dwadzieścia dwa lata. Była niebywale utalentowana - zarówno jako gitarzystka, jak i prorokini - chociaż miała zbyt mało kontroli nad swoim darem. Nie potrafiła wskazać miejsca, w którym znajdował się zgubiony portfel, albo odpowiedzieć na pytanie, czy w przyszłym roku stanie na ślubnym kobiercu. Niczym starożytna Kasandra przewidywała katastrofy. We śnie widziała trzęsienia ziemi i powodzie. Wszystkie jej koszmary spełniały się w rzeczywistości.

Gideon miał słabą zdolność do jasnowidzenia i nie był w stanie wpływać na rzeczywistość. Jego intuicja i instynkt były odrobinę bardziej wyostrzone niż u normalnego człowieka, ale nie miewał katastroficznych wizji. Nie śnił o kataklizmach i nie doświadczał ich tak, jakby działały się wokół - a on jako bezsilny świadek mógł je obserwować, a nie był w stanie im zapobiec. W porównaniu z proroczym talentem Echo jego codzienne obcowanie ze zmarłymi było kaszką z mleczkiem.



- Nie cierpiała - zapewnił kuzynkę i przytulił ją do siebie. - To wszystko stało się tak szybko, że nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Co za bzdury - zaprotestowała Sherry kwaśno. - Bolało jak wszyscy diabli!

Na szczęście słyszał ją tylko Gideon.

- Dlaczego ktoś miałby zabić Sherry? - Echo przestała szlochać, ale po jej twarzy spływały łzy.

- Wszyscy ją lubili.

- Nie wiem. - Miał pewien pomysł i bardzo mu się on nie podobał, ale nie był w stanie pozbyć się uczucia niepokoju. Sherry nie rozpoznała morderczyni.

Nigdy nie podejrzewała, że coś jej może zagrażać. Nie było żadnego logicznego wytłumaczenia, dlaczego leżała martwa we własnym mieszkaniu, tak bestialsko okaleczona.

Odkąd przeprowadził się do Wilmington cztery lata temu, nie zdarzyło mu się, by ofiara nie znała wcześniej swojego mordercy. Najczęstszym powodem zabójstw były narkotyki, ale zdarzały się też zbrodnie w afekcie. Psychopatyczny nieznajomy zdarza się rzadko, a tu na prowincji prawie wcale. Pominąwszy kilka wyjątków nagłośnień w prasie, doświadczenie podpowiadało mu, że sprawców należy szukać w najbliższym otoczeniu denata.

Nie chciał wystraszyć swojej kuzynki, ale nie mógł lekceważyć faktu, że jej życie może być zagrożone.

- Czy miałaś ostatnio wizje, które mogłyby cię narazić na niebezpieczeństwo?

Echo była bardzo bystra.

- Myślisz, że osoba, która zabiła Sherry, tak naprawdę polowała na mnie?

- O jasna cholera! - zakląła Sherry. - Nie powinnam była farbować włosów na blond i różowo, tak jak Echo. Uznałyśmy, że to będzie dobrze wyglądało na scenie. Znak rozpoznawczy zespołu. - Wydęła wargi. - Myślałyśmy, że to takie słodkie.

- To po prostu jedna z możliwości - zauważył Gideon. - Posłuchaj, i tak nie możesz tu mieszkać przez najbliższe dni. Chcę, żebyś sobie znalazła spokojne miejsce, w którym się zatrzymasz, i została tam, dopóki nie rozwiąże tej sprawy. Gdzie są twoi rodzice?

- W St. Moritz. Łatwo zgadnąć.

- Trochę za daleko. - Poza tym rodzice Echo wpadali w panikę w kryzysowych sytuacjach. - Zatrzymaj się u mnie na parę dni.

Dziewczyna westchnęła i podparła głowę rękami.

- W przyszły weekend mamy występy, ale do tego czasu jestem wolna. Mogę wziąć urlop w kawiarni, pojechać do Charlotte i do piątku pomieszkać u Deweya.

Dewey. Świetny pomysł. Chłopak był chudym jak tyczka i kompletnie zwariowanym saksofonistą, który od dawna podkochiwał się w jego kuzynce, choć ona zarzekała się, że są tylko przyjaciółmi. Parę dni w jego towarzystwie to z pewnością lepsze rozwiązanie niż pozostanie na miejscu i ryzykowanie, że prawdziwym celem morderczyni nie była Sherry, tylko Echo.

- Przed powrotem zadzwoń. Niewykluczone, że będziesz musiała odwołać występ.

Nawet nie próbowała protestować.

- Może powinnyśmy zawiesić działalność na kołku. Nigdy nie znajdziemy perkusistki tak dobrej jak Sherry. A jeśli nawet, to i tak nie będzie to samo.

Gideon rzadko widywał swoją kuzynkę. Był od niej dwanaście lat starszy, nie mieli wspólnych zainteresowań. W dodatku potrafiła być nieco dzika i miała pomysły, których nie akceptował, chociaż za młodu sam nie był święty. Ale byli rodziną i starał się utrzymywać z nią kontakty. Parę razy poszedł nawet do jakiegoś zadymionego klubu posłuchać jej zespołu. Jak na jego gust, muzyka była za głośna i zbyt agresywna, ale dziewczyny świetnie się bawiły.

Miała rację. Już nigdy nie będzie tak samo.

- Wyglądasz na zmęczoną.

Echo wzruszyła wątlými ramionami.

- Nie spałam przez całą noc, bo nie chciało mi się wstawać rano, żeby dojechać do domu z Charlotte. Wiesz, jak nie lubię rannego wstawania. A musiałam wrócić, bo po południu przypada moja zmiana w kawiarni. Więc zamierzałam przyjechać, wykapać się i zrobić coś do jedzenia. - Głos jej się załamał. - Powinnam zadzwonić do Marka i uprzedzić go, że dzisiaj nie przyjdę do pracy, a Sherry nie będzie... no wiesz.

Trudno było powiedzieć na głos, że Sherry Bishop już nigdy tam się nie pojawi.

Gideon podał dziewczynie klucze do domu.

- Przed wyjazdem zdrzemnij się u mnie ze dwie godziny. W tym stanie nie powinnaś prowadzić.

Wsunęła klucze do kieszeni.

- I pilnuj, żeby komórka była zawsze włączona - dodał na pożegnanie.

Nikt z jego rodu nie przyznawał się publicznie do swoich talentów, ale może ktoś zorientował się w profetycznych zdolnościach Echo i pragnął ją uciszyć? Bał się tego, co dziewczyna widziała albo mogła zobaczyć w swoich snach? Ale dlaczego morderczynie odcięła palec i oskalpowała swą ofiarę? Ta sprawa nie przypominała żadnej, z którymi dotąd miał do czynienia. Mógł jedynie stawiać pytania. Budować hipotezy. Wysnuwać z nich kolejne pytania.

Sherry Bishop snuła się za nim krok w krok.

- Znajdziesz kobietę, która mi to zrobiła?

- Taki mam zamiar.

- To jest cholernie niesprawiedliwe. Miałam plany na życie. Wielkie plany. Miałam nadzieję, że któregoś dnia umówisz się ze mną na randkę. Wiem, że jesteś starszy, ale niezłe z ciebie ciacho.

- Dziękuję, to mi pochlebia - wymamrotał.

- I nie miałam szansy włożyć nowych butów. Są odlotowe, a kupiłam je na wyprzedaży. - Westchnęła. - Powiedz Echo, że może je sobie wziąć.

- Powiem jej.

Na podeście schodów przystanął. Jego partnerka rozmawiała ze starszą kobietą o kędzierzawych siwych włosach. Lubił pracować w pojedynkę. Łatwiej mu było rozmawiać ze zmarłymi. Jego ostatni partner traktował głośne mówienie jako dziwactwo swego kolegi i dobrodusznie akceptował fakt, że Gideon często działa na podstawie przeczucia. Hope Malory nie sprawiała wrażenia osoby tolerancyjnej i wyluzowanej. Chyba nie potrafi zaakceptować rzeczy, których nie rozumie.

Lubił kobiety. Nie miał zamiaru żenić się ani szukać poważnych związków, ale to nie znaczy, że prowadził życie mnicha. Większość kobiet miała jakąś cechę, która przykuwała męską uwagę i sprawiała, że chciało się je lepiej poznać. Hope Malory była niezwykle atrakcyjna.

Więcej, była klasyczną piękną. Czarne włosy do ramion jedwabistymi puklami okalały twarz. Miała bladą karnację i nieskazitelną cerę, wielkie, niemal granatowe oczy o spokojnym spojrzeniu, różowe wargi. Była wysoka, długonoga i szczupła, a jednocześnie zaokrąglona we właściwych miejscach. Miała twarz anioła, wysportowane ciało, a broń nosiła jak osoba, która potrafi jej użyć, kiedy trzeba. Czy nie czyni to z niej chodzącego ideału? Elektryczność przeszła jego ciało. Światła w korytarzu zamigotały. Dobrze, że tym razem nie pękła żadna żarówka.

- Złapiesz ją? - upewniała się Sherry.

- Czemu miałbym ją łapać? Nie zamierzam się za nią uganiać. Jest ładna, ale nie w moim typie, a poza tym nigdy nie miesza pracy z życiem prywatnym.

- Na miłość boską, Raintree. Zaczynaj myśleć głową, a nie innymi częściami ciała - upomniała go ostro Sherry. - Nie mówię o twojej nowej partnerce, tylko o tej babie, która mnie zabiła.

- Będę się starał - odparł, nie odrywając wzroku od notującej coś Malory.

- Echo twierdzi, że jesteś najlepszy.

- Naprawdę?

- Tak. I lepiej się pospiesz.

Gideon odwrócił się w kierunku Sherry Bishop. Stawała się coraz bardziej przezroczysta. Niedługo się rozplynie, znajdzie wieczny spokój i szczęśliwość. Taka jest kolej rzeczy, ale kiedy już przejdzie do innego wymiaru, komunikacja z nią stanie się bardzo trudna albo zupełnie niemożliwa.

Malory skierowała się w jego stronę. Poruszała się z gracją i pewnością siebie. Był przekonany, że sporządzane przez nią notatki były zawsze czytelne, uporządkowane i kompletne.

- Niestety, pani Tarleton, która mieszka obok, jest prawie całkowicie głucha, a drugi sąsiad wrócił do domu nad ranem. Nikt niczego nie widział ani nie słyszał. Wszyscy lubili Sherry Bishop i pannę Raintree, nawet jeśli są, jak to określiła pani Tarleton, młode i narwane. Może powinnam przesłuchać teraz pańską kuzynkę.

- Nie.

Spojrzała na niego pytająco.

- Już rozmawiałem z Echo.

- Jest pan z nią spokrewniony, a to wyklucza obiektywizm. Poza tym jest pan mężczyzną.

- Czy to grzech?

- Chciałam tylko powiedzieć, że mnie może się zwierzyć z czegoś, co przed panem zataiła.

- Wątpię.

To ją zirytowało.

- Czy nie powinien pan komuś przekazać tej sprawy? Jest pan w nią osobiście zaangażowany.

- Spotkałem Sherry Bishop raz, a może dwa razy w życiu. Trudno to nazwać osobistym zaangażowaniem.

- Mówię o pańskiej kuzynce. Dopóki tego nie wykluczemy, jest naszą główną podejrzaną.

- Moja kuzynka nie jest zdolna do wyrządzenia krzywdy drugiemu człowiekowi.

- Co ona sobie wyobraża! - wtrąciła się Sherry. - Jak śmie insynuować, że Echo jest zbrodniarką?

- Nie jest pan bezstronny - upierała się Malory.

- Jeśli to panią uspokoi, w pierwszym rzędzie ustalimy alibi mojej kuzynki. Kiedy wyeliminujemy ją z listy podejrzanych, zarzut braku obiektywizmu stanie się bezprzedmiotowy.

- Nie widzę powodu, żeby był pan gburem. Gideon pochylił się ku niej i przyciszył głos.

- Detektywie Malory, jeśli uparła się pani zostać moją nową partnerką, to chyba nic na to nie mogę poradzić. Przynajmniej nie w tej chwili. Ale proszę zrobić nam obojgu przysługę i zacząć się zachowywać jak detektyw, a nie mała dziewczynka.

Nozdrza jej zadrgały. Trafił w czuły punkt.

- Nie jestem małą dziewczynką, to pan jest...

- Gburem. To słowo nie jest używane przez prawdziwych mężczyzn.

- W porządku - stwierdziła ostro. - Od teraz będę chrząkać i spluwać, i drapać się po tyłku. Może wtedy będę pasowała do środowiska prawdziwych mężczyzn.

- Założę się, że laska taka jak ona nigdy się nie drapie po tyłku - zachichotała Sherry.

Raintree nie zamierzał przyznać, że zachowanie Hope Malory nie ma tu większego znaczenia. Chodzi o to, że był gotów stracić dla niej głowę. Musi się jej pozbyć. Jak to mówią - co z oczu, to z serca. W końcu nie jest jedyną ładną kobietą w całym mieście.

Nie potrzebował partnera, zawsze był samotnikiem. To się nie może udać.

Malory się długo nie utrzyma na tym stanowisku.

## ***ROZDZIAŁ TRZECI***

### ***Poniedziałek - 2.50 po południu***

- Lunch? - Gideon zerknął na swoją partnerkę i włączył kierunkowskaz.

Podmuch wiatru zniszczył starannie ułożoną fryzurę Hope Malory.

Powinien podnieść dach swojego kabrioletu, ale nie zamierzał jej ułatwiać życia. Uparła się, że z nim pojedzie, a on uparł się, że będzie prowadził. Lepiej, żeby się nie dowiedziała z pierwszej ręki, co by się stało z jej nowym, naładowanym elektroniką autem, gdyby Gideon znalazł się zbyt blisko w nieodpowiednim momencie.

- Myślałam, że chciał pan porozmawiać z właścicielem klubu! - Podniosła głos, by przekrzyczeć hałas.

- Nie zastaniemy go przed czwartą. - Zdążyli już przesłuchać Marka Nelsona, który prowadził kawiarnię, w której Bishop i Echo pracowały przez ostatnich siedem miesięcy. Nie wniósł niczego do sprawy, ale Gideon zamierzał rozejrzeć się tam wieczorem. Może zabójca przyjdzie, ciekawy reakcji otoczenia na śmierć Sherry.

- W porządku - zgodziła się niechętnie Hope Malory. - Właściwie mogę coś zjeść.

Gideon mógł tylko się domyślać, że widok zamordowanej kobiety skutecznie odebrał jej apetyt.

Po kilku skrętach w wąskich staromiejskich uliczkach zaparkował przed kawiarnią Mama Tanya's. Było późne popołudnie, więc większość stałych bywalców zdążyła zjeść lunch wcześniej. Parking był opustoszały.

- Gdzie właściwie jesteśmy? - spytała podejrzliwie Hope, mierząc wzrokiem cementowy bunkier, któremu przydałaby się solidna renowacja.

- U Mama Tanya's - odparł. - Najlepsza afroamerykańska kuchnia w całym mieście.

Szła za nim, choć wysokie obcasy zapadały się w miękką ziemię.

- Jeśli stara się pan mnie zniechęcić... - zamruczała z pogroźką w głosie.

Gideon zignorował to i wszedł do kiepsko oświetlonego pomieszczenia.

Nie żartował, chwalać restaurację. To miejsce miało dobrą aurę, przychodzili tu dobrzy ludzie. Nawet duchy zmarłych były tu szczęśliwe.

- Detektyw Raintree - powitała go Tanya we własnej osobie, z szerokim uśmiechem na pokrytej zmarszczkami twarzy. - Podać to co zwykle?

- Jasne. - Skierował się do swojego ulubionego stolika.

- A dla pani, młoda damo? - Tanya przyjrzała jej się bacznie.

- Sałatę. Z sosem winegret.

Na twarzy szefowej kuchni odbiło się zdziwienie. Gideon tylko machnął ręką.

- Dla niej to samo co dla mnie.

Hope chciała zaprotestować, ale powstrzymała się.

- A jeśli nie będzie mi smakować? - powiedziała, gdy Tanya zniknęła w kuchni.

- Nie ma obawy.

Po raz pierwszy znaleźli się sami, w spokojnym miejscu. Gideon przyjrzał się swojej towarzyszce. Włosy miała potargane po przejażdżce kabrioletem. Przygładziła je ręką, ale nie szukała lustra, by sprawdzić, jak wygląda. Miała zarumienione policzki, bystre spojrzenie. Czujna i bezlitosna. Niezwykle atrakcyjna.

I wściekła.

- Co pani tu właściwie robi? - zapytał.

- Czekam na sałatę.



- Co robi kobieta taka jak pani w Wilmington? To mały posterunek. Znam tu wszystkich detektywów i wszystkich policjantów. Nie jest pani tutejsza, więc kto wpadł na ten idiotyczny pomysł i przydzielił mi taką partnerkę?

- Przeniosłam się z Raleigh. Pracowałam przez dwa lata w obyczajówce. To zaskakujące. Nie wyglądała na osobę, która zdążyła mieć dwuletnią praktykę w policji.

- Ile właściwie ma pani lat?

- Dwadzieścia dziewięć. - Nie wyglądała na urażoną tym obcesowym pytaniem.

Szybko awansowała. Ambitna, inteligentna, może nawet odrobinę zbyt nastawiona na karierę.

- Czemu się pani przeniosła?

- Moja matka mieszka w Wilmington. Tęskniła, więc zdecydowałam się wrócić do domu.

- Choruje?

- Nie. - Hope źle się czuła w tym krzyżowym ogniu pytań. Kręciła się na krześle, wyraźnie nienawykła do omawiania swoich prywatnych spraw z obcym.

- W zeszłym roku upadła. Było więcej strachu niż rzeczywistej szkody. Skręciła nogę w kostce i przez parę tygodni kuśtykała o kulach.

- Niepokoiła się pani o nią. - Oczywiście, że tak. Hope Malory jest odpowiedzialna, poważna i bezkompromisowa. Jeśli cokolwiek złego działo się z jej matką, czuła się za to osobiście odpowiedzialna. Decyzja o przeniesieniu się wydawała się naturalną konsekwencją jej charakteru.

- Martwiłam się - przyznała. - A co z panem? - Szybko zmieniła temat. - Ma pan w pobliżu rodzinę? Poza kuzynką Echo, oczywiście.

Ludzie zadający zbyt wiele pytań zawsze działali mu na nerwy. Co ją obchodzi jego rodzina? Z drugiej strony, pierwszy wszedł na tematy osobiste. Zamiana ról była w tym wypadku usprawiedliwiona.

- Mam siostrę i małą siostrzenicę. Mieszkają w zachodniej części stanu, parę godzin jazdy stąd. Mój brat mieszka w Nevadzie, a bliżsi i dalsi kuzyni są wszędzie, gdzie tylko się obróć.

Wreszcie uśmiechnęła się do niego. Bardzo miło. Może nie jest taka śmiertelnie poważna, za jaką chce uchodzić.

- A rodzice?

- Nie żyją. Raptownie spoważniała.

- Przepraszam.

- Zostali zamordowani, kiedy miałem siedemnaście lat - odparł, nie okazując emocji. - Chciałaby pani jeszcze o coś zapytać?

- Nie zamierzałam wtrącać się w nie swoje sprawy.

Oczywiście, że nie miała takiego zamiaru, ale jego bezceremonialność skutecznie zabiła rozmowę. Ulżyło mu. Ta kobieta bez wysiłku mogłaby wyrzucić jego życie do góry nogami. Przeróżające.

Tanya postawiła przed nimi dwa talerze wypełnione po brzegi i dwie wysokie szklance z mrożoną herbatą.

- Raintree - szepnęła Hope Malory, choć Tanya nie mogła ich usłyszeć - wszystko na moim talerzu poza sałatką z rzepy jest smażone.

- Jasne - odparł. - I pyszne.

Zabrali się za jedzenie. Hope nie była przekonana, czy będzie jej smakowało, ale po paru kęsach wyraźnie się odprężyła i jadła z apetytem. Gideon z ulgą powitał chwilę ciszy, choć teraz z kolei dziwiło go, jak dobrze się czuł w jej towarzystwie.

Nie chciał mieć partnera. Leona tolerował przez trzy i pół roku i pod koniec stworzyli całkiem zgrany zespół. Gideon prowadził dochodzenie i rozwiązywał zagadki; Leon załatwiał całą papierkową robotę i brał na siebie różne drobiazgi. Pod koniec dnia każdy miał poczucie dobrze wykonanej roboty i wszyscy byli szczęśliwi. Z Hope Malory nie pójdzie tak łatwo.

- Ona już wcześniej zabijała ludzi - stwierdził nieoczekiwany przybysz.

Przy sąsiednim stoliku pojawiła się nagle Sherry Bishop. Jej postać była bardzo rozmazana, ale ciągle rozpoznawalna.

- Ta kobieta, która mnie zabiła - kontynuował duch - wcale się nie denerwowała. Nie była nawet niespokojna, tylko niecierpliwa. Jakby nie mogła się doczekać, tak jak my z dziewczynami przed występem. Myślę, że zadawanie bólu sprawia jej przyjemność.

- Raintree, dobrze się pan czuje? - spytała zaniepokojona Hope.

Gideon podniósł ostrzegawczo palec, by wymusić milczenie.

- Jeśli będzie mi pan wygrażał palcem, to go złamię - prychnęła wściekła policjantka.

Sherry Bishop zniknęła równie niespodziewanie, jak się pojawiła. Gideon odwrócił się do rozzłoszczonej kobiety.

- Przepraszam. Staralem się myśleć.

- Ma pan dziwny sposób myślenia.

- Już mi to mówiono.

Coś w jej twarzy się zmieniło.

Zmiękł wyraz oczu, złagodniał wyraz zaciśniętych ust, ale pojawiło się coś gorszego niż gniew. Ciekawość.

- Najwyraźniej to działa. Jak pan to robi?

- W jaki sposób myślę? - Dobrze wiedział, o co go spytała, ale to była strefa tabu.

- Nigdy nie spotkałam się z detektywem, który doprowadził do końca każde śledztwo i złapał każdego zabójcę. Poza jedną sprawą w zeszłym roku ma pan piękny dorobek: stuprocentową wykrywalność.

- Wiem, że mordercą w tamtej sprawie jest Stiles. Tylko nie potrafię tego udowodnić. Jeszcze nie.

- Skąd pan to wie?

Najłatwiej byłoby udzielić wykrętnych odpowiedzi. Powołać się na umiejętność dostrzegania drobiazgów, które inni przeoczyli, wybitne zdolności

dedukcyjne, zawziętość, z jaką rozpracowywał każdą sprawę. Wszystko to prawda, ale nie mógł pominąć najważniejszego.

- Rozmawiam ze zmarłymi.

Hope zareagowała spontanicznie, acz przewidywalnie. Wybuchem śmiechu. Ten śmiech w czarujący sposób zmienił jej twarz. W oczach zamigotały wesołe iskierki, policzki się zarumieniły, a kąciki różowych ust uniosły do góry. Gideon znowu uświadomił sobie, że w jej towarzystwie czuje się tak, jakby znali się od zawsze. Nawet śmiech wydawał się znajomy. Mógłby do tego wszystkiego przywyknąć, a właśnie na to nie mógł sobie pozwolić.

Na widok domu należącego do Gideona w Hope odżyły różne nieładne podejrzenia.

Dwupiętrowy jasnoszary budynek w stylu kolonialnym, tak charakterystyczny dla Karoliny, stojący wśród podobnych willi tuż przy plaży, nie mógł zostać zakupiony z pensji policjanta. To była najładniejsza miejscowość na całym wybrzeżu, a Gideon miał jeden z największych i najelegantszych domów. Hope przeprowadziła już wcześniej własne dochodzenie i wiedziała, ile za to miejsce zapłacił cztery lata temu.

Na końcu krótkiego asfaltowego podjazdu znajdował się garaż na trzy samochody. Sprawdziła, że miał mustanga z 66 roku, czyli ten kabriolet, którym przyjechali, niebiesko-kremowego chevroleta z 57 roku i dodge'a challengera w kolorze czerwonym.

Policjant nie może być tak nieomylny jak Gideon. Większość morderstw, z którymi miał do czynienia, wiązała się z handlem narkotykami. Może jakiś wysoko postawiony i majątny diler kupił sobie swojego człowieka w policji? Czyżby jej nowy partner był na usługach bossa podziemia narkotykowego w Wilmington?

„Rozmawiam ze zmarłymi”. W życiu nie słyszała większej bzdury!

Domy stojące na morskim wybrzeżu były imponujące, ale ziemia w tej okolicy była wyjątkowo droga, więc stawiano je blisko siebie. Jeden kolorowy

budynek obok drugiego. Pomalowany na jasnoszary kolor dom Gideona wyróżniał się dobrym smakiem. Czy nikt do tej pory nie zadawał pytań na temat luksusu, w jakim żyje?

Każdy znany jej detektyw chciał pracować w wydziale zabójstw. To jest najbardziej prestiżowy dział w każdej komendzie. A jednak pięć miesięcy po odejściu jego partnera na emeryturę nie przydzielono mu nowego detektywa. Szef jej powiedział, że inni policjanci nie chcieli z nim pracować. Uważali, że musieliby zawsze grać drugie skrzypce, gdyż to Gideon będzie niekwestionowaną gwiazdą w tym zespole. Poza tym było tajemnicą poliszyneła, że Raintree zawsze pracuje sam i nikt nie chciał psuć czegoś, co przynosi tak dobre efekty.

Hope nie miała takich oporów. Zamierzała patrzeć mu na ręce i zadawać kłopotliwe pytania.

Może istniało jakieś dobre wytłumaczenie dla wszelkich jej wątpliwości, ale na razie go nie usłyszała. Musi dotrzeć do jądra prawdy, zanim się zaangażuje w to partnerstwo. Zanim mu zaufa i w pełni go zaakceptuje.

Jej mały paluszek mówił jej, że Raintree kłamie. Łże zawsze jak najęty. Jest mężczyzną - innego dowodu nie potrzebowała. Należy tylko zapytać, jak bardzo jest uwikłany we własne kłamstwa.

Zaparkowała swoją niebieską toyotę przy ulicy, przed domem, w którym odbywało się jakieś przyjęcie i jeden więcej samochód nie zwróci niczyjej uwagi. Do domu Gideona ruszyła spacerkiem. Było już późno, więc pewnie nie wpadnie na nic podejrzanego, ale ciekawość nie dawała jej spać.

Matka i tak nie kładła się przed drugą w nocy, a mieszkanie nad sklepem nie należało do największych, więc trudno było zasnąć, nawet gdy człowiek był zmęczony.

Dom, drogie garnitury, samochody... Raintree zdecydowanie macza w czymś palce.

Jego poprzedni partner, Leon Franklin, był czysty jak łąza. Miał trochę pieniędzy w banku, ale nie za dużo. Jego dom był niewielki. Wszyscy w wy-

dziale powiedzieli jej, że to Gideon stanowił w tym duecie mózg. Dostawali wszystkie morderstwa w Wilmington i jak roboty dostarczali sprawców. To nienormalne.

Ukryła się w ciemnym przejściu między domem Gideona a jaskrawożółtym domem po sąsiedzku. Ubrała się na czarno, by się wtapiać w cień. Nie zamierzała zaglądać mu przez okno do sypialni, ale im więcej będzie wiedziała o tym facecie, tym lepiej dla niej.

Jej uwagę zwrócił jakiś ruch na plaży. O wilku mowa. Gideon Raintree wracał z nocnej kąpieli w oceanie. Mokre włosy przylegały mu do czaszki, woda kapiała z mokrego ciała. Prosto z piasku wskoczył na chodnik prowadzący prosto na taras.

Kiedy znalazł się w kręgu światła, na moment wstrzymała oddech. Był półnagi. Miał na sobie tylko mały srebrny talizman na piersi i dzinsy opierające się na biodrach, z nogawkami obciętymi w połowie.

- Gideon! - zawołał do niego śpiewny głos z żółtego domu.

Zatrzymał się w pół kroku i uśmiechnął do blondynki, która pozdrawiała go z balkonu. Przez cały dzień, który spędzili w swoim towarzystwie, do niej w ten sposób ani razu się nie uśmiechnął.

- Witaj, Honey.

- Urządzamy przyjęcie w sobotę wieczorem. Dasz się zaprosić?

- Dziękuję, ale pewnie nie będę mógł. Prowadzę śledztwo.

- Ta dziewczyna, o której mówili w wiadomościach? - Uśmiech zniknął z twarzy blondynki.

- Tak.

- Do soboty będziesz miał sprawę rozwiązaną. - Do rozmowy włączyła się brunetka, która stanęła obok Honey.

- Jeśli tak, na pewno wpadnę.

Obie kobiety wychylały się z balkonu. Miały na sobie mikroskopijne kostiumy bikini i obie wdzięczyły się do swojego sąsiada.

Gideon jest łakomym kąskiem dla takich bezmózgich salonowych laleczek, które nie mają nic innego do roboty, jak całymi dniami pielęgnować swą opaleniznę. Ma wszystko, czego szukają w mężczyznach: prezencję, konto, wdzięk i pewność siebie. A do tego zielone oczy, pięknie zarysowane kości policzkowe i wygląd boga seksu, który właśnie wyszedł z morskiej piany. Dosyć, by przyprawić o drżenie serca każdą niemądrą kobietę.

Hope nigdy nie była niemądra.

- A może wpadniesz teraz na drinka? - zapytała Honey, jakby właśnie wpadła na ten pomysł, chociaż przyszedł on jej do głowy wtedy, gdy przez okno zobaczyła sąsiada wracającego z plaży.

- Dziękuję, ale nie mogę. Mam towarzystwo. - Spojrzał w miejsce, gdzie stała Hope, choć przecież nie mógł jej zobaczyć w ciemnościach.

Hope wstrzymała oddech. Z pewnością nie chodzi o nią. Czeką na kogoś innego albo powiedział tak, by się wykręcić. Swoją drogą, jaki mężczyzna odrzuciłby zaproszenie na „drinka” w towarzystwie Honey i jej czarnowłosej towarzyszkii?

- Towarzystwo?

- Tak. Mojego nowego partnera.

Hope zaklęła pod nosem, a on uśmiechnął się, jakby ją usłyszał. To wszystko jest nieprawdopodobne. Jakim cudem domyślił się, że tu stoi?

- Przyrowadź go. Im więcej gości, tym lepiej - zawołała brunetka.

- Ją - odparł, nie podnosząc głowy. - Mój nowy partner jest dziewczyną.

Hope nie miała wątpliwości, że powiedział „dziewczyną”, by ją zirytować. Mimo to starała się nie zareagować na zaczepkę.

- Och! - westchnęła zawiedziona Honey. - Możesz ją przyrowadzić. - Jej głos stracił entuzjastyczne zabarwienie.

- Dziękuję, ale musimy omówić sprawy zawodowe. Prawda, pani detektyw Malory?

Nie ma sensu dłużej się ukrywać. Hope postąpiła parę kroków do przodu.

- Owszem - potwierdziła.
- Od dawna pani tam stoi? - zacięła się Honey.
- Parę minut.
- I była pani tak cicho.
- Podziwiałam widoki.
- Świetnie to rozumiemy - westchnęła brunetka.

Hope się zaczerwieniła. Miała na myśli plażę, a ta pustogłowa panienska - Gideona. Do diabła, nie chciała, by Raintree pomyślał sobie, że dołączyła do grona jego wielbicielek.

- Lubię ocean.
- Ja też - stwierdził Gideon. - Proszę wejść. Jak rozumiem, chce pani omówić sprawę Sherry Bishop.

- Mam nadzieję, że nie ma mi pan za złe wizyty bez uprzedzenia?  
Spojrzał na nią z istic diabolicznym uśmieszkiem.

- Wcale nie, pani detektyw Malory. Wcale nie.

Wyrażnie coś knuje. Śliczna Hope Malory była tak spięta, wypełniona swoją własną elektrycznością, że gdyby położył na niej ręce, oboje by eksplodowali. Co niekoniecznie jest takim złym pomysłem.

- Przebiorę się. - Wskazał ręką kuchnię. - Proszę przygotować sobie coś do picia, a ja będę z powrotem w mgnieniu oka.

Echo pojechała już do Charlotte. Przed wieczornym pływaniem rozmawiał z nią przez telefon.

Ciągle była przygnębiona, ale już nie panikowała. Czy mu się to podobało, czy nie, Dewey ma dobry wpływ na jego kuzynkę.

Włożył suche ubranie i wytarł włosy, zadając sobie pytanie: Co tu robi Malory? Czego chce? Gdyby chodziło o raport z laboratorium, zadzwoniliby do niego, a nie do niej. Większość spraw można omówić przez telefon. Więc po co tutaj przyjechała?



Nie musiał czekać długo na rozwiązanie zagadki. Gdy tylko wszedł do salonu, znalazł swą nową partnerkę siedzącą w skórzanym fotelu ze szklanką wody sodowej w ręku.

- Ładny dom, Raintree - wypaliła prosto z mostu. - Jakim cudem wystarcza panu policyjna pensja?

A więc o to chodzi. Myśli, że jest skorumpowany, i chciała sprawdzić, do jakiego stopnia. Oczekuje udziału w zyskach czy chce go wsadzić za kratki? Postawiłby na to, że ma inkwizytorskie zapędy i zamierza donieść na niego do przełożonych, ale zdarzało mu się mylić co do kobiet.

- Moja rodzina ma pieniądze. - Skierował się do kuchni. - Zrobię sobie drinka.

Wskazała na identyczną szklankę z wodą sodową stojącą po przeciwnej stronie pokoju.

- Nie musi pan. Już przygotowałam.

- Skąd pani wie, co pijam? Jasnowidztwo?

- Nietrudno zgadnąć. Pańska lodówka jest pełna butelek z wodą.

Gideon opadł na fotel.

Czy przez przypadek postawiła jego szklankę przy fotelu najbardziej oddalonym od jej własnego? Nie. Ona tylko wygląda na twardą, ale w rzeczywistości jest wrażliwa. Pamiętał, w jaki sposób opowiadała o swej matce i potrzebie bycia z nią w trudnych chwilach. W jej oczach dostrzegł wtedy czułość i delikatność. Teraz chciała wyglądać w jego oczach na osobę bezwzględną i nieustępliwą.

- Rodzinne pieniądze - powtórzyła, by skłonić go do mówienia.

- Tak.

- O jakim rodzinnym majątku mówimy?

- Moi rodzice i dziadkowie, podobnie jak ich rodzice i dziadkowie, mieli dużo szczęścia i byli ludźmi sukcesu.

- Widziałam mieszkanie pańskiej kuzynki. Czy pochodzi ze zubożałej części rodziny?

- Echo jest buntowniczką. Jej rodzice prowadzą próżniaczy tryb życia: podróżują, śpią, piją, wydają przyjęcia. Echo postanowiła sama na siebie zarabiać. Szanuję ją, choć czasem zachowuje się jak dzieciak, który na złość mamie postanawia odmrozić sobie uszy.

- A pan ma szczęście?

- Chyba nie dzisiaj - odparł, szacując ją wzrokiem.

Nie dała się sprowokować.

- Z pewnością ma pan dużo szczęścia jako detektyw. Widziałam pańskie akta.

- Będę musiał zajrzeć do pani akt personalnych.

Jeśli Hope stanie się za bardzo wścibska, jeśli zacznie zadawać za dużo pytań, będzie się musiał stąd wynieść. Do diabła, polubił to miejsce. Lubił swój dom, kolegów w pracy, ale najbardziej kochał ocean. Uzależnił się od niego. Po latach przenoszenia się z jednego wydziału do drugiego, z jednego miasta do innego, wreszcie gdzieś osiadł na stałe.

Jeśli detektyw Malory odkryje więcej, niż powinna, nie będzie mógł tu zostać. I znowu stanie się tułaczem.

Musi się zaprzyjaźnić ze swoją partnerką albo się jej skutecznie pozbyć. Nie wygląda na kobietę, którą można zniechęcić, jeśli coś sobie postanowi. Nie sprawia też wrażenia osoby przyjaznej.

Krytycznie studiowała wyposażenie salonu.

- Coś jest nie tak z tym miejscem. Robi miłe wrażenie. Ma wygodne meble i ładne obrazy na ścianach. Wszystko do siebie pasuje, lampy pochodzą z drogich sklepów...

- Ale?

- Telewizor jest mały i tani, telefon na kablu, a odtwarzacza stereo żaden szanujący się piętnastolatek nie zabrałby ze sobą na plażę w obawie przed kompromitacją. Pamiątki po mniej szczęśliwych czasach?

Jak ma jej wytłumaczyć, że urządzenia elektryczne mają brzydki zwyczaj przepalania się i wybuchania? W schowku miał zapasowe małe telewizory. Aparaty na piloty w jego obecności zaczynają wariować. Podobnie jest z elektronicznymi zegarami. Nie dla niego są samochody z elektroniką, więc jeździł tylko klasycznymi modelami. Telefony komórkowe wyrzucał tak często, jak inni ludzie chusteczki do nosa.

- Nie oglądam telewizji, nie słucham muzyki. Linia telefoniczna jest bezpieczniejsza niż sygnał radiowy.

- A pan potrzebuje bezpiecznego telefonu, bo...?

Miał dosyć tego przesłuchania. Podniósł się i stanął nad nią.

- Czemu mnie pani po prostu nie zapyta?

- O co?

- Czy jestem skorumpowanym gliną.

Nie potrafiła ukryć zaniepokojenia. Prawie słyszał, jak intensywnie myśli. Uspokoila się, gdy sobie przypomniała, że nie jest uzbrojony, a ona ma pod ręką pistolet.

- Proszę zapytać - powtórzył.

- A jest pan?

- Nie - stwierdził zdecydowanie.

- Coś nadal śmierdzi na kilometr, tylko nie wiem co.

- Pieniądze. Ludzie zazwyczaj nie wierzą, że majątny człowiek wybierze pracę w policji.

- Nie chodzi tylko o pieniądze. Jest pan dobry. Aż za dobry.

- Wybrałem tę drogę dawno temu. Z fortuną taką jak moja mógłbym przez całe życie bawić się i opalać. Mógłbym pracować w kasynie u mojego brata albo pilnować ojcowizny. Ale kiedy nasi rodzice zostali zamordowani, paru

policyjnych detektywów zrobiło wszystko, co w ich mocy, żeby schwytać zabójcę i wtrącić go do więzienia. To ważny zawód i wykonuję go, bo potrafię.

Wykonywał swój zawód, bo nie miał wyboru.

Wyraz jej twarzy był nieprzenikniony. Twarz pokerzysty.

„Ona jest bardzo zła, tatusiu. Bardzo zła”. Czy Emma ostrzegła go przed morderczynią Sherry Bishop? A może chodziło jej o jego nową partnerkę?

## ***ROZDZIAŁ CZWARTY***

### ***Poniedziałek - 10.45 wieczorem***

Zabiła nie tę kobietę.

Tabby siedziała w głębi kawiarni, ale nie obserwowała ruchliwego nabrzeża za wielkim oknem wystawowym, tylko właścicieli i personel. Nie spodziewała się, że lokal, w którym sprzedawano jedynie kawę i ciastka, może cieszyć się takim powodzeniem w poniedziałkowy wieczór. Przy małych stolikach tłoczyli się turyści i stali klienci, pijący kawę bez kofeiny i pochłaniający ogromne ciastka. Wielu stałych bywalców i dwie młode kelnerki ze łzami w oczach wspominali zamordowaną Sherry Bishop. No dobrze, to był błąd. Ale nie kompletna strata czasu, jeśli Tabby może teraz pławić się w bólu i strachu obecnych w kafejce ludzi.

Do wieczornych wiadomości nie miała pojęcia, że zabiła niewłaściwą osobę. Potrzebowała trochę czasu, by odreagować, więc większość dnia prześpała.

Po obudzeniu się zaczęła oglądać swe najnowsze trofea. Nadejdzie czas, gdy nauczy się wykorzystywać pamiętki po ofiarach do uruchomienia potężnych magicznych mocy, które pozwolą jej wykorzystywać energię zamordowanych. Wtedy jeszcze myślała, że jej ostatnią ofiarą jest kobieta z klanu Raintree, więc należące do niej przedmioty miały tym większą wartość. Dotykała ich z dumą, a

nawet radością. Każdy człowiek ma jakiś talent, który można zawłaszczyć, ale nic nie może się równać talentom Raintree.

A kiedy wieczorem włączyła telewizor na wieczorne wiadomości, okazało się, że popełniła błąd.

Kto mógłby przypuszczać, że pod tym adresem mieszkają dwie kobiety o identycznych różowych włosach? Cael ją zabije, jeśli dowie się o tej pomyłce, zanim ją naprawi. Może Echo Raintree przyjdzie dziś do kawiarni? Wystarczy ją śledzić i w dogodnym momencie skończyć tak niefortunnie rozpoczęte zadanie. Jednak do tej pory po dziewczynie zniknął ślad. Morderstwo dwóch współlokatorek z pewnością wywoła podejrzenia, lecz Tabby nie widziała innego wyjścia z sytuacji.

Echo nie przyszła. Może oplakuje gdzieś śmierć swojej koleżanki? Wkrótce nadejdzie dzień, gdy wyjdzie z ukrycia, choćby na pogrzeb przyjaciółki. Tabby jeszcze nie wiedziała, kiedy i gdzie się odbędzie, ale informacja owa wkrótce zostanie upubliczniona. Echo z pewnością pojawi się na pogrzebie. Jeszcze w tym tygodniu.

Ale jeśli ta mała prorokini będzie miała wizję tego, co się stanie, i ostrzeże pozostałych członków rodu, wydarzenia nie przebiegną gładko.

Nowa para weszła do kawiarni. Tabby zamarła. Gideon Raintree. O wiele bardziej pożądany niż Echo. Niczego nie pragnęła bardziej, niż dostać go w swoje ręce, ale zakaz był wyraźny. Zabicie policjanta wywołałoby w tej chwili zbyt wielkie poruszenie, twierdził Cael. Wzmogłoby czujność wroga. Będzie mogła to zrobić później, tuż przed ostatecznym atakiem. Jeszcze nie dzisiaj.

Tabby była przekonana, że minionej nocy nikt jej nie widział na miejscu zbrodni, ale i tak była zadowolona, że zdecydowała się dziś wieczorem na krótką czarną perukę. Było jej gorąco i swędziała ją skóra głowy, ale przynajmniej nie musi się obawiać rozpoznania. Może tu bezpiecznie powęszyć.

Gideon i towarzysząca mu kobieta zajęli miejsce w rogu kawiarni, skąd widzieli wszystkich oraz wszystko. Kobieta była w czerni, Raintree miał na

sobie dzinsy i wypłowiła podkoszulkę. Oboje mieli broń, choć dyskretnie schowaną, podobnie jak odznaki. Czy są na służbie? Pewnie szukają teraz zabójcy Sherry Bishop.

Kątem oka Tabby obserwowała kobietę towarzyszącą Gideonowi. Zakaz Caela jej nie obejmuje. Jego dziewczyna? Policjantka? Sądząc po kaburze na kostce, to koleżanka z pracy, ale może jest jego partnerką także w łóżku? Z tej pary siedzącej po przeciwnej stronie kawiarni emanowała energia.

Nie było w niej cienia strachu czy smutku, ale czysta, wibrująca, nieco prowokująca energia seksualna. Niezależnie od tego, co ich łączy, zabicie kobiety zdecydowanie wytrąci Gideona z równowagi. W interesie Tabby jest odwrócenie jego uwagi od Echo Raintree i jej niefortunnej współlokatorki.

Zabójczyni zaczęła się niecierpliwić. Świadomość popełnionej pomyłki zniweczyła przyjemność, jaką odczuwała. Potrzebowała kolejnej ofiary. Nigdy nie miała ich dosyć. To zadanie od początku poszło źle, więc cóż takiego się stanie, jeśli teraz zabije Gideona?

Do momentu wypełnienia zadania Tabby nie mogła kontaktować się z Caelem. Jego instrukcje i tak straciły znaczenie, skoro wszystko poszło na opak. Ważny był ostateczny efekt. Echo i Gideon do końca tygodnia mają być martwi, a wszelkie błędy popełnione w trakcie zostaną jej wybaczone. W każdej chwili mogłaby zastrzelić tę dwójkę detektywów, ale zbrodnia na odległość nie przyniesie jej satysfakcji. Na kobiecie jej nie zależało; mężczyzna to kompletnie inna sprawa.

Gideon Raintree należy do królewskiego rodu, jest drugi po dranirze i ma niewyobrażalną moc. Tabby zamierzała wyssać z niego ostatnie tchnienie. Chciała go dotykać, gdy wbije mu w serce ten sam nóż, który zakończył życie Sherry Bishop. Pragnęła, by jego krew splamiła jej ręce. Zamierzała wzbogacić swoją kolekcję o nowy eksponat, jeden czy dwa.

Nie znalazła jeszcze sposobu na wydobycie z trofeów tego, co pragnęła odebrać ich zamordowanym właścicielom, ale i tak czerpała z nich energię.

Właściwie przechowywane i konserwowane, umieszczone były w specjalnej skórzanej torbie, która z roku na rok stawała się cięższa. W okresach, gdy Tabby żyła w przyuczajeniu, karmiła się płynącą z nich energią. Cael nalegał, by pohamowała entuzjazm, zachowała czujność i za wszelką cenę unikała zwracania na siebie uwagi. Do tej pory stosowała się do poleceń swego przywódcy i działała z ukrycia, ale wkrótce wszystko ma się zmienić.

Może zastrzelić swą ofiarę z dużej odległości, jednak zabicie Gideona będzie momentem tak szczególnym i pożądanym, że nie zrezygnuje z rozkoszowania się nim dla nieistotnych doraźnych korzyści.

### ***Wtorek - 7.40 rano***

Śniadanie w Hiltonie. Raintree poinformował ją poprzedniego wieczoru o cotygodniowym wtorkowym zwyczaju detektywów z Wilmington. Hope zaparkowała toyotę i energicznie wkroczyła do sali, wygładzając zagniecenie na czarnych spodniach i obciągając zakiet. Spóźniła się dziesięć minut, ale nigdy nie umiała przerwać matce, która w najlepszej wierze nie przestawała jej dawać pouczeń i wskazówek.

Trudno było nie zauważyć przyszłych kolegów. Wokół okrągłego stołu na środku sali restauracyjnej siedziało dziewięciu mężczyzn w garniturach - wszyscy z wydziału zabójstw. Raintree wyróżniał się nawet w tej grupie facetów ubranych podobnie jak on i wykonujących ten sam zawód. Niepotrzebne były reflektory, i tak przykuwał uwagę. Detektywi rozmawiali, jedząc jajecznicę na bekonie i popijając kawę. Na widok Hope na kilku twarzach pojawił się wyraz zdumienia i zaskoczenia.

Była przyzwyczajona do podobnych reakcji. Nie wyglądała na policjantkę i zawsze na początku natykała się na podejrzliwość i brak zaufania. Czy awansowała przez łóżko? A jeśli nawet nie, czy jest na to gotowa? Nieustannie musiała udowadniać, że jest bardziej profesjonalna, bardziej opanowana i

oddana swojej pracy niż wszyscy mężczyźni tu zebrani. Nie wyjechałaby z Raleigh i nie narażała się na ponowną konieczność wywalczenia sobie miejsca, gdyby nie matka. Nic innego nie skłoniłoby jej do powtórnego przejścia nieprzyjemnego i upokarzającego okresu asymilowania się w nowym otoczeniu.

Jedyne wolne miejsce było obok Gideona. Zajęła je i przedstawiła się pozostałym detektywom. Po początkowej rundzie pytań skierowanych do niej mężczyźni wrócili do omawiania prowadzonych właśnie dochodzeń, w tym zabójstwa Sherry Bishop. Raintree ściągnął z różnych źródeł, federalnych i stanowych, informacje na temat podobnych zbrodni z ostatniego półrocza, które pozostały nierozwiązane. Po południu będą je mieli na biurku - i on, i Hope. W miarę, jak rozmowa się rozwijała,

Hope spostrzegła, że Gideon Raintree cieszy się powszechną sympatią i szacunkiem.

To ją trochę uspokoiło. Gdyby był skorumpowany, z pewnością któryś z nich coś by podejrzewał. Tymczasem nie zauważyła śladów dystansowania się od Gideona, kwestionowania jego sądów czy nadmiernej ciekawości. Wczoraj wieczorem była skłonna podejrzewać, że Raintree był w jakiś sposób zamieszany w zbrodnię, które rozwiązywał. Teraz jej pewność gdzieś się ulotniła.

Czyżby uwierzyła w jego uczciwość, bo poza tym, że doprowadza ją do furii, jest przystojny i czarujący? Hope Malory nie jest kobietą, którą można nabrać na piękne słówka i dobry wygląd. Atrakcyjna fasada czasami kryje paskudne wnętrza. Trudno jest ocenić człowieka na podstawie jego powierzchowności i elokwencji, a poznanie jego prawdziwej osobowości może przynieść bolesne przebudzenie. Przynajmniej dla niej prawda okazała się bolesna.

Wreszcie śniadanie dobiegło końca. Hope i Gideon wyszli na zalany słońcem parking.

- Jaki plan na dzisiaj? - zapytała.



- Chcę wrócić na miejsce zbrodni i rozejrzeć się jeszcze trochę. Może zajmie się pani przepisaniem zeznań sąsiadów? Zamówiona dokumentacja powinna dotrzeć po południu. Raport patologów sądowych będzie gotowy za dzień, dwa, ale można zadzwonić i trochę ich popędzić.

- Nie jestem pańską sekretarką, Raintree - warknęła, czując narastającą złość.

- Nic takiego nie powiedziałem.

- Ale chce pan zepchnąć na mnie całą papierkową robotę, a sam zająć się dochodzeniem.

- Leonowi to odpowiadało.

- Nie jestem Leonem.

- Mam oczy, pani detektyw Malory - odparował.

- Dzisiaj ja prowadzę. - Nie da się zdominować. Musi mu pokazać, że nie pozwoli sobą pomiatać.

W zielonych oczach Gideona coś zamigotało. Może rozbawienie. Nie sprawiał wrażenia osoby pokonanej.

- Proszę bardzo - powiedział tylko.

Jej toyota stała kilka miejsc bliżej niż jego ford mustang.

- Nie chce pan zamknąć dachu? - upewniła się, wskazując na kabriolet.

- Nie ma potrzeby.

Wyłączyła alarm pilotem i otworzyła drzwi po stronie kierowcy. Gideon oparł rękę na masce.

- Dużo pali?

- Zdecydowanie mniej niż ten pański smok.

Spokojnie zajął miejsce pasażera. Wczoraj uparł się, że będzie prowadził, a dzisiaj potulnie ustąpił jej miejsca. Może uda im się zgodnie współpracować. Hope przekręciła kluczyk. Silnik ani drgnął. Ponowiła próbę, ale odpowiedziało jej tylko głuche kliknięcie.

- Może ma pani zepsuty zapłon. - Wysiadł z samochodu. - Znam dobrego mechanika. Oto jego numer.

- Mowy nie ma. - Hope w pośpiechu zamknęła auto i energicznie pospieszyła za Gideonem. - Później się tym zajmę. Nie zostawi mnie pan tutaj.

- Jest pani gotowa do poświęceń, detektywie.

- Jestem uparta. I lepiej do tego przywyknąć. Otworzył swój samochód i przytrzymał drzwi.

- Niech pan tego nie robi - syknęła.

- Czego?

- Proszę mnie nie traktować, jakbyśmy byli na randce. Jesteśmy kolegami z pracy, partnerami. Czy przytrzymał pan drzwi Leonowi?

- Nie, ale był brzydki jak grzech śmiertelny i miał owłosione nogi.

W odpowiedzi spiorunowała go wzrokiem.

- Dobrze - mruknął, sadowiąc się za kierownicą. - Jest pani kolejnym partnerem. Jak wszyscy inni faceci. Po prostu policjantem w spódnicy.

- Cieszę się, że pan zrozumiał. - Zirytowały ją problemy z samochodem, ale nie zamierzała czekać na mechanika, podczas gdy Raintree uda się na miejsce zbrodni i będzie szukał wskazówek, które wczoraj przegapili.

Hope przestała podejrzewać, że Gideon jest skorumpowany, ale brakowało jej również przesłanek świadczących o jego uczciwości, więc zamierzała zachować dystans. Nie znała go na tyle dobrze, by zaufać swojemu instynktowi. Już raz sparzyła się na mężczyznę, który okazał się kimś innym niż osoba, którą udawał. Nie pozwoli, by to doświadczenie się powtórzyło.

- Leon mówił mi po imieniu. Jeśli jest pani zdecydowana towarzyszyć mi, dopóki nie wyjaśnimy tej sprawy z pracą w zespole, proszę robić to samo.

Mówienie mu po imieniu to przejście na inny poziom znajomości. Bardziej prywatny. Przyjacielski nawet. Jak może mu mówić po imieniu, skoro nadal nie jest stuprocentowo pewna jego uczciwości?

Może jest dobrym gliną. Świetnym detektywem, jak można sądzić z jego dotychczasowej kariery zawodowej. Jeśli tak, będzie z nim rzetelnie współpracować i uczyć się od niego.

Był jeszcze jeden powód jej wahania. Mimo całej życiowej rozwagi i profesjonalizmu w pracy, miała fatalne szczęście do mężczyzn. Zawsze wybierała niewłaściwego faceta. Gdyby w pokoju było dwudziestu przyzwoitych i jeden podejrzany typek, z pewnością wybrałaby właśnie jego. Zdarzało się to za każdym razem. Od pierwszego wejrzenia poczuła fascynację Gideonem i ostatnią rzeczą, jakiej mogła sobie życzyć, byłoby odkrycie, że jest w jej życiu kolejnym draniem.

- W porządku, Gideon. Możesz mi mówić Hope.

- W twoim głosie jest tyle entuzjazmu! Jakże mógłbym ci odmówić? - odparł z półuśmiechem, jakby widział w tej sytuacji coś zabawnego, co umknęło jej uwadze.

W mieszkaniu od wczoraj nie zaszły żadne zmiany. Było w nim cicho. Śmiertelnie cicho.

Sherry Bishop nie jęczała mu nad głową, że to niesprawiedliwe, bo jest martwa, a nie zdążyła jeszcze przymierzyć nowych butów. Nie było policjantów i sąsiadów przepychających się w korytarzu. Tylko on i Malory, dwie osoby starające się rozwiązać tę dziwną zbrodnię.

Jego nowa partnerka stała przy drzwiach w milczeniu, mierząc wzrokiem scenę zbrodni. Zachowywała się tak, jakby rozumiała, że potrzebuje ciszy i świętego spokoju, by zebrać myśli. Jeszcze wczoraj jej obecność rozpraszała go, ale teraz zdążył się przyzwyczaić. Z Leonem zajęło mu to blisko rok.

Rolety były podciągnięte i do środka wpadało ostre słoneczne światło. Pocięte obicie kanapy, plamy krwi i panujący w pomieszczeniu nieład wyglądały nieprzyzwoicie, nie pasowały do pogodnego dnia i przypominały o istnieniu czyhającego w ukryciu zła.

Gideon miał wrażenie, że może odtworzyć przebieg wypadków.

Zadzwoił dzwonek do drzwi. Kobięcy głos powiedział, że przyjechała pizza.

Sherry otworzyła, morderczyni wpadła do środka i...

- Ten nóż był jakiś dziwny.

Gideon odwrócił się i zobaczył zarys postaci Sherry na kanapie. Siedziała tam, jak za życia. Ale teraz kanapa była pocięta nożem, a ciało dziewczyny znajdowało się w kostnicy.

- Nóż - szepnął i przyklęknął, aby znaleźć się z duchem twarzą w twarz. Z tego miejsca wydała mu się bardziej realna.

- Co mówisz? - Hope postąpiła krok do przodu.

Powstrzymał partnerkę gestem. Wiedział, że jej się to nie spodoba, ale nie chciał spłoszyć Sherry. Gdyby odwrócił wzrok, mogłaby rozpląnąć się w powietrzu. W obecnym stanie nie zostało jej wiele czasu.

- Myślę na głos - wyjaśnił bez patrzenia na Hope. - Co z nożem?

- Wyglądał na zabytkowy - wyjaśniła Sherry. - Może nawet srebrny. Rączka była nietypowa.

- W jaki sposób nietypowa?

- Nie widziałam jej dobrze, bo ta maniaczka trzymała ją w dłoni, ale myślę, że coś było na niej wygrawerowane. Jakiś napis.

- Jaki?

- Nie wiem. Nie po angielsku. Zresztą nie miałam wtedy czasu na czytanie. - Zaczynała się rozpląwać. - Była na mnie wściekła. Skąd w niej tyle gniewu? Nic jej nie zrobiłam...

Sherry zniknęła. Gideon się nie ruszył. Dziewczyna była przekonana, że morderczyni zaatakowała już wcześniej. Będzie mógł sprawdzić tę hipotezę po południu, kiedy dostanie akta podobnych śledztw. Wiedział, jaki rodzaj ran zadaje narzędzie używane przez napastniczkę. Ważną wskazówką był też brakujący palec i kawałek skalpu. Morderczyni najwyraźniej kolekcjonuje pamiątki po swych ofiarach.

Kobiety rzadko bywają seryjnymi zabójcami, ale przecież wszystko jest możliwe. Czy Sherry Bishop w jakiś sposób zwabiła morderczynię? Co w zachowaniu i wyglądzie ofiary przykuło jej uwagę?

Hope przysunęła się bliżej. Poruszała się bezszelestnie, ale potrafił już wyczuwać jej energię.

- Trochę mnie przerażasz - przyznała, stając za nim.

- Przepraszam. - Odwrócił się. - Chcę, żeby policjanci przeszukali okolicę.

- Zrobili to wczoraj.

- Poszukiwania trzeba ponowić. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że narzędzie zbrodni jest nadal w posiadaniu sprawczyni, ale nie możemy ryzykować.

- Może jest już na dnie rzeki - zaprotestowała.

- Mam nadzieję, że się mylisz. - Sherry nie знаła kobiety. Mieli tylko przybliżony rysopis, okaleczenia i... brakujący nóż.

- Traktujesz tę sprawę bardzo osobiście - stwierdziła Hope łagodnie. - Znałeś bliżej Sherry Bishop?

- Wszystkie prowadzone sprawy traktuję bardzo osobiście.

Hope studiowała jego twarz, jakby szukała w niej jakichś odpowiedzi. Powodzenia.

W powietrzu niespodziewanie pojawiła się Emma, przyszła córka z jego snów. Gestykulowała gwałtownie, jakby usiłowała odepchnąć Hope od okna.

Nie wahał się ani przez chwilę. Nie zastanowił się nawet, czemu Emma pojawiła się na jawie. Rzucił się na swoją partnerkę i powalił ją na ziemię.

Przeniknęli przez zjawę. Na sekundę przeszyło go lodowate zimno, gdy dotknął ducha. Wylądowali na podłodze. W tej samej chwili szyba pękła z brzękiem, a kula wbiła się w ścianę. Gideon bał się poruszyć, osłaniając Hope własnym ciałem.

Prąd przepłynął przez jego ciało. Wszędzie, gdzie dotykał Hope, trzaskały iskierki mikroskopijnych wyładowań, których nie mógł pohamować. Ona też je zauważyła; wiedział, bo szarpnęła się, zaskoczona.

Zapadła cisza, którą przerwały krzyki zaalarmowanych sąsiadów dwa piętra niżej.

Gideon uwolnił Hope, wyciągnął pistolet i podkrał się do wybitego okna. Jego partnerka skradała się tuż za nim, też z odbezpieczoną bronią. Wyjrzał ostrożnie, starając się ustalić, skąd padł strzał. Okno w sąsiednim budynku było szeroko otwarte, przeciąg poruszał firankami.

- Zostań i uważaj - polecił Hope.

- Chciałbyś. - Szła za nim krok w krok.

Nie miał teraz czasu na spory. Chce, by ją traktować jak partnera?

Dobrze.

- Drugie piętro, czwarte okno od południowej strony. Idę na górę. Wezwij pomoc i pilnuj wejścia. Nie wypuszczaj nikogo.

Przynajmniej raz się nie kłóciła.

Hope stała przed drzwiami budynku, gdy Gideon biegł na górę.

Ktokolwiek będzie wychodzić, musi zejść klatką schodową lub pojawić się z boku budynku. Jeśli strzelec nie uciekł wcześniej, jest w pułapce. Hope zadzwoniła, podając informację o zamachu i miejscu, w którym się znajdują. Nie lubiła czekać, ale w tej chwili nie miała wyboru. Usiłowała zrozumieć, co się właściwie stało.

Czy Raintree zobaczył odbłask słońca na lufie? Rzucił się na nią o ułamek sekundy przed wystrzałem, więc musiał zauważyć coś niepokojącego. Ale w jaki sposób? Przecież stał odwrócony plecami do okna. A okno było zamknięte, więc nie mogły do niego dobiec żadne dźwięki z ulicy. Instynkt? To zbyt blisko paranormalnych uzdolnień, nie zamierzała się nad tym zastanawiać. Ma w rodzinie dwie wariatki, i to wystarczy.

Nie tylko niezwykła intuicja Gideona stanowiła źródło jej niepokoju. Kiedy osłonił ją własnym ciałem, zdarzyło się coś niezwykłego. Oczywiście, słyszała o chemii między ludźmi; nawet doświadczyła tego zjawiska raz czy dwa. Słyszała też o tym, że między ludźmi zainteresowanymi sobą w erotyczny sposób coś czasem iskrzy.

Jednak nigdy w życiu nie zdarzyło jej się, by między nią a drugą osobą zaczęło naprawdę, najdosłowniej w świecie iskrzyć. Przeszył ją prąd od stóp do głów. Miała wrażenie, jakby jej żyłami popłynęła błyskawica. Walczyła z pragnieniem, by przywrzeć do leżącego na niej mężczyzny, i nie po to, by powstrzymać iskrzenie, ale by je wchłonąć i błagać o więcej.

Starła się walczyć z powracającym wspomnieniem, wmówić sobie, że to była halucynacja, ale się nie udawało. Poczula coś, lecz nie umiała tego wyjaśnić ani nawet nazwać.

Hope miała wielką ochotę podążyć za Gideonem, jednak dopóki na miejscu nie było drugiego policjanta, nie mogła opuścić posterunku przy drzwiach wejściowych. Zastanawiała się, co Gideon znajdzie na górze. A może snajper wciąż tam jest i zastawił na niego pułapkę?

Detektyw z tak nadzwyczajną umiejętnością wykrywania sprawców musiał w ciągu lat narobić sobie wielu wrogów. Prowadził inne śledztwo w sprawie Franka Stilesa, któremu nie udało się udowodnić morderstwa. Czy to on jest sprawcą nieudanego zamachu? A może snajper jest związany z wczorajszym zabójstwem?

Nadjechał wóz patrolowy. Hope zleciła dwóm mundurowym obserwowanie wejścia, a sama popędziła na górę. Miała różnych partnerów i z niektórymi szczerze się zaprzyjaźniła. Niektórzy odeszli na emeryturę, inni awansowali, ale żadnego nie straciła z powodu postrzału. Nie chciała otworzyć tragicznej statystyki.

Na piętrze spotkała wracającego Gideona.

- Mieszkanie jest puste. W sąsiednich nikt nie otwiera. Kto został na dole?

- Patrol. Nikogo nie wypuszczą.

Sprawdzili wszystkie lokale na pierwszym piętrze. Nikt nic nie widział, chociaż ludzie słyszeli strzały. Wiele mieszkań stało pustych. Drzwi zamknięte. Wreszcie zlokalizowali administratora budynku i przeczesał piętro po piętrze, jeden lokal po drugim. Przeszukali też boczny zaułek. Strzelec uciekł albo był stałym lokatorem i stali z nim już twarzą w twarz, nie wiedząc, że mają do czynienia z niedoszłym zabójcą.

Gideon usiadł na schodkach przed wejściem, pogrążony w myślach. Nie chciała mu przeszkadzać, ale wiele pytań wymagało odpowiedzi. Wystarczająco długo wstrzymywała się z ich zadaniem.

- Kto życzy ci śmierci? - spytała, przysiadając się do niego.

- Może to ty byłaś celem?

- Jestem tu od dwóch dni. Nie miałam czasu narobić sobie wrogów.

Podczas gdy ty... - Zawiesiła głos.

Odwrócił wzrok.

- Skąd wiedziałeś?

- Co wiedziałem?

- Powaliłeś mnie na ziemię, zanim padł strzał.

- Masz pretensje? - spytał po chwili.

- Nie, ale jestem ciekawa.

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Chciała zapytać o iskrzenie, ale powstrzymała się. A co, jeśli ona jest jedyną osobą, która coś zauważyła? Czy wrażenie, że piorun w nią strzelił, było grą wyobraźni? A może zelektryzował ją niespodziewany fizyczny kontakt z atrakcyjnym mężczyzną? W końcu od dwóch lat nie pozwoliła się nikomu dotknąć.

- Lubię żyć niebezpiecznie.

- Wrócimy do tej rozmowy później.

Nienawidziła odkładania rzeczy na później, ale coś mu się od niej należy.



- Co teraz?

- Ktoś musiał coś zobaczyć. Jest środek dnia, zamachowiec musiał uciekać biegiem. Ktoś na pewno był tego świadkiem. - Spojrzał na nią, a ją znowu przeszył prąd, choć wcale się nie dotykali. - Poszukajmy go.

## ***ROZDZIAŁ PIĄTY***

Gideon oddalał się od mieszkania, z którego ich ostrzelano, a jego nowa partnerka szła tuż obok. Dzisiaj po raz pierwszy zobaczył Emmę inaczej niż we śnie. Jej pojawienie się świadczy o tym, że Emma jest czymś więcej niż tworem jego wyobraźni. Mała zjawa uratowała życie jemu, Hope, albo im obojgu. Nie był pewien, kogo trafiłby pocisk, gdyby Emma swoją rozpaczliwą interwencją nie zmusiła go do upadku na podłogę.

Nie była duchem. Był teraz przekonany, że jest istotą, za którą się od początku podaje, duszą nieurodzonego jeszcze dziecka, trwającą w niebycie pomiędzy jednym a drugim wcieleniem. Pojawienie się przed nim, nawet w tej astralnej formie, wymaga niebywale dużo energii. Nie mógł już dłużej się oszukiwać, przypisując pojawianie się Emmy poczuciu winy wobec dziecka, którego nie miał odwagi spłodzić. Już teraz Emma należy do klanu Raintree, i z pewnością będzie tak w przyszłości.

W narożnej księgarni za ladą stała starsza kobieta, z ciekawością obserwująca świat za drzwiami. Musiałaby zauważyć snajpera, gdyby uciekał tą drogą.

- Zapytaj kasjerkę, czy nie zauważyła kogoś podejrzanego - zaproponował swojej partnerce.

- Nie chcesz sam jej przesłuchać? - spytała Hope, która do tej pory szła w milczeniu.

- Muszę zadzwonić. Sprawy rodzinne. - Dorzucił to wyjaśnienie, by nie poczuła się zepchnięta na boczny tor. Zawahała się, ale weszła do księgarni i zostawiła go samego na chodniku. Wybrał numer na komórce.

Dante odpowiedział po drugim dzwonku.

- Co słychać? - Gideon mówił głośno, by przekrzyczeć zagłuszający rozmowę szum. Przekłęte komórki.

- Diabelne komplikacje - odrzekł brat.

- Współczuję. Nie zawracałbym ci głowy, ale muszę coś wiedzieć. Trzy miesiące temu przysłałeś mi turkusową bryłkę.

- Pamiętam.

- Umieściłeś w niej zaklęcie. - Nieświadomie przesunął palcami po ukrytym pod koszulą rzemyczku, na którym wisiał srebrny talizman. Było w nim potężne zaklęcie ochronne, błogosławieństwo od starszego brata. Dostał go dziewięć dni wcześniej, w paczce dostarczonej przez ekspresowego posłańca. Dante nalegał, aby Gideon nie wychodził bez amuletu ze względu na zagrożenia, które przynosi jego praca. Turkus najwyraźniej miał w sobie moc innego typu.

- Dziwię się, że potrzeba ci było tyle czasu, aby się zorientować - zaśmiał się brat.

- Jaki dar dostaje jej właściciel?

- Rzut oka w przyszłość.

- Bliską czy odległą?

- To nie zostało sprecyzowane.

Gideon oparł się o ścianę księgarni i zaklął. Dante nie określił, jak odległa przyszłość ma mu się objawić, niemniej uznał, że Emma jest istotą oczekującą kolejnych narodzin i zapowiada, że stanie się to już niedługo.

Niekoniecznie. Prokreacja nie może się odbyć bez niego. Skoro nie chce zakładać rodziny, nie będzie jej miał. Niezależnie od wszystkiego, czego się w

życiu nauczył, nie wierzył, że w tak ważnej sprawie mógłby być zabawką w rękach przeznaczenia.

- Co zobaczyłeś? - spytał brat.

- Nie twoja sprawa.

Dante zaśmiał się i pospiesznie skończył rozmowę, jakby ktoś mu przerwał.

- Raintree, myślę, że powinieneś to usłyszeć! - zawołała Hope z wnętrza sklepu.

Tabby miotała się w tę i z powrotem po wynajętym mieszkaniu, adrenalina zmuszała ją do obijania się o stare zakurzone meble. Miała kobietę na muszce. Plan był prosty. Wystarczy jeden celny strzał z opuszczonego mieszkania naprzeciwko. Wycelować. Pociągnąć za spust. Zobaczyć, jak ofiara upada. Uciec. Proste.

Nie był to jej ulubiony sposób działania, ale chodziło o to, by skierować Gideona na fałszywy trop.

Tymczasem Raintree ją uprzedził, powalił niedoszłą ofiarę na podłogę i kula się zmarnowała. Tabby nie miała pojęcia, jakie jeszcze talenty ma Gideon, ale najwyraźniej nie tylko komunikuje się z duchami, ale i potrafi wyczuwać zagrożenie. Rzucił się na swoją partnerkę na ułamek sekundy wcześniej, niż padł strzał.

Tabby nienawidziła pokoiów hotelowych. Trudno w nich było o zachowanie prywatności, a musiała mieć pewność, że nikt obcy nie tknie jej rzeczy. Dlatego wszędzie, gdzie się zatrzymywała, wynajmowała tanie mieszkania, podobne do tego, w którym się teraz znajdowała. Płaciła za miesiąc z góry i wynosiła się na długo przed porą zapłaty za kolejny miesiąc. Unikała sąsiadów i nigdy, ale to przenigdy, nie zabierała roboty do domu.

Na małym kuchennym stole w tym nędznym, kiepsko umeblowanym mieszkaniu leżał odcięty palec i strzęp skóry z zakrwawionymi włosami. Poddała je już procesowi konserwacji, a teraz suszyła. Wpatrywała się w swoje

najnowsze trofea i syciła się jeszcze świeżymi emocjami. Ale one tylko wzmagały jej głód. Chciała pochłaniać siły życiowe swoich ofiar, a skoro jeszcze nie umiała tego zrobić, satysfakcję sprawiało jej samo posiadanie trofeów. Mogły posłużyć jako potężne *mojo*, artefakt przydatny w czarnej magii. Ta perspektywa uspokajała ją nawet wtedy, gdy wszystkie jej plany brały w łeb. Tak jak teraz.

Echo ukrywa się nie wiadomo gdzie. Tabby nie miała pojęcia, jak ją wyśledzić. To jest problem, bo rozkazy Caela były jednoznaczne. Echo musi umrzeć pierwsza. Tabby zdawała sobie sprawę, że powiadomienie Caela nie wchodzi w grę. Odesłałby ją do domu i przysłał kogoś innego, by dokończył zadanie. Jej życie nie byłoby warte splunięcia. Za wszelką cenę musi wywiązać się ze zlecenia. Echo umrze pierwsza, Gideon pod koniec tygodnia, najlepiej w taki sposób i w takim miejscu, by zabój czyni mogła się napawać śmiercią wroga.

Dotknęła palcami kosmyka włosów, różowych i pokrwawionych. Parę niepowodzeń jej nie powstrzyma. Wkrótce klan Raintree zmniejszy się o dwie osoby. A jeśli chodzi o policjantkę, Tabby postanowiła ją zabić dla zasady. Nienawidziła chybiać.

Sprzedawczyni w księgarni widziała młodą kobietę z długimi blond włosami, gdy niemal biegiem oddalała się od kamienicy, którą przed chwilą przeczesali. Czas się zgadzał. Długie jasne włosy stanowiły przesłankę do powiązania nieudanego zamachu z zabójstwem Sherry Bishop. O co chodzi w tej zbrodni? Na to pytanie Hope nie miała dobrej odpowiedzi.

- Twój samochód będzie bezpieczny na parkingu przy Hiltonie do jutra rana. Wtedy kogoś po niego pošlemy - zaproponował Gideon.

Najpierw były strzały i konieczność przeprowadzenia śledztwa w ich sprawie, a następnie spędzili kilka godzin w biurze nad aktami nierozwiązanych zbrodni popełnionych poza Wilmington, a podobnych do zabójstwa Sherry Bishop. Było już za późno, by dzwonić po mechanika. Gideon zaproponował

Hope, że odwiezie ją do matki. Zabrał wybrane akta do domu i zapowiedział, że przejrzy je później i może znajdzie w nich jakiś nowy trop.

Hope musiała przyznać sama przed sobą, że w motywach Gideona nie można dopatrzeć się chciwości. Może naprawdę jest oddany pracy ze szlachetnych pobudek. Może fakt, że zamordowano mu rodziców, zaważył na jego postępowaniu i nie musiała się bać, iż przy bliższym poznaniu na jaw wyjdą jakieś pilnie strzeżone tajemnice. Może się na nim nie zawiedzie?

Była zmęczona i nie mogła się doczekać chwili, kiedy znajdzie się w domu. Na razie zatrzymała się u matki, w mieszkaniu w centrum Wilmington, nad sklepem noszącym nazwę Srebrny Kielich i oferującym turystom i wyznawcom New Age wszelkiego rodzaju amulety i bezużyteczne bibeloty. Rainbow Malory była jego właścicielką. Oczywiście, nie dostała imienia Rainbow na chrzcie. Matka Hope naprawdę nazywała się Mary. Ładne, zwykłe, normalne imię. Ale pewnego dnia szesnastoletnia Mary przemianowała się na Rainbow - Tęczę - i od tej pory nią pozostała.

Ku przerażeniu Hope Gideon zaparkował na poboczu i zgasił silnik.

- Dziękuję. - Hope wyskoczyła z samochodu w nadziei, że uda jej się splawić partnera. Jednak Gideon nie należał do ludzi, którzy dają sobą manipulować. Zamknął auto i podążył za nią.

- Rozmawialiśmy na ten temat, Raintree - rzuciła ostro. - Czy Leona odprowadziłbyś do domu?

- Gdyby ktoś do niego strzelał, tak.

- Ktoś strzelał do ciebie, nie do mnie.

- Udowodnij to.

Nie miała szansy niczego udowodnić i dobrze o tym wiedziała. Im bliżej byli sklepu, tym bardziej była spięta.

- Dziękuję. Już wystarczy.

- Czy sklep jest jeszcze otwarty?

Hope spojrzała na zegarek. W lecie godziny otwarcia były przedłużone dla wygody turystów.

- Tak sędę, ale nie znajdziesz tam niczego godnego uwagi.

- Nie masz pojęcia, co mnie może zainteresować.

Spędziła dwa dni w jego towarzystwie i nadal nic o nim nie wie.

Zatrzymała się przed wejściem do sklepu.

- Nie mów mojej mamie, że ktoś do nas strzelał - ostrzegła cicho.

Otworzyła drzwi i rozległ się dźwięk dzwonka sygnalizującego wchodzących.

W Srebrnym Kielichu można było kupić przedmioty zrobione z kryształu, kadzidelka i biżuterię wyrabianą przez lokalnych artystów. Był tam duży wybór kart tarota i runów, jedwabne szale i drewniane rzeźbione szkatułki. Sklep zarabiał na sprzedaży biżuterii, ale dla Rainbow Malory najważniejsze było to, co miało jakiś związek z ruchem New Age. Gdzieś z głośnika płynęła cicha zawodząca melodia - muzyka dobra do medytacji, jak ją określała jej matka.

Rainbow uśmiechnęła się radośnie na widok córki. Była nadal bardzo atrakcyjna, choć miała pięćdziesiąt siedem lat i jej ciemne włosy zaczynały już siwieć, a twarz pokrywały zmarszczki mimiczne. Nie używała kosmetyków. Nie nosiła też stanika.

- Kim jest twój znajomy? - spytała córkę. Długa kolorowa sukienka sięgała aż do ziemi i przykrywała wygodne sandały.

- To mój partner, Gideon Raintree. Chciał się rozejrzeć w sklepie, ale nie zostanie.

Jej matka zachowała się tak, jak każda inna kobieta na widok Gideona. Wyprostowała się i uśmiechnęła szerzej.

- Ma pan najpiękniejszą aureę, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć.

Hope miała ochotę zapaść się pod ziemię. Teraz się zacznie. Gideon opowie o wszystkim kolegom, a ona, Hope, stanie się obiektem żarcików na temat wróżb, horoskopów i przesądów. Czekwała na jego wybuch śmiechu, ale zamiast tego usłyszała tylko słowa podziękowania.

Nie wyglądało to na kpinę. Dobrze się czuł w dziwacznej atmosferze sklepu. Z uwagą studiował poszczególne przedmioty.

- Miłe miejsce - zauważył. - Interesująca oferta, dobra atmosfera.

- Właściwa atmosfera jest bardzo ważna - wtrąciła Rainbow. - Staram się napełniać sklep pozytywną energią.

I znowu Hope skuliła się ze wstydu, ale Gideon stwierdził po prostu:

- Jestem przekonany, że turyści uwielbiają to miejsce. Jest pełne spokoju.

- Dziękuję - odparła Rainbow. - Jest pan bardzo przenikliwy. Ale tego się spodziewałam, kiedy tylko zobaczyłam pańską aurę.

- Mamo, nie zagaduj go. Jestem przekonana, że nie ma czasu. - Hope nie chciała więcej słyszeć o aurach.

- Wcale nie. Chcę jeszcze wieczorem przejrzeć akta starych spraw, ale wcześniej potrzebuję chwili odprężenia - wyjaśnił Gideon.

Spojrzała na niego wrogo, ale to zignorował i dalej przeglądał wyłożone towary. Jeśli mają być dobrymi partnerami, musi się nauczyć odczytywać aluzje.

- Zapraszam pana na kolację - oznajmiła Rainbow. - Zamykam za dwadzieścia minut, a na górze mam cały gar wołowiny duszonej w jarzynach. Wystarczy dla nas trojga, i jeszcze zostanie. Wygląda pan na głodnego - dodała macierzyńsko.

A Gideon, ku przerażeniu Hope, przyjął zaproszenie.

Trudno było o dwie bardziej odmienne kobiety.

Tam, gdzie Hope była czujna i nieufna, jej matka była otwarta i zrelaksowana. Były do siebie podobne z wyglądu, co matkom i córkom często się zdarza, ale poza tym trudno sobie wyobrazić, że mogły mieszkać pod tym samym dachem, a co dopiero mieć to samo DNA.

Kolacja była prosta i smaczna. Gideon wybrał miejsce przy stole jak najbardziej oddalone od telewizora w salonie, oraz elektrycznej kuchenki i

mikrofalówki w kuchni. Starał się utrzymać napięcie elektryczne na niskim poziomie.

To było oczywiste, że Hope chciała, by zjadł i poszedł sobie jak najszybciej. Wyraźnie wstydziła się matki, jej otwarcie manifestowanych przekonań. Co powiedziałyby Hope, gdyby się dowiedziała, że Gideon podziela wierzenia jej matki? A nawet dużo więcej. Mógłby przedłużyć jej zaambarasowanie i zostać po kolacji, ale podziękował za proponowaną kawę i deser. Kiedy zaczął się żegnać, na twarzy jego partnerki odmalowała się ulga.

Hope odprowadziła go do wyjścia.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - Mama jest trochę dziwaczna. Ma jak najlepsze intencje, ale w głębi serca pozostała hipiską.

- Nie przepraszaj. Polubiłem ją. Jest nietypowa, ale bardzo miła. - Świetnie wiedział, jak się żyje z piętnem odmienności. - Różnice nie są czymś złym.

- Łatwo ci mówić - prychnęła Hope. - Trudniej sobie to powtarzać, gdy twoja matka przychodzi na otwartą policyjną imprezę i opowiada o kryształach i kadzidełkach każdemu, kto jest w zasięgu słuchu, a potem zaczyna strofować tatę twojego szefa, że jest odpowiedzialny za niszczenie środowiska naturalnego, bo sprzedał ziemię dużej korporacji.

Gideon nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem.

- Nie śmieszłoby cię to, gdybyś słyszał, jak mówi twojej pierwszej prawdziwej sympatii, że ma mętną aurę i powinien często medytować, aby uwolnić pozytywną energię.

- Pozytywna energia jest dobrą rzeczą - zauważył.

- Nie traktuj mnie z góry - zaprotestowała Hope. - Dobrze wiem, że moja matka jest zwykłą dziwaczką.

Światło w pomieszczeniu na parterze było przygaszone. Rainbow zmieniła je na nocne, gdy zamykała sklep. Gideon nie spieszył się do wyjścia.



Przyglądał się kryształom i wisiorkom, aż wybrał jeden z nich, srebrny celtycki węzeł na czarnej tasiemce.

Odwrócił się plecami do Hope, podniósł talizman ukryty między złożonymi dłońmi do ust i wyszeptał parę słów. Srebrny wisiorek rozjarzył się zielonym światłem. Nie trwało to długo.

- Co robisz? - spytała Hope, podchodząc bliżej. Założył jej amulet na szyję, zanim się zorientowała, co się dzieje.

- Zrób mi przysługę i noś to przez najbliższe dni.

Podniosła wisiorek w palcach i przyjrzała mu się uważnie.

- Dlaczego?

Gideon nie zamierzał jej tłumaczyć, że tchnął w niego potężny czar ochronny. Tylko członkowie królewskiej rodziny w klanie Raintree - poza nim jego brat Dante i siostra Mercy - potrafili zaklinać talizmany. Nie mogli używać swojej mocy dla samych siebie, amulet musiał być przeznaczony dla drugiej osoby. Oszczędnie gospodarowali magią i utrzymywali swój talent w najściślejszej tajemnicy. Gideon nie był pewien, dla kogo przeznaczona była kula dzisiaj rano, ale chciał mieć pewność, że Hope jest chroniona. Może nie od wszystkiego, ale jednak odsuwał od niej bezpośrednio niebezpieczeństwo. Przez kilka dni, a dokładnie przez dziewięć, będzie ją chroniła tarcza pozytywnej energii, o której wyrażała się tak niepochlebnie.

- Potraktuj to jako moje dziwactwo.

- Znam cię za krótko, aby traktować pobłaźliwie twoje fanaberie.

- Zostaliśmy ostrzelani. Przeszliśmy chrzest bojowy i teraz możesz przymknąć oko na dziwne zachcianki twojego partnera.

Wciąż była spięta, niepewna, co powinna zrobić, i podejrzliwa.

Doprawdy, potrzebna jej była odrobina relaksu.

Hope oglądała celtycki węzeł, a Gideon podszedł bliżej. Oparł się dłońmi o szklany kontuar za jej plecami, unieruchamiając ją w pułapce ramion.

Kiedy stali tak blisko, uświadomił sobie, jaka jest mała i krucha. Ciężko pracowała, by postrzegano ją jako twardą, niezależną i silną, jak każdego innego policjanta w wydziale. Ale jako kobieta w rzeczywistości wcale nie była twarda. Nie zamierzał jej teraz odpuścić.

- Noś go na szyi, a ja będę się czuł lepiej, wiedząc, że masz na sobie ten srebrny amulecik - wyznał cicho.

- To niemądre - zaprotestowała. - Poza tym sam nie nosisz talizmanów na szczęście.

Sięgnął palcem pod kołnierzyk i wyciągnął na wierzch wisiołek, który przysłał mu Dante.

- Och - szepnęła. - Chyba już go widziałam.

- Nawet jeśli nie możesz czegoś dotknąć lub zobaczyć, to jeszcze nie dowodzi, że ta rzecz nie istnieje. - Nigdy się nie tłumaczył ze swoich czynów, a już w szczególności osobom, których prawie nie znał. Hope na co dzień była otoczona dobrą magią przez swoją matkę, a jednak ją odrzucała. To mu sprawiało przykrość i nie potrafił przejść nad tym do porządku dziennego.

- Nie mów, że ty też widzisz aury. Czy świecę w ciemności, Raintree?

- Nie widzę aur.

Czy mu się wydawało, czy na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi?

- Nie widzę ich, ale to nie znaczy, że nie wierzę w ich istnienie.

Powinien zażądać przeniesienia, dla jej własnego dobra, ale też we własnym interesie.

Był bezpieczniejszy, gdy pracował w pojedynkę, a Hope pasowałyby lepiej do włamań, oszustw lub młodocianych przestępców. Wszystko poza wydziałem zabójstw. Każdy inny partner poza nim. Odwróciła głowę, a on nie mógł oderwać wzroku od jej smukłej szyi. Chciałby wiedzieć, jak smakuje jej skóra. Gdyby Hope była turystką, sekretarką czy ekspedientką na wakacjach, poderwałby ją i zaprosił do siebie na jedną czy dwie noce.

Ale na miłość boską, ona jest jego partnerką.

Nie na długo.

Pochylił się i przywarł ustami do jej karku. Zaskoczona, głośno nabrała powietrza. Przyłożył jej dłoń do brzucha, niżej niż to było akceptowalne dla partnera, znajomego czy przyjaciela. Zesztywniała. Za chwilę go odepchnie albo wymierzy cios kolanem tam, gdzie zaboli najbardziej.

Gideon świetnie rozumiał potęgę elektryczności. To był jego żywioł. Nawet teraz, tuż przed przesileniem, gdy trudno było się kontrolować, potrafił się posługiwać elektrycznością jak wirtuoz.

Wgłębienie jego dłoni przylegało ściśle do brzucha Hope, jakby miał prawo dotykać jej w tak intymny sposób. Sięgnął głębiej, emitując coraz silniejsze pole elektryczne, które bez wysiłku pokonało barierę materiału i skóry. Jej ciało przeszła gorąca pulsująca energia. Doprowadził ją do ekstazy przez zwykły dotyk ręki.

Hope westchnęła i zadrżała. Ręka, którą chciała odepchnąć go od siebie, wpiła się w materiał marynarki i zacisnęła w pięść. Hope na chwilę przestała oddychać, a potem wydała z siebie gardłowy jęk. Zachwiała się i musiał ją przytrzymać, by nie osunęła się na podłogę. Serce jej waliło nierównym rytmem.

Jej reakcja na elektryczną pieszczotę była zniewalająca. Gideon powoli opuścił ręce i odsunął się, by ukryć podniecenie.

- Co właściwie...? - Nie skończyła pytania. Sięgnął po portfel i wyjął z niego dziesięciodolarowy banknot.

- Za amulet - wyjaśnił i rzucił go na kontuar. - Mam cię podwieźć rano? Śniadanie w Hiltonie? Możemy tam ściągnąć mechanika, żeby się zajął twoim samochodem.

Spodziewał się, że każe mu iść do diabła. Mogła go oskarżyć o molestowanie, ale nikt jej nie uwierzy. „Byliśmy ubrani. Wszystko stało się tak szybko. Dotknął mnie jedną ręką, a ja przeżyłam orgazm, jakbym nie miała mężczyzny od dziesięciu lat”.

Nikt nie uwierzy w taką historię. Jedyne, co mogłaby zrobić, to poprosić o przeniesienie lub zmianę partnera i wyznaczenie innego zadania.

- Daruję sobie śniadanie - odparła, ciągle bez tchu.

Gideon uśmiechnął się. Chyba udało się ją spłoszyć. I to było łatwiejsze, niż się obawiał. Następne słowa rozwiały jego złudzenia.

- Przyjedź po mnie, gdy będziesz gotowy do pracy.

Zamknęła za nim drzwi. Kolana się pod nią ugięły, a nogi się trzęsły, więc opadła na dolny stopień schodów. Przez głowę przebiegało tysiąc myśli na sekundę. Co właściwie się stało?

To prawda, od dawna nie była z mężczyzną, a Gideon od początku wydał jej się atrakcyjny. Miał w sobie ten wdzięk niegrzecznego chłopca, który ją w równej mierze intrygował, co irytował. Ale czy można przeżyć orgazm, bo mężczyzna dotyka kobiety dłonią i całuje ją w kark? To przecież jest niemożliwe!

A jednak najwyraźniej możliwe, choć wysoce nieprawdopodobne.

Gideon jest w stanie ją zranić. Może jest kolejnym niewłaściwym mężczyzną? Nie powinna tak ryzykować. Więc dlaczego nie może zapomnieć łaskotania jego wąsów na karku i czemu się zastanawia, jak to by było, gdyby ją pocałował w usta?

Powinna zerwać z szyi wisiołek i go wyrzucić. Powinna złożyć w pracy raport na tego sukinsyna. Ale chyba właśnie takiej reakcji Gideon oczekuje.

Zamiast tego będzie udawała, że nic nie zaszło. Gideon Raintree jest bardziej tajemniczy, niż jej się zdawało na początku, a ona zamierza go zdemaszkować.

O tej porze roku często zdarzały się burze. Gideon je uwielbiał. Mówiąc dokładniej, uwielbiał błyskawice. Po północy stał na plaży tylko w dzinsach, z amuletem od Dantego. Podniósł ręce do góry. Powietrze było przesycone elektrycznością tak bardzo, że niemal ją widział i smakował.

Obraz i smak Hope nadal mu towarzyszyły. Miał zamiar zbić ją z pantałyku, złamać jej upór, skłonić do zmiany partnera, tymczasem to on nie mógł przestać o niej myśleć, choć rozstali się kilka godzin wcześniej.

Nie może sobie pozwolić na tego typu komplikacje. Teraz ani nigdy. Z tego powodu zawsze odsyłał Emmę tam, skąd przyszła, i dlatego też regularnie zaopatrywał Dantego w amulety z ukrytym zaklęciem na płodność. Ktoś musi kontynuować linię rodu i z pewnością nie będzie to on, Gideon.

Jaka kobieta zaakceptowałaby jego odmienność? Zdarzało mu się o tym marzyć. Nie chciał wyrzekać się swojej tożsamości, swoich talentów, nie chciał być taki jak otoczenie. Nie w tym rzecz. Czasem po prostu brakowało mu odrobiny normalności w życiu. Tylko odrobiny. Ale w jego życiu nic nie było normalne i nigdy nie będzie.

Hope za to jest wcieleniem normalności. Gdyby wiedziała, kim on jest i co potrafi robić, już nigdy nie dopuściłaby go do siebie na odległość wyciągniętej ręki.

Pierwszy zygzak błyskawicy rozdarł niebo. Zatańczył na tle nocnej czerni, piękny, jasny i potężny, rozszczepił się na pulsujące mocą strużki. Gideon czuł energię pod skórą, we krwi. Następna błyskawica była bliżej, jeszcze potężniejsza. Gideon przyciągał pioruny, jak one przyciągały jego. Karcił się nimi, a one nim. Przyciągał energię elektryczną i wchłaniał ją w siebie.

Wreszcie kolejny grom trafił prosto w niego.

Przepłynął przez jego ciało, pulsował w tętnicach. Podrzucił go w powietrze. Nigdy nie czuł się bardziej potężny niż w momentach takich jak ten: noc przykrywa go swoim płaszczem, fale uderzają o pobliski brzeg, a on zamiast krwi ma w żyłach błyskawicę.

Nie tylko kochał burzę, on był burzą. Był centralną częścią potężnych wyładowań elektrycznych, emitował energię w tej samej mierze, co ją pobierał. Teraz, gdy nadchodziło letnie przesilenie, nie potrzebował do życia dodatkowej

porcji energii z burzy, ale jej pragnął. Stojąc samotnie na plaży, był integralną częścią potężnych sił natury i nie mógł dłużej ukrywać, kim naprawdę jest.

Raintree.

Kolejny piorun trafił w Gideona i odrzucił go kilka metrów dalej. Miał wrażenie, że unosi się w powietrzu. Spadł na piasek. Serce biło mu szybciej, oddychał z wysiłkiem, ale od dawna nie czuł się tak pełen energii i radości życia. Burza oddaliła się i tylko iskrzenia na jego ciele przypominały o kaskadzie błyskawic, która spłynęła z nieba. Białe, zielone i błękitne iskry tańczyły na jego skórze. Podniósł rękę i obserwował je na tle nocnego nieba.

Normalność nie jest dla niego, powinien o niej zapomnieć. Lepiej nie marzyć o rzeczach niemożliwych.

Jeśli Hope kpi z aur i kryształów, co pomyślałaby o nim, gdyby знаła prawdę?



## ***ROZDZIAŁ SZÓSTY***

### ***Środa - 8.40 rano***

Gideon oczekiwał, że już nie zastanie Hope, gdy pojawi się pod Srebrnym Kielichem. Miała czas, by przemyśleć wydarzenia z ostatniej nocy. Może właśnie składa raport i domaga się transferu do innej jednostki. Może jest w drodze powrotnej do Raleigh, choć nie wyglądała na tchórza. Mało prawdopodobne, aby zignorowała to, co między nimi zaszło.

Zaskoczyła go. Czekala na zewnątrz z filiżanką kawy w ręku. Jak zwykle w szarych spodniach i białej koszulowej bluzce, która na każdej kobiecie wyglądałaby zwyczajnie, a na Hope Malory sprawiała wrażenie wyrafinowanej elegancji. Ciekawe, czy Hope zdaje sobie sprawę, że spodnie od garnituru, które zwykle nosi, podkreślają długość jej nóg? A w połączeniu z butami na obcasach, które miały dodawać jej wzrostu, wyglądała wprost zabójczo. Jeśli miała na sobie amulet, który jej wczoraj dał, to nie było go widać.

- Nie powinnaś stać na dworze - zauważył, gdy otwierał jej drzwi do samochodu.

- Dzień dobry. Jaki plan na dzisiaj? - Gdyby nie to, że patrzyła w bok, podziwiałby jej nadludzkie opanowanie.

- Wybrałem cztery przypadki podobne do zabójstwa Sherry Bishop.

- Same kobiety?

- Trzy kobiety, jeden mężczyzna.

- Jakie podobieństwa?

- Podobne narzędzie zbrodni, no i za każdym razem morderca zabierał sobie jakąś pamiątkę. Nie zawsze palec i włosy, ale kolekcjonowanie pamiątek samo w sobie jest niecodziennym zachowaniem. Nie było żadnych świadków i żadnych dodatkowych poszlak. Wszystkie ofiary były samotne. Nie tylko

niezameżne, ale bez partnerów i mieszkającej w pobliżu rodziny. To może być przypadek, ale...

- Nie wierzę w przypadki - rzekła chłodno Hope.

- Ja też.

Od wczoraj nie pojawił mu się duch Sherry Bishop. To samo w sobie nie miało wielkiego znaczenia. Sherry może jeszcze wrócić i podzielić się z nim użyteczną - albo mało użyteczną - informacją. Albo nie zobaczy jej już nigdy, a wtedy jest zdany na własne siły.

Zerknął na Hope. Niestety, niezupełnie na własne siły. Choć Hope Malory jest ładna, inteligentna i intrygująca, on nie chce mieć partnera.

Co ona tu jeszcze robi? Przez czterdzieści osiem godzin starał się najpierw ją zniechęcić, a potem się z nią zaprzyjaźnić. Unieruchomił jej samochód, uratował jej życie i doprowadził ją do orgazmu. Powinna go albo kochać, albo nienawidzić, a tymczasem siedzi na swoim miejscu jak gdyby nigdy nic. W jaki sposób wyprowadzić ją z równowagi?

- Zadzwoń do mechanika. Spotka się z nami pod Hiltonem za dziesięć minut.

- Dziękuję.

- Po południu będą wyniki sekcji Sherry Bishop. Kiedy już prześlemy twój samochód w fachowe ręce, moglibyśmy trochę podzwonić i zebrać dodatkowe wiadomości o czterech niewyjaśnionych sprawach.

- W porządku. Chciałabym jeszcze w wolnej chwili zapoznać się ze sprawą Stilesa, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Może to on kryje się za wczorajszym zamachem, a blondynka, którą widziała sprzedawczyni z księgarni, jest Bogu ducha winna.

- Możliwe - zgodził się Gideon. - Jeśli mamy do czynienia z seryjną zabójczynią, to tego jednego nigdy wcześniej nie robiła. Nie usiłowała zabijać detektywów prowadzących śledztwo.

- Może przestraszyła ją poprzedzająca cię fama.



- Czyżbym wyczuwał nutkę sarkazmu w twoim głosie?

- Przecież jesteś wzorowym detektywem.

A więc nie jest tak chłodna i opanowana, za jaką chciałaby uchodzić.

Mechanik czekał na parkingu. Gideon zaparkował w pobliżu jej toyoty, ale zanim wysiedli, Hope ostrzegła:

- Jeszcze jedna rzecz, Raintree. Jeśli mnie dotkniesz choć jednym palcem, zastrzelę cię.

- To znaczy, że złożysz na mnie skargę do przełożonych?

Spojrzała mu w oczy z naganą i wyzwaniem. Pod tą lodowatą maską kłębiły się ludzkie uczucia. Zdecydowanie nie była z niego zadowolona.

- Nie. Zastrzelę cię. Sama rozwiązuję swoje problemy. Jeśli myślałeś, że sprowokujesz mnie do tego, że zacznę wypłakiwać się zwierzchnikom, to się grubo mylisz. Nie wiem, jak to zrobiłeś, i nie dbam o to. Jeśli nawet byłabym ciekawa, to nie pozwolę, żeby ciekawość utrudniła mi osiągnięcie celu. Od tej pory trzymaj łapy przy sobie, chyba że chcesz je stracić. - I wysiadła, definitywnie kończąc wymianę uprzejmości.

Do diabła. Zdaje się, że jest skazany na partnerkę.

Tabby przemierzała nabrzeże rzeki długimi krokami, niespokojna, zirytowana i niezadowolona. Pogrzeb Sherry Bishop odbędzie się dopiero w sobotę, i to w Indianie. Przeklęta Indiana! Czy ma tracić czas na jazdę nie wiadomo gdzie, bo istnieje nikła szansa, że będzie tam Echo Raintree? Nie. Zamierzała pozostać na miejscu i w sobotę wykonać swoją misję.

Trzeba się zmierzyć z rzeczywistością. Przestać myśleć o własnych pragnieniach i skoncentrować się na tym, co musi zrobić. Jest za późno, żeby dopaść Echo. Gdyby prorokini klanu Raintree potrafiła przewidywać przyszłość, to już by się podzieliła swoimi wizjami z pobratymcami. Może jej talenty są przereklamowane.

Tabby musi się skoncentrować na tym, co jest osiągalne. Nie ma możliwości zlokalizowania miejsca pobytu dziewczyny, więc zajmie się jej

kuzynem. Gideon Raintree jest na miejscu w Wilmington, tak blisko, że niemal fizycznie wyczuwa jego obecność.

Sąsiedzi Gideona stanowią poważne utrudnienie. Zbyt wiele wścibskich osób w okolicy. Zawsze jest ktoś na plaży albo na tarasie. Na wykonanie planu Tabby potrzebowała odosobnionego miejsca i trochę czasu - liczonego w minutach, a nie sekundach. Jeszcze lepiej byłoby go liczyć w godzinach, ale należy się liczyć z realiami.

Raintree i jego partnerka większość czasu spędzali na komendzie policji. Nie ma szansy go tam zaskoczyć. W dodatku chciała patrzeć w te zielone oczy, gdy będą się zasnuwać śmiertelną mgłą. Chciała wchłonąć w siebie jak najwięcej jego energii i wyciąć z jego ciała jedną czy dwie pamiętki.

Miała pomysł, jak go wywabić z bezpiecznej komendy i skierować gdzieś dalej od domu. Bulwar wzdłuż rzeki był zatłoczony, przechadzali się po nim turyści i nieliczni mieszkańcy. Lustrowała wzrokiem tłum. Ktoś tu musi być sam. Nie tylko bez towarzyszącej osoby, ale prawdziwie samotny. Tabby odrzucała kolejnych potencjalnych kandydatów, aż wreszcie jej wzrok padł na ofiarę.

Samotna, pełna lęku, pozbawiona bliskich. Niepewna, wrażliwa, stęskniona za dobrym słowem. O to chodzi.

Tabaet Ansara uśmiechnęła się i wpatrzyła w plecy rudowłosej kobiety. Ciekawe, czy ma przeczucie, że już niedługo umrze?

### ***Środa - 3.29 po południu***

- Co to znaczy, że procesor jest przepalony?

- Hope prawie krzyczała z bezsilnej złości. - Przecież to prawie nowy samochód! - Niestety, już poza okresem gwarancyjnym.

Dalsze wyjaśnienia mechanika niczego nie tłumaczyły. Nie miał pojęcia, co się stało. Trzeba wymienić bardzo drogi procesor, bez którego nie działa

elektronika w samochodzie. W warsztacie nie było potrzebnej części, sprowadzenie jej zajmie parę dni.

Hope trzasnęła słuchawką telefonu.

- Złe wieści? - Raintree spojrział na nią znad swojego biurka.

- Przez parę dni nie będę miała samochodu.

- Zaczęła wertować książkę telefoniczną. - Polecasz jakiś wynajem?

- Nie potrzebujesz wynajętego auta.

- Nie chcę cię traktować jak prywatnego kierowcy. - Samochód jej matki nie wchodził w grę.

Mało palił, ale był niewiele większy od pudełka cygar i miał irytujący zwyczaj zdychania na czerwonych światłach.

- Jak sobie radzisz z drażkiem?

- Słucham?

- Tradycyjna zmiana biegów - wyjaśnił. - Radzisz sobie z nią?

- Tak - odparła lakonicznie.

Raintree poważnie potraktował jej ostrzeżenie, bo trzymał się na odległość przez cały dzień. O to jej chodziło, prawda? Więc dlaczego w jego towarzystwie miała ochotę wrzeszczeć z frustracji?

- Pożyczę ci challenger. Podjedziemy dziś do mojego domu, dam ci kluczyki. - Widząc, że się waha, dodał: - Gdyby Leon był w tej sytuacji, udostępniłbym mu auto.

W pierwszej chwili miała ochotę odmówić, ale rozsądek wziął górę. W końcu to tylko parę dni.

- Dziękuję.

Gideon odsunął się od komputera i zaczął studiować akta dotyczące zabójstwa Sherry Bishop. Lada moment spodziewali się otrzymać raport koronera. Do ich pokoju zajrzał inny detektyw, Charlie Newsom, wyraźnie zainteresowany nową koleżanką. Jest pewnie miłym facetem, a nie draniem. Nic jej w nim nie drażni.

- Sprawdziłem dla ciebie Stilesa - oznajmił. - W zeszłym tygodniu trafił do więzienia za awanturowanie się po pijanemu.

- Zapłacił kaucję? - spytał Gideon.

- Nie. Nadal siedzi.

A więc to nie on wczoraj do nich strzelał.

Gideon przesuwał palcami po zdjęciu kobiety zamordowanej cztery miesiące temu w malej miejscowości. W aktach było więcej fotografii, ale akurat ta do niego przemawiała.

Marcia Cordell miała niewiele wspólnego z Sherry Bishop. Nigdy w życiu nie ufarbowałyby włosów na różowo ani nie nosiła kolczyka w pępku. Była trzydziestosześcioletnią nauczycielką na prowincji. Mieszkała w małym domku przy bocznej drodze, odziedziczonym po ojcu, który zmarł pięć lat wcześniej.

Przypominała Sherry tylko pod jednym względem - obydwie nie miały partnera. Sherry wypełniała puste wieczory muzyką i pracą w kawiarni, Marcia zapełniała pustkę cudzymi dziećmi, dwoma spasionymi kocurami i imponującą kolekcją szklanych kul z widoczkami z nieznanymi jej miejsc, które po potrząśnięciu wypełniały się wirującymi płatkami sztucznego śniegu. Obydwie zostały zamordowane przy użyciu noża pozostawiającego podobne rany. Sherry miała poderżnięte gardło. Marcia też, ale wcześniej zabójca dźgnął ją sześć razy. Głębokość śmiertelnej rany i kąt, pod jakim ją zadano, były podobne. Miejsce zbrodni w obu wypadkach zostało zdemolowane, jakby morderca wpadł w szal.

Odciał też i zabrał ze sobą jedno ucho Marcii.

Miejscowy szeryf, mimo braku kompetentnych służb, przeprowadził bardzo dokładne śledztwo.

Do tej pory nie uznał sprawy za zamkniętą i chętnie udzielał informacji przez telefon. Zaprosił Gideona do obejrzenia miejsca zbrodni, jako że Marcia Cordell nie zostawiła żadnych spadkobierców, a po jej śmierci nie było chętnych do kupienia domu.

Czy duch Marcii Cordell nadal błąka się po opustoszałych pokojach, szukając sprawiedliwości? To możliwe, ale prawdopodobieństwo nie jest duże. Niemniej tak bestialskie zabójstwo może na jakiś czas zatrzymać na ziemi ducha ofiary. Gdyby Marcia wiedziała, że pewien policjant postanowił za wszelką cenę złapać jej zabójczynię, może mogłaby odejść w pokoju.

Sterta akt na biurku zniechęcała go. Potrzebował czasu, by rozwiązać te sprawy. Zamknąć przestępców, odesłać błąkające się dusze do lepszego świata. Do licha, w pojedynkę nie da się naprawić błędów ludzkości. Nie może na taki świat sprowadzać dziecka.

- Dobrze się czujesz, Raintree?

Nawet nie słyszał, kiedy Hope weszła do pokoju.

- Nie - odparł. - Myślę, że mamy do czynienia z seryjną morderczynią.

### ***Środa - 11.17 wieczorem***

Gideon przykucnął obok ciała leżącego na tanim dywanie w hoteliku nie cieszącym się najlepszą reputacją. Rude włosy kobiety zasłaniały większość jej twarzy, ale i tak było widać zbyt wiele. Podobnie jak Sherry Bishop, ofiara zginęła od noża. Jednak tym razem śmierć nie przyszła szybko. Miejsce zbrodni przypominało zdjęcia z akt Marcii Cordell.

Lily Clark według prawa jazdy miała trzydzieści jeden lat. Przyjechała z małego miasteczka w Georgii na tygodniowe wakacje. W hotelu zameldowała się w sobotę w towarzystwie zaprzyjaźnionego mężczyzny, który według zeznań recepcjonisty nie pojawił się tu od niedzielnego popołudnia. Kobieta sprawiała wrażenie przygnębionej i nieraz widziano ją płaczącą. Hope, naturalnie, od razu uznała, że sprawcą jest chłopak Lily. Gideon wiedział, że to nieprawda.

Dwa zabójstwa w trzy dni to coś szokującego w spokojnym Wilmington. Fakt, że jedna z ofiar była turystką, z pewnością wzbudzi wielkie poruszenie.

- Powiedziała, że moje życie nie jest grosza warte - szeptał cicho duch. - Miała rację. Żyłam nie tak, jak chciałam. Egzystowałam, bojąc się własnego cienia. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby się bać czegoś takiego.

- Starala się cię poniżyć, Lily - pocieszał ją Gideon. - Nie pozwól, żeby cię raniła nawet teraz. Zapomnij o wszystkim, co do ciebie mówiła.

- Miała rację. - Duch Lily Clark nie był w stanie posłuchać jego rady. - Powiedziała, że jestem brzydka, jeszcze zanim pocięła mi twarz. Powiedziała, że lepiej abym umarła, bo żaden mężczyzna nigdy mnie nie pokocha. - Zjawa siedziała na brzegu łóżka z rękami splecionymi na kolanach. Jej dolna warga drżała. Była wyraźniejsza niż Sherry Bishop. Gideon wiedział, że nie odejdzie z tego świata tak łatwo.

Hope rozmawiała z personelem hotelu. Dwóch mundurowych pilnowało wejścia. Gideon był sam z duchem Lily.

- Ta kobieta nie miała racji. Zapomnij o wszystkich jadowitych słowach, jakie ci sączyła do ucha, i pomóż mi ją znaleźć. Powiedziałaś, że była wysoką blondynką. Opowiedz mi o jej nożu.

- Chyba był stary. Był bardzo ostry, miał srebrny uchwyt. Zobacz. Odcięła mi mały palec!

Tym razem nie zrobiła tego po śmierci ofiary.

- Czy na ręczce był wygrawerowany napis?

- Tak - potwierdziła Lily z ożywieniem. - Dziwny napis. Na pewno nie po angielsku.

- Nigdy wcześniej jej nie widziałaś?

- Byłam kompletną idiotką - skarżyła się zjawa. - Przyjechałam z Jerrym i od razu na początku okazało się, że jest żonaty, a potem zaprosiłam tę potworną kobietę do swojego pokoju. Oczywiście, wtedy jeszcze nie wiedziałam, że to psychopatka. Wydawała się taka miła, kiedy się poznałyśmy na bulwarze. Wpadłyśmy na siebie, najdosłowniej, i oblałam ją lemoniadą. Myślałam, że się wścieknie, ale tylko się roześmiała. Zaczęłyśmy rozmawiać. Od słowa do słowa,

okazało się, że też ma problemy ze swoim chłopakiem. Miałyśmy wyjść i zabawić się trochę... - Lily spojrzała na Gideona z namysłem. - Czekaj chwilę. Czy nazywasz się Raintree? Gideon Raintree?

Kiwnął głową z niemiłym uczuciem niepokoju.

- Zapomniałam. Mam ci przekazać wiadomość.

Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.

- Ta kobieta powiedziała, że musisz przyjść o północy na bulwar nad rzeką, pod kawiarnię, w której pracowała zabita kelnerka. Masz być sam. Jeśli nie przyjdiesz, zabije kolejną osobę. Jest jej wszystko jedno, kogo. Myślę, że wybierze kogoś podobnego do mnie, po kim nikt nie będzie płakał.

Uczucie niepokoju nasiliło się. Morderczyni chyba jest świadoma jego skrywanych zdolności. Czy ma jakieś paranormalne uzdolnienia, czy zatrudniła jasnowidza, który zdołał podejrzeć jeden z sekretów Gideona? W tej chwili nie miało to znaczenia. Morderczyni torturowała i zabiła tę biedną kobietę tylko po to, by mu przekazać wiadomość.

Być może Lily Clark nie będzie w stanie zapomnieć o tym koszmarze.

- Każdy człowiek, jeśli odchodzi przedwcześnie, zostawia po sobie wyrwę, której nie sposób zappełnić. Będzie cię brakowało - mówił, choć Lily kręciła głową, a jej sylwetka stała się niewyraźna.

- Mój były mąż z pewnością za mną nie zatęskni, a rodzice będą na mnie źli, bo nie dałam im wnuków. W pracy przez cały dzień siedzę przy komputerze. On z pewnością nie odczuje mojego braku.

- Mnie będzie cię brakowało. - Gideon spojrzał najpierw na nieruchome ciało, a potem na mglistą postać na brzegu łóżka.

- Dlaczego?

- Bo nie mogę przestać myśleć, że gdybym wczoraj złapał kobietę, która ci to zrobiła, wciąż byłabyś żywa.

Lily wysunęła rękę, jakby chciała go dotknąć. Poczł muśnięcie chłodu.

- Nie winię cię.

- Ale ja winię siebie.
- Czy ty zawsze to robisz?

Gideon poderwał głowę. W drzwiach, oparta o nie, stała Hope. Jak długo go obserwowała?

- Co robię?
- Obwiniasz się - odparła z niespodziewaną nutą współczucia.
- Jej chłopak nie jest mordercą. To była ta sama kobieta, która poderżnęła gardło Sherry Bishop.

- Wiem, że ofiara ma odcięty palec, ale zbrodnia ma zupełnie inny charakter. Bishop zginęła od jednego cięcia, Clark była torturowana. Zabójstwo miało osobisty charakter.

- Nie, było po prostu chore. Podobnie jak zabójstwo Marcii Cordell. Winna jest jedna i ta sama psychopatka. Chcę, żeby jak najprędzej zrobiono analizę narzędzia zbrodni. Głowę daję, że za każdym razem używa tego samego noża.

Postąpił krok w kierunku Hope, ona się jednak nie cofnęła. Musi się jakoś pozbyć swojej partnerki, zanim pójdzie na spotkanie na bulwarze. Nie chciał tłumaczyć, skąd wie, że znajdzie tam morderczynię, i nie chciał narażać Hope na niebezpieczeństwo.

- Niewiele dzisiaj zdziałamy - stwierdził zmęczonym głosem. - Niech technicy zbiorą wszystkie ślady, a jutro od rana zaczniemy śledztwo.

- Jutro rano? - Hope wyglądała na zaskoczoną.
- Tak. Jestem wykończony. Chodźmy już.

Przez chwilę słychać było jedynie narzekania Lily, która uskarżała się, jak beznadziejne były jej związki z ludźmi. Jej duch z pewnością zostanie tu do jutra. Trzyma ją tutaj zbyt wiele niezłatwionych spraw.

- Idź - zaproponowała w końcu Hope. - Ja się tu jeszcze trochę rozejrzę.

Bezpieczniej byłoby zostawić ją w domu, za zamkniętymi drzwiami, ale nie zamierzał o to kruszyć kopii. Na szczęście zauważył wcześniej na jej szyi



rzemyczek od talizmanu, który zrobił dla niej wczoraj. Na razie chroni ją zaklęcie.

- Do zobaczenia rano. - Z tymi słowami zostawił za sobą zakrwawiony pokój hotelowy.

Czekać do rana? Mowy nie ma. Po dwóch, a właściwie już trzech dniach dobrze wiedziała, że to nie w stylu Gideona. Hope wyniknęła się w ślad za nim. Był zamyślony i nie zauważył jej, gdy wsiadał do mustanga.

Nie mogła jechać za nim tym wielkim i hałaśliwym czerwonym challengerem, którego jej pożyczył, bo zauważyłby ją zaraz przy wyjeździe z parkingu. Toteż zwróciła się do recepcjonisty:

- Czy mogę pożyczyć pański samochód?

- Słucham? - spytał z niedowierzaniem.

- Proszę o kluczyki do pańskiego samochodu. Oddam najszybciej, jak będę mogła, i zatankuję do pełna.

Mężczyzna wyraźnie się ociągał.

- Nie ukradnę go panu. Jestem policjantką. Wreszcie niechętnie podał jej kluczyki.

- To ten szary pikap.

- Dziękuję. - Podbiegła do samochodu, wypatrując, w którą stronę jedzie Gideon. Skręcił w Market Street. To z pewnością nie jest droga do jego domu.

O tej porze ulice były opustoszałe. W centrum kręcili się tylko turyści, którzy szukali zabawy w nocnych klubach. Śledzenie mustanga było proste, chociaż istniało ryzyko, że Gideon zauważy samochód, który siedzi mu na ogonie.

Było kilka możliwych scenariuszy wyjaśniających jego pospieszne wyjście z hotelu. Mógł być zmęczony, ale w tym wypadku jechałby w przeciwnym kierunku, do Wrightsville Beach. Może ma randkę o północy z kimś w rodzaju swojej sąsiadki Honey? Zdaje się, że żadna dziewczyna w okolicy nie odrzuciłaby takiej okazji. Ale może Gideon jest skorumpowanym gliną i jedzie

na potajemne spotkanie z dilerem narkotyków. Może śmierć Lily Clark jest związana ze sprawami, które rozwiązał wcześniej, i znalazł jakąś wskazówkę zdradzającą tożsamość zabójcy?

Nie miała zamiaru go polubić, więc czemu jej tak bardzo zależy na tym, by jechał na spotkanie z dziewczyną? Wolałaby nawet scenariusz, w którym było miejsce na taniec, drinki i niezobowiązujący seks niż potwierdzenie jej najgorszych podejrzeń i udowodnienie, że ten wzorowy policjant jest zamieszany w ciemne interesy.

Zaparkował samochód, a ona przejechała obok i zatrzymała się dopiero za skrzyżowaniem. Szedł w kierunku bulwaru nad rzeką. Hope skradała się, utrzymując odpowiedni dystans, by nie stracić go z oczu. Nabrzeże było dobrze oświetlone, ale w nocy nie brakowało cienia, w którym mogła się skryć. Raintree szedł wolno, ale pewnie, z charakterystycznym dla siebie niedbałym wdziękiem. W pewnym miejscu przystanął, oparł się o drewnianą barierę i zaczął wpatrywać się w rzekę.

Przyszła jej do głowy kolejny scenariusz, najlepszy z dotychczasowych. Gideon nie czeka na Honey ani na handlarza narkotykami. Przyszła tu pomyśleć w spokoju nad prowadzonymi śledztwami. Robił to w trochę dziwny sposób: mówił do siebie na głos, dopasowywał kawałki układanki, wyciągał wnioski. Hope obserwowała go, ukryta w ciemności. Doszła już do wniosku, że nie doczeka się niczego podejrzanego.

I właśnie wtedy spojrzał na zegarek. Czekał na coś. A raczej na kogoś.

Parę minut później z cienia wyszła wysoka blondynka. Zmierzała w jego stronę zdecydowanym krokiem.

Kobieta. Powinna była się domyślić. Mężczyźni tacy jak on nie narzekają na brak damskiego towarzystwa, nawet wtedy, gdy poślubili swoją pracę. Przed chwilą przemawiał do ofiary, która nie mogła go już usłyszeć, i zapewniał, że jej życie było ważne, że sprawiedliwość zostanie wymierzona. A tymczasem

zamiast prowadzić dochodzenie, urwał się na randkę? To nie ma sensu, ale mężczyźni nie zawsze robią to, czego można by się po nich spodziewać.

Hope zamierzała dyskretnie wrócić do hotelu i nigdy się nie przyznać, że go śledziła, kiedy jakieś niewytłumaczone przeczucie kazało jej się zatrzymać.

Kobieta idąca w kierunku Gideona...

Miała długie jasne włosy. Jeden taki włos znaleziono na zwłokach Sherry Bishop. Była bardzo wysoka i poruszała się w sposób świadczący o tym, że ma mięśnie atletki i potrafi się nimi posługiwać.

Nagle lewą ręką sięgnęła pod kurtkę i wyciągnęła długi, złowrogo wyglądający nóż.

## ***ROZDZIAŁ SIÓDMY***

- To ona! To ona! - Lily Clark podskakiwała i wymachiwała ręką w kierunku blondynki, która zdawała się nie widzieć swojej ostatniej ofiary.

- Wiem - mruknął Gideon.

- Zastrzel ją.

- Jeszcze nie teraz. - Chciał się dowiedzieć, co kobieta wie, i skąd. Poza tym zastrzelenie podejrzanej na bulwarze nie jest standardową policyjną procedurą.

Blondynka uśmiechnęła się zimno i upewniła, że zauważył nóż w jej ręku. Ludzie pijący kawę w pobliskiej kawiarni nie spostrzegliby niczego podejrzanego, bo schowała broń pod połą kurtki. Zresztą nikt nie patrzył w ich stronę, wszyscy zajęci byli własnymi sprawami, własnym życiem. Nie mieli pojęcia o tym, że parę kroków od nich stoi krwiożercza bestia.

- Jestem - powiedział i pokazał puste ręce, by podkreślić, że nie ma broni.

- Wiedziałam, że przyjdiesz, Raintree.

- Wiesz, jak się nazywam. A ty?

- Tabby. - Uśmiechnęła się szerzej.

Zapewne mówi prawdę. Uznała, że nie będzie żył tak długo, by się z kimś podzielić tą informacją.

- Czego chcesz, Tabby?

- Porozmawiajmy.

- Mnie też tak zaczepiła - denerwowała się Lily. - Jesteś policjantem.

Zastrzel ją.

- Jeszcze nie.

- Co właściwie... - Tabby zawahała się i rozejrzała. - Któraś z nich jest tutaj? Może obie? Nie, to musi być ta maruda Clark. Zagadała mnie niemal na śmierć, zanim ją zakneblowałam.

Lily rzuciła się na nią w bezsilnej pasji, ale tylko przepłynęła obok. Blondynka zapewne odczuła lodowaty podmuch, bo przestała się uśmiechać.

Tortury spowodowały, że Lily znacznie wyraźniej się materializowała niż większość duchów. Przy odrobinie koncentracji mogłaby nawet fizycznie manifestować swoją obecność.

Tabby zatrzymała się parę kroków od niego. Wokół było zbyt wielu gapiów, aby posłać w jej stronę wyładowanie elektryczne, ale jeśli jej dotknie, skieruje prąd wprost do jej serca i osiągnie ten sam efekt.

- Masz wybór, Raintree. Możesz dobrowolnie pójść ze mną, wtedy porozmawiamy na osobności, albo możesz mi utrudnić życie, a wtedy po zabiciu ciebie wyładuję się na tych Bogu ducha winnych turystach i mieszkańcach twojej rodzinnej miejsciny. Jako duch ciągle będziesz w pobliżu, ale nie będziesz w stanie mnie powstrzymać. To mi się podoba.

- Mam wrażenie, że spacer z tobą byłby niebezpieczny. Czemu nie porozmawiamy tu, gdzie jesteśmy?

- Jeśli mnie nie posłuchasz, znajdziesz się w prawdziwym niebezpieczeństwie - syknęła Tabby i ścisnęła mocniej nóż.

Gideon poczuł iskrzenie elektryczności na koniuszkach palców. Jeśli Tabby nie zostawi mu wyboru...

Zbliżyła się do nich jakaś młoda, zapatrzona w siebie para.

- Jeden twój ruch i zaszlachtuję ich oboje.

Gideon zamarł, pewien, że Tabby spełniłaby swoją groźbę. Kiedy młodzi ludzie oddalili się, powiedział:

- Aresztuję cię lub zabiję. Wybieraj.

Nie przejawiała strachu, uśmiechnęła się szerzej i nagle uśmiech zniknął, a jej twarz się przeobraziła.

- Chodź ze mną.

Gideon wyciągnął rękę, zdecydowany złapać ją za przegub i posłać śmiertelną dawkę elektryczności wprost do serca. Nikogo do tej pory w ten sposób nie zabił, ale ten potwór w ludzkiej skórze nie zasługuje na nic innego.

Zanim zdążył jej dotknąć, błyskawicznym ruchem sypnęła mu w twarz jakiś proszek. Mikroskopijne ziarenka wpadły mu do oczu, ust i nosa - w jednej sekundzie przestał widzieć i stał się półprzytomny. Nie trafił, a ona zamachnęła się nożem. Był to dobrze wymierzony cios, którego się nie spodziewał. Ostrze wbiło się głęboko w udo.

Gideon zachwiał się i upadł na trotuar. Tabby wzięła kolejny zamach, lecz tym razem nie wycelowała precyzyjnie. Gideon cofnął rękę i czubek noża zaledwie drasnął jego skórę, zostawiając na niej krwawą rysę. Tabby nie zdołała odciąć małego palca, który najwyraźniej chciała zabrać. Zakłęła i rzuciła się do ucieczki.

Póلهżąc na chodniku, podniósł rękę i przygotował się do posłania w ślad za nią błyskawicy. Jednak się zatrzymał. Świat przed oczami falował. Nie był pewien, jak wiele osób w kawiarni zwróciło uwagę na wydarzenia na bulwarze. Jeśli zabije Tabby, w jaki sposób ustali, skąd uzyskała wiedzę o jego umiejętności kontaktowania się ze zmarłymi? Ile osób zabiła i dlaczego?

Nie może dopuścić do tego, by uciekła. Znowu wycelował rękę w kierunku uciekającej i zmobilizował więcej energii, niż kiedykolwiek wymierzył w kierunku innego człowieka, jednak znowu się powstrzymał. Znajomy głos

wzywał go po imieniu. Raintree! Młoda para, która mijala go przed chwila, zatrzymala sie, i chlopak zaslonil znikajace w oddali plecy Tabby. Swiat zaczal wirowac.

Nie wiadomo skad pojawila sie nad nim Hope z pistoletem z reku.

- Dobrze sie czujesz?

- Co tu do diabla robisz? - Powinien byl sie domyslisc, ze Hope nie odpuści i bedzie go sledzic.

Ta kobieta ma talent do pojawiania sie tam, gdzie nie powinna.

- Wezwij pomoc! - zawolala, podejmujac pościg.

Gideon oparl sie plecami o balustrade i przyjrzal ranie na udzie. Zagoi sie, ale nie tak szybko jak zadrapanie na dloni, ktore juz zaczelo znikac. Ostrze weszlo glęboko, stracil wiele krwi. Ucisl ud dlońmi, by zatamowac jej uplyw. W kazdym innym okresie roku pojechalby na pogotowie, ale teraz nie mogl tego zrobic. W tygodniach poprzedzajacych równonoc wiosenna lub jesienna, oraz letnie i zimowe przesilenie, jego moc wzrastala do tego stopnia, ze trudno ja bylo kontrolowac. Stanowilby smiertelne zagrozenie dla delikatnej aparatury medycznej.

Próbował zachowac trzeźwość myśli. Seryjna morderczyni poznala jego sekret. To koszmar. Tabby nie musi juz krązyc z miasta do miasta. Bedzie sie bawila z nim w chowanego, przysylajac mu kolejne udręczone dusze swych ofiar, domagajace sie sprawiedliwej kary dla psychopatki. Ta gra ustanie dopiero ze śmiercią jego lub Tabby. W głowie mial kompletny zamęt. Kazdy ruch wymagal wysilku. To nie byla reakcja na zranienie, krwotok nie byl niebezpieczny dla jego zycia. Czul dzialanie narkotyku, ktorym obsypala mu twarz. Ucisl rane mocniej. Udo przeszył nieznośny ból.

Światła w kawiarni rozjasnily sie i zamigotaly. Lampy uliczne zachwialy sie nad jego głową. Ich obraz zaczela przeslaniac mgla. Serce pracowalo

nierytmicznie. Jakaś częścią swego umysłu Gideon wiedział, że powinien się podnieść, ale mięśnie nie chciały go posłuchać. Ciało było ciężkie jak ołów, a on nie mógł się na niczym skoncentrować. Jest źle. Bardzo źle.

Z mroku wyłoniła się Hope. Poruszała się wolniej niż wtedy, gdy ścigała napastniczkę, ale i tak bardzo szybko. Jakim cudem biega w butach na obcasach?

- Zgubiłam ją - oznajmiła zadyszana. - Do licha, miałam ją jak na talerzu... - Pokręciła głową z niedowierzaniem i frustracją. Przykucnęła obok. - Wyglądasz fatalnie. Wezwałeś posiłki i karetkę?

- Nie - szepnął zdrtwiałymi wargami.

- Nie zadzwoniłeś? Do diabła, Raintree... Złapał ją za rękę, zanim wybrała numer.

- Niepotrzebny szpital. Niepotrzebna pomoc. Zabierz mnie do domu.

- Do domu! - Odsunęła jego dłoń i zerknęła na ranę. - Mowy nie ma. Muszę cię zawieźć do lekarza.

- Nie mogę.

- Musisz jej wszystko wyjaśnić - wtrąciła się Lily Clark.

- Nie mogę.

- Zrozumie - dodała Lily niemal ze współczuciem.

- Nie zrozumie. - Gideon czuł tylko, że ma mętlik w głowie. - Nikt nie jest w stanie tego zrozumieć.

- Co zrozumie? - Hope zaczęła się niepokoić. - Raintree, tylko nie zaczynaj tu majaczyć. - Starła się oswobodzić rękę z telefonem komórkowym i wezwać pogotowie.

Może Lily ma rację. Od bardzo dawna strzegł swej tajemnicy, a jednak Tabby ją odkryła. Może jego sekrety przestały być sekretami? Spojrzał na bladą twarz zjawy, którą widział tylko on.

- Może masz rację. Może powinienem powiedzieć prawdę. Pomyśli, że zwariowałem.

Rudowłosy duch położył mu rękę na czole. Poczuł wyraźny chłód. Codziennie widywał zmarłych i rozmawiał z nimi, ale bardzo rzadko go dotykali.

- Nie bądź taki jak ja - szepnęła Lily. - Nie ukrywaj się przed światem. Żyj pełną piersią i zostaw wielką wyrwę w tym świecie, kiedy przyjdzie na ciebie pora. Powiedz jej.

- To nie jest dobry pomysł.

- Raintree, przestań. Przerażasz mnie. - W głosie Hope brzmiała troska.

Gideon przekręcił głowę, by ją lepiej widzieć. Nadal widział wszystko jak przez mgłę, ale noga nie bolała już tak bardzo. Hope martwi się o niego, choć pewnie by się do tego nie przyznała. Już dawno nie rozmawiał z nikim o swoich niezwykłych uzdolnieniach. Ostatnim razem... nie skończyło się to najlepiej.

- Nie chciałem cię przestraszyć. Rozmawiałem z Lily Clark.

- Lily Clark nie żyje.

- Wiem.

Ktoś z kawiarni zauważył w końcu, że na chodniku dzieje się coś niezwykłego, i jacyś ciekawscy zaczęli wychodzić na dwór. Ma niewiele czasu.

- Pamiętasz, powiedziałem ci, że rozmawiam ze zmarłymi?

- Tak.

- To szczerą prawdą.

Raintree ma halucynacje. To jedyne wyjaśnienie.

Halucynacje w wyniku paskudnej, ale niezagrażającej życiu rany od noża? Bez sensu.

- Jedziemy do szpitala. Dzwonię po pogotowie.

- Nie mam czasu na kłótnie. W tym tygodniu nie mogę pójść do szpitala. Zobacz. - Skierował wzrok na najbliższą lampę uliczną. Ekspłodowała, rozsypując wokół fontannę iskier. Nadchodzący z kawiarni ludzie przystanęli.

- Następna - szepnął Gideon. Kolejna lampa uliczna podzieliła los pierwszej. - Jeszcze jedna?



- Niekoniecznie - odparła cicho Hope.

- Czy mam wezwać karetkę? - zawołał jeden ze zbliżających się mężczyzn. Wyglądał na osobę przyzwyczajoną do dyrygowania innymi, ale nie był to kierownik kawiarni, z którym rozmawiali wcześniej.

- Dziękuję. - Hope sprawiała wrażenie spokojnej. - Mój przyjaciel nadużył alkoholu, potknął się i skaleczył odłamkiem szkła. Byłabym wdzięczna za bandaż albo ręcznik. Opatrzę go i odwiozę do domu.

Słyszac to było banalne wyjaśnienie, gapie zawrócili do kawiarni.

- Oczywiście - odrzekł mężczyzna. - Mam apteczkę.

- Świetnie - podziękowała Hope.

- Świetnie - powtórzył jak echo Gideon. - Wierzysz mi teraz?

- Oczywiście, że nie.

- Ale sama widziałaś...

- Wiem, że dzieje się coś, czego nie pojmuję. Muszę to rozgryźć.

Raintree zwrócił się w drugą stronę i rzucił:

- Tak, jest ładna, ale nieprzeciętnie uparta.

- Znowu rozmawiasz z duchem Lily Clark?

- Uważa, że powinnaś się pozbyć uprzedzeń.

- Doprawdy?

- Tak. - Po chwili milczenia zmienił temat. - Nie straciłem tyle krwi, żeby odczuwać tak silne osłabienie. Coś mi rzuciła w twarz. Jakiś narkotyk. Może nawet truciznę. Nie jest dobrze. Muszę dostać się do domu.

- Musisz się znaleźć w szpitalu.

- Nie. Lily uważa, że dobrze się mną zaopiekujesz.

- To nie wygląda na skaleczenie kawałkiem szkła - rzekł mężczyzna z kawiarni, stając przy nich. Hope wzięła od niego środki opatrunkowe i machnęła mu przed nosem odznaką policyjną. - W porządku, nie moja sprawa. - Nie miał ochoty wtykać nosa w cudze sprawy.

Hope szybko zabandażowała nogę Gideona.

Najwyraźniej majaczy, potrzebuje opieki specjalisty. Lampy to czysty przypadek. Może zauważył, że ich światło zaczęło migotać, zablefował i sam uwierzył, że je zgasił. Z pewnością nie da się uszkodzić lamp ulicznych siłą spojrzenia. Zdrowy rozsądek dyktował jej, że musi wsadzić swego partnera do samochodu i dowieźć go na pogotowie.

- Nie wierzysz mi - stwierdził.

Mówił coraz bardziej bełkotliwie. Może naprawdę jest pod wpływem jakiegoś środka odurzającego? Lekarz z pewnością to ustali, a ona z pewnością nie jest lekarzem. Nie miała wystarczająco dużo cierpliwości, by opiekować się czasem dziećmi przyjaciół. Nawet złotą rybkę doprowadziła do śmierci głodowej.

- Przepraszam, Raintree. - Trudno było go podpierać, bo był dużo cięższy, ale jakoś się posuwali krok za krokiem. Gapie z kawiarni myślą pewnie, że jest pijany. Niech tak myślą. To jest prostsze niż wyjaśnianie wszystkim, co się naprawdę stało.

Raintree znowu coś wymamrotał.

- Co mówisz?

- Nie mówiłem do ciebie.

- Och, z pewnością.

- Dotknij jej - powiedział nagle. - Większość duchów nie jest w stanie fizycznie manifestować swojej obecności, ale ty jesteś inna, Lily. Twoja energia jest nadal związana z ziemskim bytem. Jeśli się mocno skoncentrujesz...

- Przestań, Raintree. To już nie jest śmieszne. - Nagle poczuła na policzku coś, co przypominało dotyk lodu, i omal się nie potknęła.

- Dotknęła cię. Z lewej strony. Tuż pod kością policzkową.

Zimno sięgnęło jej żołądka, jakby ktoś przyłożył lodowaty palec pod bluzką.

- Żołądek - mruknął Raintree.

- Nie wiem, jak to robisz. - Hope oblizwała wargi.

- Uszy.

Zimny dotyk sięgnął uszu. Po obu stronach głowy. Przeszli pod lampą, która zaczęła migotać i nagle zgasła.

- Nie jestem w stanie kontrolować mojej energii - westchnął Gideon. - Jeśli pójdę do szpitala, aparatura podtrzymująca życie będzie reagować na moją bliskość w podobny sposób jak te lampy. Nie mogę narażać ludzi. Zawieź mnie do domu, partnerko. Zaufaj mi.

Hope Malory nie ufała nikomu, a już szczególnie osobom opowiadającym tak niewiarygodne historie i stosującym prymitywne tricki dla naiwnych. Mimo to, po usadowieniu Gideona na siedzeniu pasażera w jego aucie, nie skierowała się do szpitala, tylko prosto do Wrightsville Beach.

Cokolwiek Tabby rzuciła mu w twarz, pomału przestawało działać. To nie była śmiertelna trucizna, bo jego stan uległby pogorszeniu. Była to zapewne substancja odurzająca, która miała go unieruchomić. Rozumiał, dlaczego.

Widział ciało

Lily Clark ze śladami tortur. Morderczynie chciała go zaskoczyć i to jej się udało.

Potrzebowała jednak więcej czasu. Chciała go mieć na swojej łasce i niełasce. Chciała go torturować.

Gideon wyjął swój ochronny talizman i delikatnie pogłaskał go palcami. Hope może nie wierzyć w magię, ale on wie lepiej. Centymetr w drugą stronę i nóż uszkodziłby arterię. Tabby mogła do niego strzelić. Mogła mu odciąć palec.

Hope mogła być zupełnie gdzie indziej, a tymczasem stała tuż za nim i pilnowała jego pleców.

- Co właściwie tu robisz? - zapytał.

Zakłęła pod nosem i w milczeniu wiozła go pustą drogą wzdłuż plaży. W żadnym domu nie paliło się światło.

- Pytam z ciekawości - wyjaśnił.

- Ta historia z czekaniem do rana na prowadzenie śledztwa? To było zupełnie do ciebie niepodobne.

- Więc mnie śledziłaś.

- Tak. Masz z tym problem?

- W tej chwili nie.

Lily gdzieś się rozpląnęła, ale wiedział, że nadal pozostaje przykuta do ziemi. Obserwowała scenę zbrodni w hotelu? Pracę patologów sądowych w czasie sekcji? Tabby wywarła swoje piętno na tej nieszczęsnej kobiecie i utrudniła jej zerwanie więzi ze światem.

- Wezwę lekarza do domu. - Hope zaparkowała na podjeździe.

- Mowy nie ma.

- Niech cię diabli!

- Nie potrzebuję doktora.

- Widziałam ranę. Trzeba założyć szwy. Poszłam ci na rękę i przywiozłam cię do domu, ale teraz...

- Zapominasz już, jak Lily cię dotknęła. I to, że widziałem, gdzie cię dotykała.

- Sztuczka godna iluzjonisty. Któregoś dnia mi pokażesz, jak to robisz.

Pomogła mu wysiąść i podpierała w drodze do drzwi kuchennych. Powoli wchodzili po schodach; dzięki jej pomocy udało mu się pokonać przeszkodę. Nienawidził poczucia uzależnienia od innych, ale w tej chwili...

- Całe życie opiera się na elektryczności - zaczął. - Elektryczność wspomaga bicie twojego serca, pracę mózgu i utrzymuje istnienie ducha po śmierci ciała. Nie mam teraz siły na wdawanie się w techniczne szczegóły. To by zajęło zbyt wiele czasu. Czy na razie rozumiesz mój wywód?

- Brzmi prawdopodobnie - przyznała.

- Elektryczność może wywołać skurcze różnych mięśni i organów, czasem z interesującymi, a nawet rozkosznie przyjemnymi efektami.

- Ostrzegam cię, Raintree...

- Mam na imię Gideon. - Weszli do kuchni. Hope zapaliła światło. - Jeśli nadal mi nie wierzysz, chętnie ci to zademonstruję.

- Nawet o tym nie myśl! - Odsunęła się od niego trochę, ale go nie puściła. Całe szczęście, bo chyba by nie ustał o własnych siłach.

Uśmiechnął się z wysiłkiem. Powinien sobie darować. Ona sama znajdzie sposób, by zracjonalizować niepożądane doświadczenia. Ludzie skonfrontowani ze zjawiskami, których nie pojmują, zawsze w końcu znajdują wyjaśnienia, które do nich przemawiają.

- Widzę duchy od zawsze. Jako dziecko nie rozumiałem, że nie wszyscy je widzą i słyszą. Erupcje elektryczne pojawiły się później. Miałem dwanaście lat, gdy po raz pierwszy spaliłem telewizor. Jako piętnastolatek umiałem już kontrolować własną moc. Wiedziałem, jak się nią posługiwać, jak ją okiełznać. Jednak tygodnie najbliższe przesilenia lub równonocy są nieprzewidywalne. Letnie przesilenie jest tuż-tuż. W niedzielę. - Spojrzał jej prosto w oczy. - To ja uszkodziłem twój samochód.

- Nie wierzę.

- Zapłacę za naprawę. Już rozmawiałem z mechanikiem. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby tkwić nie wiadomo gdzie w zepsutym samochodzie, bo przepalił się w nim jakiś procesor. Co to za idiotyczny pomysł. Komputer na czterech kółkach.

W sypialni odpiął pas, odłożył pistolet i odznakę. Zdjął marynarkę i rzucił ją na łóżko. Potem opadł z ulgą na materac.

- Możesz już iść do domu.

Zamknął oczy, a zanim ogarnęła go ciemność, dotarły do niego słowa Hope, że nie ma zamiaru go opuścić.

Co za uparta baba.

Tabby przez dłuższy czas ukrywała się, przykucnięta przy wystawie zamkniętego o tej porze sklepu. Kiedy wreszcie rzuciła się do ucieczki, biegła, aż zabrakło jej tchu i nogi odmówiły posłuszeństwa. Jeśli Raintree i jego

partnerka wezwali posiłki, pościg musiał zmylić tropy. Wokół panowała cisza i nawet w oddali nie było słychać policyjnych syren.

Może nie ściągnęli patrolu? Gideon musiałby jakoś wytłumaczyć, skąd wie, że ją tu znajdzie. Gdyby jego talenty stały się powszechnie znane, nie miałby ani chwili spokoju. Połowa świata uważałaby, że trzeba go zamknąć w szpitalu psychiatrycznym, druga połowa chciałaby go wykorzystać.

Wymierzyła jeden celny cios, ale to nie wystarczyło. Gdyby trafiła trochę bardziej w lewo, przecięłaby tętnicę i wykrwawiłby się, zanim jego partnerka sprowadziłaby pomoc. W ostatnim momencie ręka jej się omsknęła. Na szczęście oślepiła go na chwilę. Środek, którego użyła, ściągnie na niego koszmarne sny i będzie działał przez dłuższy czas. Ciekawe, jakie zmory będą nawiedzały wroga.

Jego partnerka wyskoczyła nie wiadomo skąd i wszystko zepsuła. Teraz już nie ma czasu na gry. Nie ma miejsca na finezyjne plany. Zresztą finezja nie jest mocną stroną Tabby.

Do sobotniej nocy Echo i Gideon muszą zginąć. Jeśli jej się nie uda, w niedzielę rano to ona będzie wachać kwiatki od spodu albo spłynie rzeką do oceanu. Cael nie będzie sobie zawracał głowy organizacją jej pogrzebu.

Kilka kropli krwi Gideona poplamiło ostrze noża i jej rękę. Tabby podniosła dłoń do nosa i wciągnęła zapach. Wyobraziła sobie moc, którą odziedziczy po zabitym. Raintree. Jego krew. Nie jest to łup tej miary co palec, ucho lub kawałek skalpu, ale... Raintree. Jest blisko. Tak bardzo blisko.

Czas przycząć się gdzieś, przemyśleć sytuację i opracować nowy plan. Ten nie może zawieść. Niestety, nie będzie miała czasu, by po swojemu poigrać z ofiarą, ale do końca tygodnia Gideon będzie martwy.

I nie odejdzie z tego świata sam.

## ***ROZDZIAŁ ÓSMY***

Przez dłuższą chwilę Hope siedziała na krześle przy łóżku Gideona i patrzyła, jak śpi. Rzucił się, jakby dręczyły go koszmary, a potem zasnął jak zabity. Ten nienaturalny bezruch niepokoił ją bardziej niż wcześniejsze majaczenie czy rana na udzie.

Kiedy stracił przytomność, zdjęła bandaż z rany, zdecydowana wezwać lekarza, gdyby stan się pogorszył. Jakimś cudem zraniona noga była w lepszym stanie niż poprzednio. Nadal nosiła ślad po paskudnym dźgnięciu nożem, ale Hope uznała, że interwencja chirurga nie będzie konieczna. Jednak nadal miała dziwne uczucie, gdy patrzyła na silnego i zdrowego człowieka pogrążonego w letargu.

Zdołała ściągnąć mu spodnie, opatrzyć ranę i zabandażować ją ponownie. Nie obudził się nawet na chwilę. Trochę trudniej było ściągnąć mu koszulę, ale i z tym sobie poradziła.

Mokrym ręcznikiem starła mu z twarzy proszek przypominający piasek. Nie było go zbyt wiele.

Ziarenka przykleiły się do brody, policzka i kącika oka. Zapewne substancji było za mało do przeprowadzenia analizy, ale na wszelki wypadek zachowała ręcznik.

Widok jego nieruchomych mocnych dłoni przywoływał wspomnienie poprzedniej nocy i ich elektryzującego dotyku. Oboje byli ubrani, wszystko działo się tak szybko, że nie miała czasu na myślenie, a jednak było to niezwykle przeżycie - niespodziewane, potężne i intymne.

Nie chciała rozpamiętywać i szukać odpowiedzi na wszystkie „jak” i „dlaczego”, więc jak dobra siostra miłosierdzia skoncentrowała się na czuwaniu nad snem pacjenta. Na jego twarzy, zwykle gładko wygolonej poza bródką i wąsami, pojawił się cień zarostu. Z ulgą pomyślała, że jest zwykłym człowiekiem, a nie chodzącą doskonałością.

Na piersi miał talizman. Nie wierzyła w podobne głupstwa, więc sama nie pojmowała, dlaczego, zdejmując koszulę, zostawiła go na miejscu. To byłoby nie w porządku, gdyby pozbawiła go czegoś, co dla niego najwyraźniej ma magiczną wartość. Ale już zupełnie nie umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego nadal nosi pod bluzką wisiołek, który Gideon założył jej wczoraj. Przecież zawsze gardziła przesadami.

Zrobiła już chyba wszystko, co powinna zrobić pielęgniarzka, ale z jakiegoś powodu nie chciała zostawić go samego. A jeśli będzie jej potrzebował?

Nie miał nowoczesnego elektronicznego zegarka, tylko staromodny nakręcany budzik, pochodzący jeszcze z czasów jego dziadka. W sypialni miał zwykły telefon. Cała ta gadanina na temat elektryczności i duchów... Zignorowała ją, ale on najwyraźniej wierzył w każde słowo. Podejrzewała go wcześniej o nieuczciwość i ciemne interesy, ale przez myśl jej nie przeszło, że jest kompletnie zwariowany.

Zadzwoiła do matki i do bardzo zirytowanego pracownika hotelu, któremu wyjaśniła, gdzie zostawiła samochód. Na szczęście miał przy sobie zapasowe kluczyki, a jeden z policjantów obecnych na miejscu zbrodni obiecał go podwieźć.

Hope nie mogła znaleźć sobie miejsca. Brednie opowiadane przez Gideona nie mają sensu. Duchy. Co za banialuki! Okiełznanie energii elektrycznej? Czysta fantasmagoria. Mogłaby zignorować każde jego słowo jako majaczenia chorego psychicznie człowieka, gdyby nie kilka niezrozumiałych faktów, których była świadkiem.

Jego wyjątkowe osiągnięcia w wykrywaniu zabójców.

Stare samochody, którymi jeździ, i niewytłumaczalna awaria jej nowego auta.

Brak telewizora, komputera i nowoczesnych urządzeń elektronicznych w jego domu.



Eksplozje lamp ulicznych na nadrzecznym bulwarze.

Jego interwencja uratowała jej życie, gdy morderczyni ich ostrzelała.

Zrobił to, zanim padł strzał.

Niespodziewany orgazm.

Hope wierzyła tylko w to, co mogła zobaczyć, co było materialne.

Częściowo odpowiedzialność za to ponosiła jej matka. Całe dzieciństwo minęło jej wśród kryształów, kadzidełek, magicznych zaklęć i spirytualistycznych przesądów. Hope wstydziła się swojego rodzinnego domu. Każdego dnia walczyła o to, by jej życie było wolne od urojeń i przesądów.

Jej matka nie była jedyną osobą, która tak potężnie wpłynęła na jej osobowość. Jody Landers był człowiekiem, który raz na zawsze zniszczył jej zaufanie do ludzi i omal nie rozwalil jej uporządkowanego świata.

Kochała go. Miłość była kolejną nieuchwytną rzeczą, której nie można zmierzyć ani zobaczyć. Jednak był czas, kiedy wydawała jej się bardziej prawdziwa niż cokolwiek innego w życiu. Wypełniała jej serce i myśli, unosiła ją jak na skrzydłach. Po raz pierwszy czuła się szczęśliwa.

Tymczasem wszystko od początku do końca okazało się kłamstwem. Jody od pierwszego dnia wiedział, z kim ma do czynienia, i rozkochał ją w sobie, by ją wykorzystać. Oszukiwał ją z wyrachowaniem. Był drobnym handlarzem narkotyków, który chciał mieć w kieszeni policjanta i awansować dzięki temu w przestępczej hierarchii. Kiedy go w końcu przyłapała i zdemaskowała, przysięgał, że z upływem czasu zakochał się w niej, ale nie umiał wybrnąć z matni własnych kłamstw. Tylko że już mu nie wierzyła, ani wtedy, ani teraz, cztery lata później.

Dostała awans na detektywa, choć cała historia narobiła sporo szumu. Jody siedział w więzieniu i nie zanosilo się, by prędko je opuścił. Jednak wśród jej kolegów w Raleigh byli też tacy, którzy uważali, że od początku wiedziała, z kim się zadaje. Nie tylko troska o zdrowie matki sprowadziła ją do rodzinnego

miasta. Miała już dosyć podejrzliwych spojrzeń i szeptów za plecami, którym nie sposób było położyć kres.

Nie mogła sobie pozwolić na to, by znowu związać się z podejrzanymi ludźmi, z niewłaściwym mężczyzną. Nie pozwoli na to, by ktoś ją wykorzystał jak pierwszą lepszą naiwniaczkę. Więc dlaczego jeszcze siedzi przy łóżku Gideona? Nie jest mu nic winna. Nie musi tracić na niego czasu, zaufania i lojalności.

Nie rozumiała, dlaczego widok śpiącego mężczyzny jest tak rozbijający. Kręciła się na twardym krześle, bezskutecznie usiłując znaleźć wygodniejszą pozycję. Czuła się nie na miejscu, jakby bezprawnie podglądała go z ukrycia, naruszając jego prywatność.

Nadal spał. Jego oddech stał się równy i głęboki, puls był mocny i wyrównany. Hope poczuła, że jest głodna i chce jej się pić. Była też bardzo zmęczona, ale i tak nie widziała szansy na drzemkę. W kuchni znalazła kuchenkę gazową. Nie było mikrofalówki. Prosty elektryczny toster. Przeszukała szafki w poszukiwaniu czegoś do jedzenia i znalazła jeszcze dwa zapasowe tostery, podobnie jak parę mikserów i maszynek do zaparzania kawy.

Zdecydowała się na grzankę z masłem orzechowym i szklanę mleka. Jadła przy stole w kuchni, patrząc przez okno na opustoszałą plażę. W ciemnościach z trudem dostrzegała brzeg, o który rozbijały się fale. Promienie księżyca tańczyły w morskiej pianie. Widok był niemal hipnotyczny.

Powinna pojechać do domu, przespać się i wrócić rano po Gideona, odebrać samochód z parkingu przed hotelem. Jej partner zapewne nie będzie w stanie prowadzić przez parę dni, ale znajdą sposób, by odstawić jego auto pod dom. Nagle jej uwagę przykuł jakiś ruch za oknem.

Aby lepiej widzieć, zgasiła światło w kuchni i z napięciem obserwowała plażę. Oczy przez chwilę przystosowywały się do ciemności.

Niewyraźna sylwetka mężczyzny idącego w kierunku wody. Poruszał się z wysiłkiem, powłócząc nogami. Bezchmurne nocne niebo nagle jeszcze

bardziej pociemniało, gdy chmury nasunęły się na księżyc, a na horyzoncie pojawiły się zygzaki błyskawic.

W świetle kolejnego pioruna zobaczyła lepiej sylwetkę mężczyzny. Był półnagi, miał na sobie jedynie kąpielówki. Dostrzegła nieco za długie włosy, szerokie barki, długie nogi, a na jednej z nich... bandaż.

Hope popędziła do sypialni. Łóżko było puste. Zasłony, za którymi kryło się wielkie okno, zostały rozsunięte i teraz zorientowała się, że nie było to okno, tylko drzwi na taras.

Przerażona wypadła na zewnątrz.

Raintree najwyraźniej uroił sobie coś w malignie albo lunatykuje. Jeśli zemdleje na plaży, nie uda jej się dowlec go z powrotem o własnych siłach. A jeśli wejdzie w głąb oceanu...

Do diabła, nie powinna go słuchać! Trzeba go było zostawić w szpitalu. Po schodkach zbiegła na pomost prowadzący na plażę. Zwolniła, gdy stopy zaczęły jej się zapadać w sypki piasek. Błyskawice wydawały się coraz większe, a grzmoty słyhać było coraz bliżej.

Kolejny piorun strzelił prosto w dół. Trafił w Gideona i zamiast pomruku grzmotu usłyszała głośny tępy odgłos. Potknęła się i runęła na ziemię, na moment tracąc oddech i zdolność do racjonalnego działania.

- Gideon! - krzyknęła.

Spodziewała się, że upadnie na ziemię lub stanie w płomieniach, ale on stał na szeroko rozstawionych nogach, z podniesionymi ramionami, gdy spłynęła na niego kolejna błyskawica. Trzask na moment ją ogłuszył, a on stał skąpany w oślepiająco jasnym świetle, które zniknęło, pozostawiając na jego skórze niezliczone migotliwe iskierki.

Nie zawołała go po imieniu, ale jak zahipnotyzowana podchodziła coraz bliżej. To się nie może dziać naprawdę. Człowiek trafiony piorunem raz za razem nie może po prostu sobie stać, jakby nic się nie działo. Nagle

przypomniały jej się słowa matki z poprzedniego wieczoru. „Jego aura po prostu iskrzy. Nigdy w życiu nie widziałam niczego podobnego”.

- Zatrzymaj się - polecił, choć nadal stał do niej plecami. - Każdy krok w moją stronę jest dla ciebie niebezpieczny.

Hope stanęła jak wryta. Księżyc ukrył się za chmurami, więc nie było żadnego źródła światła, a jednak widziała go wyraźnie. Cały świecił się od środka.

Odwrócił się do niej, a burza, tak jak nagle przyszła, tak odeszła nie wiadomo kiedy. Hope nie była w stanie oderwać wzroku od mężczyzny stojącego przed nią. Drobne iskierki tańczyły na jego skórze, a całą sylwetkę otaczał delikatny blask. Zauważyła, że wcześniej się ogolił, bo nie miał już wąsów i bródki. Czy to było złudzenie, czy jego oczy także w mroku się jarzyły?

Głos rozsądku mówił, że powinna uciekać gdzie pieprz rośnie. Paranormalne zjawiska napawały ją przerażeniem. Jednak nie poruszyła się, jakby jej nogi wrosły w ziemię.

- Wyglądałam przez okno w kuchni - wyjaśniła słabym głosem.

- Wiem. - Gideon podszedł bliżej, zostawiając za sobą zamierające na piasku iskierki.

Dreńczyły go koszmary - o śmierci rodziców i wszystkich tych ofiarach, którym nie był w stanie pomóc. To one wypędziły go na plażę w poszukiwaniu źródła siły, dzięki której odradzały się jego ciało i dusza, i która wypłukała z jego organizmu resztki trucizny.

Miał świadomość, że Hope go obserwuje. Nie dbał o to. Najwyższy czas, by poznała jego prawdziwą naturę.

Stała o parę kroków, niepewna i niespokojna.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Oczywiście.

Niewypowiedziane „jakim cudem?” zawisło w powietrzu między nimi, bezdźwięczne i brzemiennie w skutki. Wcześniej pozostawała obojętna na wszelkie przejawy jego talentów, przymykała oczy na eksplodujące światła uliczne i lodowate dotknięcia ducha. Tym razem nie mogła zlekceważyć świadectwa własnych oczu.

Spojrzała na bandaż. Elektryczność zdążyła już uleczyć poszarpane tkanki. Nigdy tego nie pojmie.

- Świecisz w ciemności. - Starła się to powiedzieć żartobliwie, ale jej się nie udało.

- Tylko wtedy, kiedy ktoś mnie włączy.

- Śmieszne - odcięła się.

Nie było w tym nic zabawnego, ale tego już jej nie wyjaśnił. Pierwsza zasada, nie pożądam swojej partnerki. W dodatku była jedną z tych kobiet, które bezustannie wszystko kwestionują i o wszystko dopytują. To cechy świetne u detektywa, ale w życiu prywatnym unikał ciekawskich kobiet jak ognia.

Nigdy dotąd nikt nie był świadkiem, jak żywi się elektrycznością. Oczywiście, czasami sąsiedzi dopytywali: „Czy nie wychodziłeś w nocy na plażę?”. Zaprzeczał i bez problemu przekonywał ich, że oczy spletały im figła. Ludzie nie potrafili pojąć, że taka istota jak on istnieje naprawdę.

- Lepiej chodzisz - zauważyła Hope.

- Myślę, że była to bardziej kwestia działania narkotyku niż rany.

- Dobrze. - Przez chwilę nie była w stanie sformułować myśli, potem przyznała niechętnie: - Zgoda. Masz jakąś anormalną zdolność do absorbowania energii elektrycznej. Jestem pewna, że istnieje całkowicie logiczne medyczne wyjaśnienie tego stanu.

- Dlaczego musi być całkowicie logiczne?

- Po prostu musi.

- Nic nie jest idealne, a logika bywa subiektywna.

- Logika z pewnością nie jest subiektywna.

Starał się przepuścić ją przodem na schody na taras, ale się cofnęła. Nie chciała go mieć za plecami, wołała go cały czas mieć na oku. Przynajmniej tyle dobrego, że do tej pory nie uciekła z krzykiem. Gideon wszedł do ciemnej sypialni. Nadal bił od niego lekki blask.

Hope zamknęła szklane drzwi, ale nie zasunęła zasłon, by widać było fale. Ich szum docierał do środka. To był taki uspokajający odgłos. Charakterystyczny dla domu. Gideon stał przy łóżku. Kontakt z siłami natury zawsze odradzał jego siły, ale stanowił duży wysiłek dla organizmu.

- Logika obowiązująca w mojej rodzinie jest zupełnie odmienna od twojej. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo. Mój brat jest władcą ognia, a to tylko jeden z jego licznych talentów. Jest dranirem, przywódcą całego rodu. Moja siostra jest empatką, czyta w myślach i uczuciach innych, i niezrównaną uzdrowicielką. Jej córeczka przejawia zadziwiające talenty w różnych dziedzinach. Echo, moja kuzynka, ma dar jest proroczy. Ja rozmawiam ze zmarłymi. Mam mówić dalej?

- Nie ma potrzeby - odparła zimno.

- Ciągłe mi nie wierzysz.

W półmroku zobaczył, jak Hope potrząsa głową. Jeśli da sobie spokój, Hope jutro poprosi o przeniesienie, a on znowu będzie się cieszył samotnością. Czy nie do tego tęsknił jeszcze wczoraj? Jego partnerka nie powie nikomu, co widziała i słyszała, bo naraziłaby się na śmieszność. Nikt by jej nie uwierzył.

Ale teraz nie chciał, by wystąpiła o zmianę pracy. Oczywiście, że go fascynuje jako kobieta. Jest piękna, mądra i potrafi biegać na obcasach. Ale w tej fascynacji było coś, czego nie chciał ignorować. Gdyby się z nią przespał, nie chciałaby z nim pracować. Rygorystycznie przestrzegała przepisów. Zapewne nigdy ich nie złamała.

Mimo protestów Hope powoli rozwinął bandaż. Zamilkła z otwartymi ustami, gdy w miejscu rany zobaczyła bliznę. Sięgnęła niepewnie ręką i dotknęła jej palcami. Oblizwała wargi i zakłęła pod nosem zupełnie nie jak dama.

- Jakim cudem?

- Jestem Raintree - stwierdził. - A jeśli chcesz obszerniejszych wyjaśnień, zrób pełen dzbanek kawy.

Tym razem nie siedzieli po przeciwnych stronach pokoju. Gideon zajął miejsce obok niej na kanapie. Oboje trzymali w rękach parujące kubki z kawą. W salonie paliły się lampy i nie widziała już jego wewnętrznego światła. Miała pokusę, by uznać, że wszystko, co widziała na plaży, było urojeniem lub złudzeniem optycznym, ale nie chciała się okłamywać.

- Chcesz mi wmówić, że wszystkie zmyślenia mojej matki są w istocie prawdą?

- Nie wiem, co takiego ci opowiadała. - Gideon usiadł wygodniej i oparł bosc stopy na niskim stoliku. Założył dzinsy i w ten sposób schował bliznę. Na nagiej piersi połyskiwał srebrny talizman. Był tak samo częścią jego osoby jak włosy wijące się nad uszami.

- Aury. - Wypluła z siebie to słowo. To była wieczna kość niezgody między nią a matką.

- Nie widuję ich, ale istnieją. To inna manifestacja energii. Wymaga szczególnej formy jasnovidzenia.

- Twoja aura podobno iskrzy - przyznała niechętnie.

Gideon chrząknął twierdząco, ale ta informacja najwyraźniej go nie zdziwiła.

- Duchy.

- To mogę potwierdzić pod przysięgą.

- Życie pozagrobowe?

- Też.

Hope przymknęła oczy. Był taki okres w jej życiu, kiedy utwierdziła się w przekonaniu, że życie nie trwa poza doczesność. Istnieje tylko świat materialny, który można poznawać wszystkimi zmysłami. Przynajmniej na ogół było jej łatwiej w to wierzyć. Żyjemy tu i teraz, a potem, pewnego dnia, wszystko się

kończy. Gdzie nie ma żadnych oczekiwań, nie ma też rozczarowania. Teraz, gdy słuchała Gideona, stwierdziła z zaskoczeniem, że mu wierzy... i czuje się z tym zaskakująco dobrze.

- Jak tam jest?

- Nie mam pojęcia.

- Duchy nie mówią ci wszystkiego?

- Pewne rzeczy przekraczają możliwości naszego umysłu.

To dziwne, że o rzeczach wiecznych można rozmawiać w sposób tak normalny i przyziemny. Czy nie powinna dostać hysterii? Śmiać się? Płakać? Zatańczyć? A może odizolować się od świata, który zmienił się nieodwracalnie? Zamiast tego pili kawę i prowadzili dialog, jakby to były najzwyczajniejsze sprawy.

- Znaki z nieba?

- Sprecyzuj to.

- Widzisz królika na drodze, choć w tym miejscu nigdy nie było królików. Może obecność królika w tym konkretnym miejscu i czasie jest znakiem. Może oznaczać szczęście albo pecha, zapowiedź wygrania na loterii lub potrącenia przez autobus.

- Jesteś pewna, że nie interesowałaś się tym wcześniej? - przekomarzał się Gideon.

- Chciałabym, żebyś mi odpowiedział.

- Wokół nas jest wiele znaków, ale najczęściej nie potrafimy ich dostrzec.

- Nawet ty?

- Nawet ja. Każdego dnia przechodzimy obok cudów i jak ślepcy nie zwracamy na nie uwagi. Z drugiej strony - Gideon wzruszył ramionami - najczęściej królik jest po prostu królikiem.

Późna pora i opadający poziom adrenaliny spowodowały, że Hope zamykały się oczy ze zmęczenia, ale jeszcze nie zadała wszystkich pytań.

- Reinkarnacja.

- Zdecydowanie tak.



- Jesteś niezwykle pewny siebie.

- Dlatego użyłem słowa zdecydowanie.

Żartobliwie i poufale kuksnęła go w ramię.

- Nie drocz się ze mną. Jestem zmęczona, a to wszystko jest takie niespodziewane i ciągle...

Nie mogła powiedzieć, że nie jest przekonana. Zbyt wiele się zdarzyło tej nocy. Zostawiła rękę na jego ramieniu. Był taki ciepły, silny, dobrze jest czuć jego fizyczną obecność. Działa kojąco, a jednocześnie ekscytująco.

- Jeśli rodzimy się ciągle na nowo i spotykamy wciąż tych samych ludzi, dlaczego nie przypominamy sobie niczego z wcześniejszych wcieleń?

- Nie moglibyśmy się tak dobrze bawić.

- Bawić się? - Czy on zwariował? W życiu bywały przyjemne momenty, ale przez większość czasu wypełniała je ciężka praca.

- Mamy szansę popełniać błędy, uczyć się sztuki przetrwania, odkryć piękno, przeżyć dreszcz podniecenia, kiedy musimy podjąć ryzyko. Doświadczamy za każdym razem świeżych emocji, niepowtarzalnych, nieskażonych wcześniejszymi przeżyciami, niestępionych przez upływ czasu. Doświadczamy cudów, które są nieznanne i niespodziewane; zakochujemy się, mając serca czyste, bez blizn zawiedzionych miłości.

Słowa Gideona o miłości spowodowały, że poczuła się nieswojo, więc pospiesznie zmieniła temat.

- Anioły?

- Są.

- Wróżki?

- Nie wiem. Nigdy żadnej nie spotkałem, ale to nie znaczy, że nie istnieją.

- Talizmany? - Dotknęła srebrnego wisiora na jego piersi.

Spojrzał jej w oczy, a serce Hope zabiło mocniej. Gdyby szukała mężczyzny, a z pewnością nie miała takiego zamiaru, byłby bliski jej ideału. Nie tylko urodziwy w bardzo męski sposób, ale też oddany pracy. Starał się pomóc

ludziom, którym już nikt nie mógł pomóc. Łączył w sobie siłę, poczucie sprawiedliwości i nieodpartą seksualność, a czasami w mroku bił od niego blask.

- Czasem - odparł. Wyjęła wisiorek spod bluzki.

- Dziś rano, kiedy szykowałam się do wyjścia, miałam wrażenie, że na mnie patrzy. Włożyłam go, choć nie pojmuję, dlaczego.

- Zrób to dla mnie, nie zdejmuj go.

Hope skinęła głową i usiadła wygodniej. Wszystko, przeciw czemu tak się buntowała, okazało się prawdą. Powinna wykrzykiwać zaprzeczenia, tymczasem każdą kolejną rewelację przyjmowała z niezmaconym spokojem.

- Powiedziałeś, że twój klan żyje między nami od dawna.

- Tak.

- Kiedy twoi przodkowie żenili się z normalnymi ludźmi... Nie wiem, jakie słowa będą tu odpowiednie. Skoro członkowie twojej rodziny są genetycznie uwarunkowani do uprawiania magii, dlaczego te zdolności nie słabły w wyniku krzyżowania się z ludźmi, którzy tej cechy nie mają?

- Nasze geny są dominujące - wyjaśnił.

- Gdybyś miał dzieci... A może już masz? Czy są gdzieś twoje miniaturowe kopie rozmawiające z duchami i karmiące się elektrycznością?

- Nie mam dzieci - oświadczył poważnie.

- Ale kiedy będziesz miał...

- Nie chcę. Wystarczająco trudno jest wychować dziecko na dobrego i szczęśliwego człowieka bez konieczności uczenia go, że należy ukrywać przed światem jakąś część swojej osobowości. Nie chcę skazywać jej na taki los.

- Jej? - powtórzyła Hope.

- Słucham?

- Powiedziałeś jej, nie jego.

- Mam siostrzenicę. Jest jedynym dzieckiem w rodzinie. Dlatego myślałem o dziewczynce.

Instykt jej podpowiadał, że nie jest to cała prawda, ale nie miała podstaw kwestionować jego słów.

- Ogoliłeś się. - Zmieniła temat na zupełnie prozaiczny.

- Miałem wrażenie, że narkotyk, którego użyła Tabby, nie daje się zmyć z włosów i brody.

- Dobrze wyglądasz. - Była bardzo zmęczona i nie miała siły wracać do domu. Prześpi się tutaj godzinę albo dwie. - Niedługo trzeba będzie wstawać i podjąć dochodzenie w sprawie śmierci Clark.

- Tabby ją zabiła - stwierdził Gideon. - Ta sama blondynka, która zamordowała Sherry Bishop i dźgnęła mnie w nogę.

- Wierzę ci - rzekła Hope. Najdziwniejsze, że nie miała wątpliwości, iż każde jego słowo było prawdą. - Jutro musimy znaleźć sposób, żeby to udowodnić.

## ***ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY***

Gideon delikatnie podniósł śpiącą Hope, a jej nawet nie drgnęła powieka. Mógłby ją zostawić na kanapie, ale na skórzanym obiciu nie jest wygodnie spać. Kiedy położył ją na łóżku, westchnęła tylko, zagarnęła pod siebie poduszkę i wyciągnęła się wygodnie.

Mogła spać w ubraniu, ale to nie sprzyja wypoczynkowi. Rozpiął jej spodnie i ściągnął je, oczekując, że się obudzi i wymierzy mu policzek. Albo miała kamienny sen, albo wydarzenia minionego dnia zupełnie ją wyczerpały. Spała snem sprawiedliwego.

Nie tknął bluzki. Nie miał odwagi jej rozbierać, skoro nie ma prawa jej tknąć. Przykrył ją kołdrą i na bosaka podszedł do okna. Zanim zasunął zasłony, przez dłuższą chwilę obserwował fale roztrzaskujące się o brzeg.

Powiedział jej więcej niż komukolwiek dotąd. Była kiedyś dziewczyna, której pokazał zaledwie cząstkę z tego, co potrafi. Uciekła, aż się kurzyło.

To się zdarzyło wiele lat temu. Parę lat po rozstaniu wpadli na siebie i okazało się, że zdążyła zapomnieć, z jakiego powodu się rozstali. Ludzie to często robią. Jeśli stykają się ze zjawiskami, których nie rozumieją, wypierają je z pamięci. Rodzaj amnezji, który ma chronić ich umysł przed sprawami, których nie da się objąć rozumem. Mógł to porównać do wymazania z pamięci szczegółów wypadku samochodowego czy innych traumatycznych wydarzeń.

Czy Hope rano nie będzie o niczym pamiętała? Bardzo możliwe. Twardo chodziła po ziemi i nie wierzyła w nic, co podminowałoby jej uporządkowany świat. A Gideon mógłby wnieść do niego zbyt wiele zamieszania, i to z wielu powodów.

W końcu zasłonił okno i położył się obok Hope. Jej ciepło i miękkość działały na niego jak magnes. Miał świadomość, że jeśli dojdzie między nimi do czegoś więcej, jego partnerka będzie się czuła zobligowana do wystąpienia o przeniesienie, ale to nie zmniejszało jego pragnienia, by ją wziąć w ramiona.

W sypialni dla gości na drugim piętrze było podwójne łóżko. Nocowała tam od czasu do czasu Echo, i Mercy, gdy go odwiedzała z Eve, ale poza tymi rzadkimi okazjami Gideon najlepiej czuł się w samotności.

Na łóżku w gościnnym pokoju brakowało w tej chwili pościeli, Echo zdjęła ją w poniedziałek przed wyjazdem do Charlotte. Leżały tam też rozłożone akta niewyjaśnionych spraw, które przyniósł do przejrzenia. Nie miał w tej chwili siły na sprzątnięcie ich i powlekanie dodatkowego łóżka w świeżą pościel. Jego własne było wygodne i miękkie, w dodatku obecność Hope dawała mu poczucie, że leży w nim jego dziewczyna.

Jego. Hope z pewnością nie należy do niego. A jednak przed snem objął ją ramieniem i przytulił.

Spała kamiennym snem, a jeśli miała jakieś sny, to ich nie pamiętała. Wtuliła się w miękkie posłanie. W pomieszczeniu było chłodno, widocznie klimatyzacja działała na pełnych obrotach. To dziwne, zważywszy jak bardzo jej matka dbała o oszczędzanie energii elektrycznej.

Mimo chłodu było jej ciepło i przytulnie. Budzik się jeszcze nie włączył, a to znaczy, że jeszcze przez parę minut nie musi otwierać oczu. Kilka drogocennych chwil snu więcej.

Wtedy niespodziewanie przypomniało jej się, że nie jest w domu. Zasnęła na kanapie u Gideona, ale to jest łóżko. Delikatnie przewróciła się, by spojrzeć na śpiącego obok mężczyznę. To on jest źródłem ciepła.

Uważnie mu się przyjrzała. Jeszcze wczoraj nie uwierzyłaby, że może się czuć komfortowo w tak intymnej bliskości z człowiekiem, którego początkowo podejrzewała o korupcję. Tymczasem Gideon był po prostu inny. Odmienny od wszystkich.

Świetnie wyglądał rano, mimo przeżyć ostatniej nocy, gdy został ranny i odurzony narkotykiem.

Przez sen sprawiał wrażenie bardzo męskiego, trochę nieokrzesanego, ale pięknego w ten specjalny sposób, charakterystyczny dla przystojnych mężczyzn. Ale jeśli Gideon miał świadomość, jak bardzo jest atrakcyjny dla kobiet, nie dawał tego po sobie poznać, jak niektórzy znani jej koledzy. Po prostu był sobą.

Ostrożnie, by go nie zbudzić, uniosła kołdrę i zerknęła na jego udo. Po wczorajszej ranie została świeża blizna. Nie powinno jej to dziwić. Nie zdziwi jej już nic, co ma z nim związek.

- Nie martw się - wymamrotał zaspanym głosem - Do niczego nie doszło.

Hope uniosła wzrok i stwierdziła, że jej partner się w nią wpatruje.

- Patrzyłam na twoją ranę - wyjaśniła sztywno.

- Myślałem, że sprawdzasz, czy nie naruszam zasad przyzwoitości.

Odsunęła się zawstydzona, że ją na tym przyłapał. Miała nadzieję, że nie zauważył rumieńca, którym się oblała. To takie pensjonarskie zachowanie.

Zanim zdążyła wymknąć się z łóżka, Gideon przyciągnął ją do siebie.

- Jeszcze nie wstawaj - mruknął lekko zachrypniętym głosem. Mogła się uwolnić bez wysiłku. Wystarczyło go odepchnąć, a puściłby ją bez protestu.

Jego gest był zapraszający, a nie zniewalający. Uległa mu. Przyłożyła głowę do poduszki i pozwoliła się przytulić.

Jody rzadko zostawał u niej na noc, a gdy już został, za każdym razem zrywał się, jakby został przez pomyłkę. Wymykał się o świcie. Ale ona lubiła spać w jego towarzystwie. Lubiła dotyk nagiej skóry, ciepło drugiego ciała. Wspólne łóżko to dużo więcej niż seks. Brakowało jej tego, gdy mieszkała sama, żyła wyłącznie pracą i odstraszała od siebie potencjalnych adoratorów.

Najwyższa pora opuścić łóżko, jeśli ma uciec, zanim sprawy przybiorą niepożądany obrót. Dobrze wiedziała, do czego dojdzie, jeśli natychmiast nie wstanie. Jest dorosłą dwudziestodwuletnią kobietą, z nikim niezwiązaną. Ale w tej chwili, po rewelacjach ostatniej nocy, pragnęła, by ktoś ją objął. A właściwie nie ktoś, ale ten właśnie mężczyzna. Gideon Raintree, który rozmawia z duchami, pochłania pioruny i czasami w mroku świeci.

Odsunął jej włosy z karku i pocałował. Przeszył ją dreszcz. Czy to elektryczność, czy on sam ma na nią taki wpływ? Coś nienormalnego, czy coś najzupełniej normalnego? Było jej wszystko jedno.

- Pragnę cię - szepnął.

Oblizwała wargi. Wiem. Ja też cię pragnę. Ale nic nie powiedziała.

- Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł, ale spróbujmy. - Wsunął rękę pod jej bluzkę i pieszczotliwie przesunął ją po ciele. Zamknęła oczy i poczuła, jak topnieją wszelkie opory. Mózg próbował ją ostrzegać, że to zły pomysł, ale ciało miało swój własny rozum. Chciała tego samego co Gideon, choć jego pragnienie manifestowało się w sposób bardziej oczywisty.

Od dawna nie pozwoliła się dotknąć żadnemu mężczyźnie. Miała wrażenie, że ma do czynienia z ekscytująco nowym, poruszającym doznaniem. Słowa przestały być potrzebne. Wystarczy przekręcić się i dotknąć wargami jego ust. Pocałunek wystarczy za odpowiedź i przyzwolenie.

Oparł rękę na jej brzuchu pod pępkiem, zupełnie jak w sklepie matki. Złapała go za przegub i powstrzymała. Na twarzy Gideona odmalował się zawód, ale zniknął, gdy się nad nim pochyliła.

- Tym razem bez oszustw - szepnęła i pocałowała go.

Powinna była zgadnąć, że świetnie całuje. Rozwiały się ostatnie wątpliwości. Były dziesiątki powodów, by nie kierować się pożądaniem. Ledwo go znała; był jej partnerem, na początku miała wobec niego liczne zastrzeżenia, był kimś łamiącym wszelkie normy, nieobliczalnym. Ale nic w tej chwili nie miało znaczenia. Dla Hope liczyło się tylko, że chce się z nim całować, namiętnie i w zapamiętaniu. Chciała się zatracić w tym cudownym uczuciu pożądania i bycia pożądaną.

Miał piękne ręce. Silne męskie dłonie, ładnie ukształtowane, o długich palcach. Opalenizna świadczyła o długich godzinach spędzonych na plaży. Ciemny brąz odcinał się od jej bladej skóry. Ona unikała słońca, bo miała tendencję do spiekania się na raka, a poza tym opalanie się wymaga czasu, a ona już nie pamiętała, kiedy ostatnio wzięła urlop.

Zafascynowana obserwowała, jak Gideon jej dotyka. Jakby była figurynką z drogocennej chińskiej porcelany, jakby nauczenie się jej kształtów było czymś, od czego zależy jego życie. Miała wrażenie, że unosi się w powietrzu, szybuje w magicznym obłoku, przytrzymywana jedynie przez jego usta i dłonie. Nigdy do tej pory nie zaznała takiego uczucia absolutnego szczęścia; nigdy nie chciało jej się płakać z zachwyty nad urodą życia.

Gideon kochał się w taki sam sposób, w jaki robił wszystkie inne rzeczy: z maestrią i żarliwością. Hope zamknęła oczy i pozwoliła się kochać. Wypełnił jej ciało i duszę; zabrał ją do miejsca, gdzie była już na krawędzi rozkoszy, ale ciągle przytrzymywał ją na skraju. Fale przyjemności przepływały przez jej ciało, zapowiadając doznania poza granicą wyobraźni. Kiedy już szczytowała, zwalniał i znowu nabierał tempa.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa - szepnęła.

Grube zasłony nie wpuszczały światła słonecznego i w półmroku, przez zmrużone rzęsy, dostrzegła niezwykłą poświatę, która otaczała Gideona. Nawet jego zielone oczy jarzyły się od środka.

- Znowu świecisz. - Dziwne, ale wcale jej to nie wprawiło w zakłopotanie.

- Naprawdę?

- To takie piękne. - Oplotła nogami jego uda i wciągnęła go w siebie. Nie wycofał się tym razem, ale wziął ją mocniej i szybciej, aż z krzykiem triumfu osiągnęła spełnienie, jakiego nawet sobie nie wyobrażała.

Wydawało jej się, że umiera z rozkoszy i na zawsze już tak zostanie, więc krzyknęła raz jeszcze i mocno trzymała go za ramiona. Dołączył do niej, a potem długo leżeli spleceni, nie wiedząc, gdzie zaczyna się jedno, a kończy drugie.

- Nadajesz nowego znaczenia frazie „światło wewnętrzne” - zażartowała.

- Czy u ciebie to normalne?

Wycofał się, zarówno fizycznie, jak psychicznie, jakby dotknęła jakiegoś wrażliwego miejsca.

- Zdarzyło mi się to raz czy dwa razy w życiu. Nie nazwałbym tego normą.

Wyciągnęła rękę, by go zatrzymać, ale był szybszy. Zanim się obejrzała, zniknął za drzwiami łazienki.

Serce, ciało, dusza. Gideon nie pamiętał już, skąd wiedział, że sam seks bez miłości przepelniającej serce, ciało i duszę nie rozświetla go od środka. Obmył twarz zimną wodą i dokładnie wyszorował zęby.

Przecież ledwo zna Hope Malory. To prawda, że jest piękna, niesamowicie atrakcyjna i odważna, skoro nie uciekła z krzykiem, odkrywszy jego prawdziwą naturę. Ale w tym miejscu musi się zatrzymać.

To był gorący jednorazowy seks i nic więcej. Teraz z pewnością poprosi o innego partnera; przecież od początku nie chodziło mu o nic więcej. Więc skąd



ta poświęca po seksie, jakby był romantycznym kochankiem, który opuścił ramiona swojej ukochanej?

Chwilowa anomalia. Następnym razem, jeśli w ogóle dojdzie do następnego razu, nie zdarzy się nic niezwykłego, a rozsądna i racjonalna Hope wmówi sobie, że to było złudzenie albo gra porannego światła.

Fantastyczna kochanka. Jakim cudem taka niezwykła kobieta jest nadal sama? Więcej, nie tylko sama, ale samotna w takim samym stopniu jak on. Był tego równie pewny jak tego, że seksualna poświęca pojawia się tylko wtedy, gdy się kocha swego partnera sercem, ciałem i duszą.

Nie będzie z tego robił wielkiej sprawy. Kiedyś był po uszy zakochany. Jego wybranka dowiedziała się zaledwie części prawdy o nim, ale nawet ta mała część definitywnie zniszczyła ich związek. Odchorował zerwanie i obiecał sobie, że w jego życiu nie ma miejsca na normalność - miłość, dom, dzieci. Skoro zdołał się pozbierać po tamtym rozstaniu, zapomniał też o Hope.

- To wina Emmy i sugestii, które sączy mi do ucha - mruknął do swojego odbicia. - Niech lichy weźmie Dantego i jego przeklęty turkus.

Nagle w lustrze spostrzegł Emmę i gwałtownie sięgnął po ręcznik, by się nim owinać wokół bioder. Dzisiaj mała zjawka miała postać pięcioletniej dziewczynki w białej sukni. Ciemne falujące włosy były zebrane w dwa kucyki.

- Wołałeś mnie, tatusiu?

- Nie wołałem.

- Wyraźnie słyszałam swoje imię - zaprotestowała z uporem rozpieszczonego dziecka.

- Byłaś tu przez cały czas? - zapytał spłoszony.

- Nie - odparła niewinnie. Z każdym słowem stawała się coraz wyraźniejsza. - Czekałam i nagle usłyszałam, że mnie przywołujesz.

- Na co czekałaś?

Ale Emma tylko się uśmiechnęła.

- Uważaj, tatusiu, ona jest bardzo, bardzo zła.

- Kto jest bardzo... - Zanim skończył pytanie, Emma rozwiała się w powietrzu. Z pewnością chciała go ostrzec przed Tabby. Trochę za późno. Te słowa przydałyby się wczoraj, zanim poszedł na bulwar, choć i tak by go nie powstrzymały.

Nie zastał Hope w sypialni. Słysząc ją było w drugiej łazience. Wychyliła na chwilę głowę i zawołała:

- Raintree, nie masz przypadkiem zapasowej szczoteczki do zębów?

- Druga szuflada po lewej - odkrzyknął.

Całe szczęście, że nie robi wielkiej sprawy z tego, co zaszło między nimi. Chwila przyjemności i odprężenia w świecie, w którym tak mało jest miejsca na zabawę. Zaspokojenie potrzeb dwojga dorosłych ludzi i ich spragnionych pieczyoty ciał. Kolejny dzień w długim szeregu podobnych dni. Tak, Hope jest piękna, atrakcyjna i dzielna, ale nie będzie jej kochać, skoro nic nie może trwać wiecznie.

- Musisz tu mieć jakieś ciuchy, które będą na mnie pasowały. Wolę włożyć coś twojego niż te szmatki!

- Moje ubrania są na ciebie za duże - tłumaczył rozsądnie Gideon. - Rzeczy Echo będą w sam raz.

- Mam inne zdanie na ten temat - burknęła, obciągając brzeg podkoszulki, która odkrywała jej pępek. Była o kilka centymetrów wyższa niż Echo Raintree, więc i tak cudem się w nią wcisnęła.

Kiedy oboje wzięli prysznic, Gideon przebrał się, a ona miała do wyboru pogniecioną bluzkę, w której spała, spodnie rzucone wczoraj na podłogę, które wyglądały teraz jak psu z gardła wyjęte, albo ekstrawaganckie fatalaszki zostawione tu przez Echo.

W dodatku w tym domu nie było żelazka! Przecież każdy ma żelazko, złościła się Hope, podciągając do góry nisko wykrojone biodrówki. Tymczasem Gideon twierdził, że jemu w pełni wystarczają usługi świadczone przez pralnię.

Mogła wybierać między kostiumami bikini, podkoszulkami z wyciętą dziurą, która miała odsłaniać nieistniejący kolczyk w pępku, szortami z trudem zakrywającymi pupę i obcisłymi spłowiałymi džinsami, też pełnymi dziur. Chętnie wyrzuciłaby je do śmieci, ale w tej chwili była to jedyna rzecz nadająca się do włożenia. Brzegi nogawek były wystrzępione, jakby ich właścicielka celowo nosiła trochę za długie spodnie, żeby się ciągnęły po ziemi.

Niestety, jej własna odzież prócz tego, że niemożliwie wygnieciona, była poplamiona krwią. Nie potrafiłaby tego wyjaśnić ciekawskim współpracownikom. Paradowała więc w ciuchach kuzynki Gideona.

On sam postanowił zrezygnować dzisiaj z garnituru i zdecydował się na koszulkę i džinsy.

- Zatrzymamy się później pod twoim domem, będziesz mogła się przebrać - zaproponował.

- Pojedziemy tam najpierw.

- Może jednak nie? - zaproponował. - Ktoś musiał widzieć Tabby w klubie, w którym grała Echo, w kawiarni albo pod kamienicą, w której wynajmowały mieszkanie. Nie była niewidzialna. Są ludzie, którzy nie lubią kontaktów z przedstawicielami prawa i urzędnikami, garnitury od razu nastrajają ich nieprzychylnie. Spróbujmy wykorzystać nasz mało formalny strój i porozmawiajmy z ludźmi, zamiast ich przesłuchiwać.

Po zachowaniu Gideona nie sposób było dostrzec, że rano zdarzyło się między nimi coś szczególnego. Nie był sztywny, ale nie robił też żadnych aluzji i nie traktował jej cieplej niż wczoraj. Rozmawiał z nią tylko o pracy i ani razu jej nie dotknął.

Może niesamowity, acz niezobowiązujący seks z nowym partnerem jest czymś, co Gideon traktuje jako rzecz naturalną. Dla niej to była zupełnie wyjątkowa sytuacja, choć nie miała ochoty się do tego przyznać.

Plan na dzisiaj zakładał zaangażowanie innego detektywa - może Charliego Newsoma - do przeszukania katalogów zdjęć przestępców w nadziei

odnalezienia kobiety odpowiadającej rysopisowi Tabby. Hope z Gideonem zamierzali jeszcze raz porozmawiać ze znajomymi, sąsiadami i współpracownikami Sherry Bishop. Może ktoś z nich widział wysoką blondynkę w dniach poprzedzających śmierć Sherry. Może nawet ktoś wiedział, jak się nazywa.

Gideon miał zamiar spotkać się z rysownikiem sporządzającym portrety pamięciowe, a Hope chciała posłać do laboratorium ręcznik, którym zmyła z twarzy partnera resztki substancji użytej przez napastniczkę. Niestety, na wyniki analiz trzeba czekać tygodniami, a oni nie mieli czasu.

- Dziś po południu przyjeżdża moja siostra - oznajmiła. - Robi biżuterię, którą mama sprzedaje w sklepie, i właśnie przywiezie nową dostawę.

- Masz siostrę? - Gideon wyglądał na zdziwionego.

- Tak, mam. - Kolejny dowód, jak mało o sobie wiedzą. O wiele za mało, by pozwolić sobie na to, co ich dzisiejszego ranka połączyło.

- Jeśli masz ochotę wziąć wolne i spędzić z nią trochę czasu, nie mam nic przeciwko temu.

Oczywiście. Byłby zachwycony, mogąc się jej pozbyć.

- Nie. Widujemy się wystarczająco często. - Nie mówiąc o tym, że w towarzystwie mamy i Sunny ona jest piątym kołem u wozu.

- Czy jest podobna do ciebie? - spytał, trochę się przekomarzając, a trochę z autentycznej ciekawości.

- Nie. Jest dwa lata starsza, ma trzech małych chłopców i jest równie nawiedzona jak moja mama.

- Więc to ty byłaś tą „normalną” w rodzinie? Jeszcze wczoraj potwierdziłaby bez wahania.

Była pewna nie tylko swojej normalności, ale uzasadnionego sceptycyzmu wobec przekonań matki i siostry. Gideon zachwiał fundamentami jej światopoglądu.

- Norma jest pojęciem względnym.

- Chodźmy. Zrobiło się późno. - Wyraźnie nie chciał ciągnąć tej rozmowy.

Złapała torebkę i zbiegła za nim do garażu. Nie miała problemu z rozszyfrowaniem jego zachowania, nie rozumiała tylko jego powodów. Ignorował to, co się między nimi stało, w nadziei, że rzeczy, o których się nie mówi, przestają istnieć. Miała do czynienia z Gideonem Raintree - policjantem, profesjonalistą. Myślał tylko o prowadzonej sprawie.

Może jeśli będzie go naśladować i uda, że nie stało się nic ważnego, ich praca nie ucierpi. Mogą być partnerami, mogą się nawet zaprzyjaźnić. Był świetnym policjantem. Wiele się mogła od niego nauczyć.

Z drugiej strony nie chciała oszukiwać siebie. Między nimi zbyt dużo się zmieniło. Czy powinna zaryzykować i powiedzieć Gideonowi, że przyjaźń i partnerstwo już jej nie wystarczą? Chciała mieć wszystko albo nic. Kilka lat temu uznała, że nie ma innej opcji poza rezygnacją z życia prywatnego. Może skazana jest na „nic”. Może powinna udawać, że nic nie zaszło.

Na szczęście nie było powodu, by spieszyć się z decyzją. Tabby jest na wolności, a instynkt podpowiadał Hope, że znowu ich zaatakują.

## ***ROZDZIAŁ DZIESIĄTY***

Jeśli Tabby mieszka w tym stanie, to nigdy nie była aresztowana. A w każdym razie nie jako Tabby czy Tabitha. Oczywiście, nie wiadomo, czy to jej prawdziwe imię. Może przezwisko. Może naprawdę nazywa się Catherine, a używa zdrobnienia nadanego przez przyjaciół. A może jest to pseudonim, który nie ma nic wspólnego z jej normalnym życiem.

Z jakiegoś powodu w policyjnych aktach nie było nikogo, kto by odpowiadał jej rysopisowi. Para detektywów sprawdzała wszystkie hotele w okolicy, na wypadek, gdyby przyjechała tu z innego stanu. Charlie z partnerem przeszukiwali federalne bazy danych, co zwykle zajmuje trochę czasu. Hope zdecydowała, że wyśle do laboratorium próbkę narkotyku, którego użyła Tabby, bez wdawania się w wyjaśnienia, w jaki sposób weszli w posiadanie posłanego do analizy ręcznika.

Nie było nawet mowy o tym, by mogli sporządzić raport z wydarzeń ostatniej nocy. Po ranie na udzie nie było już niemal śladu, a Gideon nie mógł ujawnić, dlaczego pojawił się na bulwarze bez przyznania się do rozmowy z duchem Lily Clark. Miał nieprzyjemne uczucie, że mówiąc prawdę, nie znalazłby posłuchu ani u nowego szefa, ani wśród kolegów. Od dziecka uczono go, że ujawnianie swoich talentów jest absolutnie zakazane: byłoby to nie tylko głupie, ale i niebezpieczne.

Jego partnerka nie czuła się dobrze w rzeczach jego kuzynki, ale wyglądała świetnie. Perwersyjne skrzyżowanie elegancji i niedbałości o ubiór. Wysokie obcasy wystające spod nogawek dodawały jej wdzięku. W trakcie rozmów z przyjaciółmi Sherry Bishop okazało się, że mężczyźni, wcześniej powściągliwi, stawali się wobec niej wylewni i gotowi do zwierzeń. Niestety, nikt nie wniósł do sprawy niczego istotnego.

Nie mieli pojęcia, jakie są motywy Tabby. Przypadek? Pech? Niemożliwe. Nie może być przypadkiem, że wszystkie ofiary były samotne.

Wiadomo było, że nikt nie wróci niespodziewanie do domu i zaskoczy zbrodniarkę na gorącym uczynku. Lily Clark miała tylko spełnić rolę posłańca, a potem Tabby usiłowała dodać Gideona do listy ofiar.

Zadzwoił do szeryfa, który prowadził dochodzenie w sprawie Marcii Cordell, i umówił się z nim po południu następnego dnia. Nie miał ochoty opuszczać Wilmington, gdy seryjna morderczyni była na swobodzie, ale z drugiej strony powinien odesłać ducha Marcii i sprawdzić, czy nie wydobędzie z niej czegoś nowego, co pozwoli ustalić tożsamość Tabby.

Musi coś wymyślić, by jego partnerka zgodziła się zostać w Wilmington. Wczoraj zadziwiająco dobrze przyjęła wszystkie rewelacje na jego temat, ale czym innym są słowa, a czym innym obserwowanie, jak korzysta ze swego talentu do prowadzenia dochodzenia. Nie chciał zostawiać Hope samej, ale nie chciał też przyzwyczajać się do jej obecności. Już teraz zbyt dobrze czuł się w jej towarzystwie.

Partnerzy nie powinni ze sobą sypiać. I bez tego mają wystarczająco dużo problemów. Prawdę mówiąc, wolałby raczej sypiać z Hope niż pracować z nią, ale nie mógł oczekiwać, że potulnie przeniesie się do innego wydziału. Czy kiedykolwiek była potulna i posłuszna? On tego nie zauważył.

Hope wkroczyła do pokoju z dwoma kubkami gorącej kawy. Poczł ulgę na jej widok, zupełnie jakby zniknęła mu z oczu na kilka godzin. A co będzie, jeśli naprawdę się ze sobą zwiążą? To się po prostu nie może udać. Wszystko się skomplikuje. Ale kogo chce oszukać, sprawy już się skomplikowały, coś między nimi zaiskrzyło, a on wcale nie ma ochoty tego skończyć.

Zapewne i tak jest narażona na niebezpieczeństwo jako jego partnerka. Jest za późno, by się wycofać. To by przypominało zaryglowanie wrót stajni, gdy konie już uciekły.

Postawiła kubki na jego biurku.

- Jakiś mundurowy zaczął mnie podrywać. Słowo daję, te ciuchy wywierają dziwny efekt na facetach. Jakbym miała napisane na czole „rozrywkowa panienska”.

- Dotknął cię? - wycedził przez zęby.

- Słucham? - Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Ten policjant, który cię podrywał. Czy cię dotknął?

- Nie. Gapił się na mój pępek i zapytał, co robię po pracy.

- Który to? Jak się nazywa?

- O nie, Raintree. Nawet nie zaczynaj.

- Czego?

- Dobrze wiesz.

- Wyłóż kawę na ławę, a nie czekaj, że zgadnę.

- No dobrze. Jeśli mamy być... kimkolwiek jesteśmy, bo wcale nie mam pewności, jak to określić, musimy nakreślić granice. Chcę być twoją partnerką. Rozumiem i akceptuję sposób, w jaki pracujesz. Mam nadzieję, że mogę coś wnieść do naszej współpracy. Natomiast musimy zdecydowanie rozdzielić życie prywatne i zawodowe. To oznacza, że nie będziesz starał się mnie bronić przed każdym facetem, który zacznie mnie podrywać mniej lub bardziej uprzejmie. Nie jesteś jaskiniowcem, a ja nie jestem twoją własnością. Nie będzie seksu na biurku czy skradzionych pocałunków przy automacie z kawą. W pracy jesteśmy partnerami i niczym więcej. Czy jesteś w stanie to zaakceptować?

- Nie wiem - przyznał uczciwie. - Łatwiej by mi było pracować z kimś innym.

- Ja nie chcę się przenosić. Chcę prowadzić śledztwa w sprawach dotyczących morderstw. Mogę się wiele od ciebie nauczyć. Może powinniśmy uznać, że to, co zaszło dziś rano, było pomyłką, i trzeba spuścić zasłonę niepamięci na ten jednorazowy wyskok.

Mają zapomnieć? Gideona ogarnął nagły gniew, toteż powiedział ostrzej, niż zamierzał:



- Zapomnij, jeśli potrafisz. Ja nie umiem.

Hope zaczerwieniła się i przelknęła ślinę.

- Prawie skończyliśmy. Możemy podjechać do motelu, wezmę samochód z parkingu i pojedę się przebrać do domu.

- Nie - rzucił zdecydowanie.

- Jak to, nie? - Uniosła brwi.

- Nie mam pewności, że będziesz tam bezpieczna.

- Widzisz? O tym właśnie mówiłam. To jest reakcja typowego macho, której chciałabym uniknąć. Czy tak byś potraktował Leona?

- Nie pieprzyłem się z Leonem. Zaczerwieniła się, zbladła i wypadła z pokoju.

Mógłby ją dogonić i przyprowadzić z powrotem, ale zrobiliby z siebie widowisko. Zamierzał przyjąć jej ofertę. Jaka to ulga mieć partnera, który wie o jego paranormalnych zdolnościach i traktuje je jak zwykłą rzecz. Kogoś, kto chciałby pracować równie ciężko jak on, by rozwiązać zagadkę i dopaść przestępcę.

Dogonił ją na parkingu.

- Jeśli chcesz mnie przeprosić... - zaczęła, patrząc na niego gniewnie.

- Nie chcę - przyznał uczciwie. - Nie będę cię przeproszał za to, co się stało, i nie będę przeproszał za mówienie prawdy. Nie jesteś facetem, Hope, więc nie musisz naśladować Leona. - Przytrzymał drzwi po stronie pasażera, a kiedy już siedzieli w środku, zmienił temat. - Nie możesz nocować w domu, ponieważ czy tego chcemy, czy nie, znalazłaś się na liście osób, które Tabby umieściła na liście wrogów. Jeśli nie uda jej się dorwać mnie, może namierzyć ciebie. Wtedy twoja matka i siostra znajdą się nagle na celowniku psychopatki.

- To ma sens - przyznała. - Tylko chciałabym przynajmniej wziąć z mieszkania parę rzeczy.

- Oczywiście. - Skierował auto w kierunku Srebrnego Kielicha.

Challenger jeszcze sobie postoi na parkingu. Nie zamierzał spuścić Hope z oczu.

Kiedy skręcili w ulicę Czerwonego Krzyża, powiedział od niechcenia:

- Więc mówisz, żadnego seksu na biurku? Co za rozczarowanie.

Sunny Malory Staton była nieodrodną córką Rainbow Malory. Po ojcu miała ciemnoblond włosy, ale poza tym była jak skóra zdarta z matki. Szeroki uśmiech, wielkie serce. Wygodne sandały, powłóczysta szata, wielkie wiszące kolczyki. Bez stanika.

Sunny powitała siostrę i jej partnera uśmiechem. Nie skomentowała nietypowego stroju siostry, a może wcale nie zwróciła na uwagi na to, jak Hope była ubrana.

Gdyby to Sunny włożyła kostium, Hope z pewnością by zauważyła.

Obie kobiety były zajęte rozkładaniem biżuterii w gablotach. Świetnie się przy tym bawiły. Sunny opowiadała matce o wnukach, które zostały w domu z ojcem. Towarzystwo starszej córki zawsze było dla Rainbow ogromną przyjemnością.

Przez całą drogę Hope usiłowała wymyślić wiarygodną historyjkę, dlaczego musi najbliższych parę dni spędzić u Gideona, choć matka zapewne i tak uzna, że jej młodsza córka idzie za głosem serca. Tymczasem Rainbow o nic nie pytała, spojrzała tylko ze zrozumieniem na ich nieformalny strój i szepnęła „Pod przykrywką?”, jakby mógł ich podsłuchać ktoś z ulicy.

Gideon już otwierał usta, by zaprzeczyć, ale Hope w tym momencie szybko potwierdziła i oznajmiła, że wpadła tylko po parę drobiazgów, bo się śpieszą.

Na górze wrzuciła do torby ubrania na zmianę, bieliznę, szczoteczkę do zębów i kosmetyki. Tylko to, co naprawdę niezbędne, by rozgościć się w domu na plaży.

Zeszła na dół i zastała całą trójkę w najlepszej komitywie. Chichotali nachyleni ku sobie, jakby matka wyciągnęła jej zdjęcie jako pulchnego bobasa w kąpielni, a Sonny skończyła właśnie opowiadać jedną z kompromitujących historyjek typu „A pamiętasz?”.

- Możemy już iść - oznajmiła.

Cała trójka odwróciła się jak na komendę, a ona poczuła się tak, jakby znali jakiś sekret, do którego jej nie dopuścili. Przez całe dzieciństwo czuła się tak, jakby tylko ona nie miała wstępu do koła wzajemnej adoracji, jakby musiała podglądać życie rodziny, oddzielona od niej szklaną szybą.

- Naturalnie. - Gideon poderwał się z miejsca i ogarnął ją wzrokiem, w którym tyle było pożądania, że aż jej się zrobiło gorąco.

Miała dwadzieścia dziewięć lat i wiele kontaktów z mężczyznami. Romantycznych, seksualnych, emocjonalnych. I nikt nigdy nie patrzył na nią w ten sposób. Żaden z tych mężczyzn nie patrzył tak, że ugiwały się pod nią kolana.

Gideon Raintree był jedyny w swoim rodzaju.

- W sobotę wieczorem ugotuję coś dobrego - zawołała Sunny. - Jeśli skończycie swoje robótki, przyjdźcie po zamknięciu sklepu. Robię świetne kruche ciasto z brzoskwiniami.

Hope wrzuciła torbę na tylne siedzenie mustanga. Wczorajszej nocy, gdy wiozła go półprzytomnego do domu, była pewna, że Gideon spędzi wiele dni w szpitalu. Tymczasem teraz wyglądał, jakby nic się nie stało.

- Czy będą tu bezpieczne? - zapytała, zanim uruchomił silnik.

Widziała, co Tabby potrafi, więc chociaż nie lękała się o siebie, perspektywa napuszczenia jej na swoich bliskich mroziła jej krew w żyłach.

- Gdybym miał wątpliwości, nie zostawiłbym ich tutaj. Na wszelki wypadek są pod całodobową obserwacją.

- Jakim cudem to załatwiłeś bez ujawnienia szefowi pewnych rzeczy? - I skąd wiedział, że właśnie tego jej było potrzeba, by nie umierała z niepokoju? Rainbow i Sunny może i są wariatkami, ale to jej ukochane wariatki.

- Niczego mu nie wyjaśniałem. Zatrudniłem prywatnych ochroniarzy, którzy będą pilnować twojej rodziny do momentu złapania Tabby. Chociaż jest

to działanie na wyrost. Tabby chce dopaść mnie, a może też ciebie. Nie sądzę, żeby twoja rodzina znalazła się na jej radarze.

Dwudziestoczwierogodzinna obserwacja nie jest rzeczą taną. Mogła mieć pretensje, że nowy partner nie uzgodnił z nią tego wcześniej; mogła też zaoferować, że sama za nią zapłaci, chodzi przecież o jej rodzinę. Zamiast tego prosto z serca powiedziała:

- Dziękuję.

### ***Czwartek - 8.37 wieczorem***

Nie zdziwiło go, że kostium kąpielowy Hope był jednocześnie strojem pływackim dokładnie przykrywającym ciało. Znakomicie podkreślał sylwetkę, ale wiele by dał, by ją zobaczyć w skąpym czerwonym bikini, jak te szmatki, które nosiła Echo, gdy się u niego zatrzymywała. Pod konserwatywnymi kostiumami i garniturami, które Hope wkładała do pracy, kryło się fantastyczne ciało.

Wczytywali się w akta, dzieląc na czworo każde słowo i posilając się kanapkami, aż oczy zaczęły im odmawiać posłuszeństwa. Dla Gideona woda była zawsze skuteczną terapią na zmęczenie.

Morze było niespokojne i fale mocno uderzały o brzeg, więc nie wypłynęli daleko. Nie było droczenia się, śmiechów, wciągania pod wodę i trzymania się za ręce. Zresztą, jakże mogliby sobie pozwolić na taką przyjacielską poufałość? Gideon nadal nie umiał określić, co właściwie ich łączy. Są partnerami, ale pewnie nie na długo. Przyjaciółmi? Nie. Hope Malory może być wszystkim, ale nie jest jego przyjaciółką. Kochankami? Jedna wspólna noc nie czyni z ludzi pary.

W ciemności wyszli z wody i wracali do domu.

- Gideon!

Honey, jego jasnowłosa sąsiadka, wychylała się z balkonu swojego domu i machała do niego energicznie. Nigdy nie wchodziła do wody. Kiedyś ją o to zapytał, a ona wyjaśniła, że nie chce sobie zrujnować fryzury. Hope z mokrymi włosami wydała mu się w tej chwili najpiękniejszą kobietą na świecie. Ta myśl nie dawała mu spokoju.

- Cześć - odparł bez entuzjazmu.

- Nie zapomnij o imprezie u mnie w sobotę. - Zerknęła ciekawie na Hope.

- Będziesz w domu?

- Przepraszam, ale nie.

- A co powiesz na kolację jutro? Moglibyśmy zjeść na tarasie, na świeżym powietrzu.

- Muszę wyjechać na jeden dzień, jeszcze nie wiem, kiedy wrócę.

Hope uniosła brwi. Pewnie się zastanawia, czy zamierza przed nią uciec, czy po prostu jest to kłamstewko wymyślone, by odrzucić zaproszenie Honey.

- Jeśli dasz radę, wpadnij w sobotę.

- Jasne - potwierdził niezobowiązująco.

Przy schodkach prowadzących na taras opłukali stopy pod kranem.

- Dokąd chcesz jutro jechać?

- Okręg Hale. Tam zamordowano Cordell.

- Myślisz, że to coś da?

- Nie wiem. Może jej duch będzie jeszcze na miejscu.

- Po tak długim czasie?

- Są duchy przykute do jednego miejsca przez setki lat. Tkwią tam, bo ich życie lub śmierć były tak traumatyczne, że nie potrafią się oderwać od wspomnień. Cztery miesiące to niewiele.

- Robisz to wszystko, żeby łapać morderców, czy aby pomóc udręczonym душom znaleźć drogę w zaświaty?

- Jedno i drugie - przyznał.

Weszli do domu. Gideon trzymał się trochę z tyłu, bo nie miał pojęcia, co dalej. Pragnął jej, ale nie powinien robić pierwszego kroku. Co nie znaczy, że nie chce.

Ale to ona podjęła decyzję. Zarzuciła mu ręce na szyję i delikatnie pocałowała w usta. To nie był erotyczny pocałunek - ale można go było potraktować jak zaproszenie.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Gideonie. Przepraszam, że na początku podejrzewałam cię o nieuczciwość i brudne interesy.

- Nie ma sprawy.

- Jest. Ukrywasz prawdę o sobie i nie możesz przyznać się, co naprawdę robisz. A mimo to troszczysz się o ludzi nawet po ich śmierci, nie oczekując uznania, pieniędzy, sławy czy przynajmniej podziękowania.

- Dziwi mnie, że byłaś w stanie tak szybko to zaakceptować. - Nachylił się do kolejnego pocałunku.

- Tak - szepnęła. - Mnie też.

Ocean zmył z Hope zmartwienia, przynajmniej przejściowo. Teraz mogła myśleć tylko o towarzyszącym jej mężczyźnie.

Zrzucili mokre kostiumy i weszli pod prysznic. Ich skóra była pokryta solą i piaskiem. Na ustach Hope czuła smak jego warg. Na dzisiaj koniec pracy, przyszedł czas na łóżko. Hope miała ochotę być swawolna i rozwiązała, co normalnie nie leżało w jej naturze.

Chociaż w pracy zachowywała się po męsku, w łóżku nigdy nie była agresywna. To jedyne miejsce, gdzie górę brała nieśmiałość i rezerwa posunięta niemal do pruderii. Jednak nie było niczego pruderyjnego w zdecydowanym geście, którym popchnęła Gideona pod prysznic i weszła tam razem z nim.

- Nigdy cię nie męczyło mieszkanie w tej okolicy?

- Tylko wtedy, gdy mam zbyt wielu gości. Mam swoją metodę, by się ich pozbyć. Każdej nocy wrzucam im garstkę piasku do łóżka i w poszukiwaniu wygody wracają do siebie.

- Mnie również będziesz odpędzał piaskiem, jeśli nadużyję twojej gościnności?

- To niemożliwe - przyznał cicho.

Miała ochotę zapytać: Kim dla ciebie jestem? Przyjaciółką? Twoją dziewczyną? Koleżanką z pracy, z którą czasem sypiasz? Ale bała się, że on też nie zna jeszcze odpowiedzi. Całowali się pod wodą i błędzili rękami po swoich ciałach. Chciała, by ją tutaj wziął, ale nie mieli zabezpieczenia, a nie chciała go posyłać po prezerwatywę. W tej chwili liczyły się tylko gorące pieszczoty. Słowa nie miały znaczenia. Może pewnego dnia będą miały, ale nie teraz.

Gdziekolwiek jej dotykał, prąd przeszywał jej ciało, łaskoczając, podniecając, rozpalając. Może była to prawdziwa elektryczność, a może wibracja zmysłów, to w tej chwili bez znaczenia. Pragnęła tego mężczyzny bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Nie próbował jej wyciągnąć spod prysznica, zamiast tego przycisnął dłoń do jej brzucha i szepnął:

- Będę oszukiwał.

- Dobrze - zgodziła się bez wahania.

Orgazm niespodziewanej intensywności przeszył jej ciało i gdyby nie jego ramiona, osunęłaby się na podłogę.

- Otwórz oczy - szepnął.

W kabinie prysznicowej była dziwna poświata, ale tym razem nie pochodziła ona od Gideona. To świeciła jej skóra, na której tańczyły maleńkie iskierki elektryczne. Otaczała ją świetlista aura.

- Woda jest dobrym przewodnikiem...

- Co mówią dziewczyny, kiedy zamieniasz je w swoje prywatne świetliki?  
- zażartowała już w sypialni.

- Nie wiem. Nigdy dotąd tego nie robiłem. Zwykle starałem się ukryć swoją prawdziwą naturę. - Nie przyznał się, że poświata była czymś wyjątkowym, tak jak Hope jest niepodobna do innych kobiet. Jedyna na świecie.

- Przede mną nie musisz niczego ukrywać - zapewniła.

To było tak nowe i niespodziewane uczucie, że jest ktoś, przed kim może odkryć swoją naturę, że Gideon aż się spłoszył. Nagie ciała? Oczywiście. Ale nagie dusze? Nigdy.

Nie chciał myśleć teraz o niczym poza fizyczną rozkoszą. To jest seks. Erotyczne spotkanie mężczyzny i kobiety, fantastyczne, do głębi poruszające, ale to tylko seks. Kiedy sięgał ręką do szuflady nocnego stolika, żadne z nich nie myślało już, jak określić to, co ich połączyło. Żyli tylko chwilą.

## ***ROZDZIAŁ JEDENASTY***

Powinna zasnąć słodko jak dziecko, a tymczasem nie była w stanie uleżeć w miejscu. W głowie miała natłok myśli. Kiedy zaczęła się wiercić tak bardzo, że groziło to obudzeniem Gideona, cichutko wymknęła się z łóżka i w półmroku zaczęła rozglądać się po sypialni.

Księżycowe światło wpadające przez okno i przytłumione światelko nocnej lampki w łazience umożliwiały dostrzeżenie wszystkich szczegółów otoczenia. Gideon był minimalistą, nie gromadził w domu niepotrzebnych rzeczy. Na ścianach tu i ówdzie wisiały rodzinne zdjęcia, ale nigdzie nie było zbędnych ozdóbek i wazonów z kwiatami. Przesunęła dłonią po powierzchni toaletki przy łóżku.

Na blacie leżała miseczka na monety, porzucony jedwabny krawat, mały turkus i srebrny drobiażdżek, który zidentyfikowała jako kolejny ochronny talizman. Dotknęła palcami własnego amuletu wiszącego na jej szyi - srebrnego wisiorka, który dostała od Gideona.

Tydzień temu, gdyby ktoś jej powiedział, że coś tak niewinnego i nieistotnego jak srebrna ozdóbka może chronić człowieka przed niebezpieczeństwem, wyśmiałaby go. Teraz już wiedziała, jak bardzo się myliła. Podniosła talizman i założyła go na szyję. Od tej chwili ma podwójną ochronę. Gdzieś tam



czai się Tabby, a poza tym powinna chronić swoje serce wszelkimi możliwymi sposobami. Czy można się ustrzec przed miłością? A może już za późno?

Podniosła z krzesła koszulkę Gideona, wciągnęła ją przez głowę i na paluszkach wyszła na taras, skąd tak dobrze widać było Atlantyk. Odgłosy przyływu i delikatne światło księżyca miały na nią kojący wpływ.

Miłość od pierwszego wejrzenia nie leżała w jej naturze. Każdemu potencjalnemu związkowi poświęcała najpierw wiele namysłu i analizowała go na chłodno pod każdym możliwym kątem. Zachowywała trzeźwą opinię i nie angażowała się w nic, czego wcześniej nie zaakceptowała jako właściwego ruchu do wykonania. Już jako jedenastolatka przejawiała podobne cechy, może nawet wcześniej. Nie podejmowała decyzji pod wpływem emocji. Zawsze na chłodno.

A oto - ni stąd, ni zowąd - bez planowania i zastanawiania, uległa urokowi Gideona. Połączyły ich seks, jego sekrety i wspólnie prowadzone dochodzenie. Połączyły w taki sposób, że kompletnie straciła głowę.

Usłyszała odgłos otwieranych drzwi i ciche stąpanie bosych stóp, ale się nie odwróciła. Poczula, że otaczają ją ciepłe i mocne ramiona. Jak dobrze być w jego objęciach. Może zbyt dobrze. W takich chwilach nie liczyło się nic innego.

- Nie chciałam cię obudzić - szepnęła.

- Dwie noce spędzone wspólnie i budzę się, kiedy cię nie ma obok - odpowiedział, a w tym stwierdzeniu była nutka dyskomfortu.

Oparła się o niego plecami.

- Dla mnie też nowym doświadczeniem jest to, że potrzebuję drugiej osoby.

Wsunął dłonie pod koszulkę i znajomym gestem dotknął jej piersi. Palce igrały z wrażliwymi koniuszkami sutek, aż przymknęła oczy i przywarła do niego. Ciało miało własne pragnienia i wolę, pozwoliła mu przejąć inicjatywę. Nie rozumiała, dlaczego znowu pragnie go z przerażającą intensywnością, która zmiatała w cień wszelkie inne sprawy tego świata. Ale tak było.

Jego dłonie przesunęły się po skórze delikatnie, jak dotyk piórkiem. Czy to elektryczność przepłynęła przez skórę i dotarła do każdej komórki? A może to zupełnie instynktowna i naturalna reakcja kobiety na mężczyznę? Gideon miał cudowne ręce, niezależnie od tego, czy nimi głaskał, czy wysyłał ładunek elektryczny. Dotykał jej, jakby brał ją w posiadanie, jakby dokładnie wiedział, że ma do niej prawo i zamierzał to prawo wyegzekwować. Pochylił się i pocałował ją w kark. Kolejny gest, który stał się dobrze znajomy i cudownie pobudzający.

Odwróciła się do Gideona, zadarła głowę i oddała pocałunek. Objęła go w pasie. Wyszedł na taras nagi - na całej plaży nie było o tej porze ani żywego ducha - odważnie przesunęła dłońmi w górę i w dół, po plecach, biodrach, udach. To prawda, że należy do niego, ale ona też posiada go, przynajmniej teraz, na tę jedną noc.

Całował ją gorąco. Jego wargi, język, ręce domagały się od jej ciała kapitulacji. Nie zamierzała stawiać oporu. Zawładnęło ją pożądanie. Jęknął z niecierpliwości czy frustracji i podniósł ją do góry. Objęła go udami w talii.

- Czy nie potrzebujemy... - zawahała się.

- Już o tym pomyślałem - odparł ochryple.

Przekręciła się, by łatwiej znalazł do niej drogę, by go tym gestem zaprosić.

- Wyszedłeś na taras ubrany tylko w prezerwatywę? Nie brakuje ci pewności siebie - zażartowała.

- Pozwoliłem sobie na optymizm.

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin miała więcej seksu niż w ciągu ostatnich pięciu lat, ale nie to było najważniejsze. Nigdy, przenigdy seks nie był tak potężnym, pochłaniającym, żywiołowym i pięknym przeżyciem, pozbawionym uczucia skrępowania czy zawodu. Nie żałowała ani sekundy spędzonej w ramionach Gideona.

- Cieszę się, że się obudziłeś. Nigdy nie kochałam się w świetle księżyca.

Gideon na moment zeszywniał.

- Światło księżyca.

Podniósł ją z balustrady, o którą się opierała, i przeniósł w cień przy domu. Teraz nie dosięgał ich żaden księżycowy promień, rolę podpórki musiała przejąć ściana. Gideon trzymał ją, a ona przytrzymała jego. Czuła się jednocześnie uniesiona w powietrze i mocno zakorzeniona w ziemi.

Znawali się w kompletnej ciemności, gdy się połączyli. Hope było wszystko jedno, gdzie się teraz znajdowali. Światło księżycowe czy słoneczne, ciemność czy środek dnia. Pod pięcioma kołdrami czy nago pod gołym niebem. Dopóki była z Gideonem i trzymał ją w ramionach, czas i miejsce nie miały znaczenia. Instynkt przyciągał ją do niego, ale w ich zbliżeniu było dużo więcej niż fizyczne pożądanie, niż potrzeba ciała.

Już dawno nie była zakochana.

Miłość to uczucie zarezerwowane dla matki, siostry, siostrzeńców. Romantyczna miłość do mężczyzny jest najeżona zbyt wieloma pułapkami. Nie tylko nie tęskniła za uczuciem, robiła wszystko, co w jej mocy, by go uniknąć. Miłość jest zagrożeniem, ryzykiem, że pewnego dnia człowiek obudzi się ze złamanym sercem. Te potężne emocje, których doznawała, gdy kochała się z Gideonem, z pewnością są tylko ubocznymi skutkami udanego seksu.

Jednak kiedy teraz w ciemnościach spleli się i połączyli, ślepi i głusi na cały świat, nie wyobrażała sobie, że na miejscu Gideona mógłby być jakikolwiek inny mężczyzna.

Mogłaby go pokochać. Mogłaby uczynić go centrum swojego świata, zmienić siebie i swój sposób życia. Duchy, błyskawice i wewnętrzne światło jej nie odstraszały. I dopiero to było niepokojące.

W tym samym momencie szczytowali z jękiem stłumionym przez pocałunek. Szum fal omywających łagodnie piaszczysty brzeg i łagodne światło księżyca sprawiły, że chwila ta stała się absolutnie doskonała. I wtedy znowu przyszły jej na myśl te słowa: Mogłabym cię pokochać. Delikatna poświata

otaczająca Gideona wywołała uśmiech i na końcu języka miała już „Kocham cię”, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Za wcześnie na takie wyznania. Są zbyt ryzykowne.

Wniósł ją do domu i delikatnie położył na łóżku. Miała na sobie jego koszulkę i sprawiał jej przyjemność dotyk miękkiego materiału i lekki zapach Gideona, który przywarł do materiału.

- Chcę wstać rano i wybrać się tam, gdzie zamordowano tę nauczycielkę, Cordell.

- Masz na myśli nas oboje, prawda?

- Wolałbym, abyś została.

Uniosła się na łokciu. Gdyby nie uczucie kompletnego rozmarzenia po dobrym seksie, gdyby nie niewypowiedziane „Kocham cię”, jeszcze wiszące na końcu języka, jego słowa sprowokowałyby ją do gniewnej reakcji. Zamiast tego tylko się uśmiechnęła.

- Mowy nie ma.

- Jest jeszcze wiele akt do przejrzenia. Myślałem, że się tym zajmiesz.

- Rozłożysz dach i przeczytam je w czasie drogi.

Przyciągnął ją do siebie.

- Czy możemy odłożyć ten spór na jutro?

- Oczywiście. - Zamknęła oczy. Może teraz przyjdzie sen. - Chociaż uwielbiam się z tobą kłócić. Jesteś taki słodki, gdy się wściekasz.

- Jesteś wyjątkowa, Hope Malory - zaśmiał się zaskoczony Gideon.

- Ty też, Gideonie Raintree.

To były słowa najbliższe wyznania miłości, na jakie oboje mogli i chcieli sobie pozwolić.

Gideon obudził się o świcie, co było dla niego normalne. Z ramionami wokół pięknej kobiety, co już nie było tak normalne.

Był przyzwyczajony do przelotnych romansów. Nawet w związkach, które trwały parę tygodni albo parę miesięcy, zachowywał dystans. Nie spędzał

całej nocy u swoich kochanek i nie miał zwyczaju budzić się u ich boku u siebie w domu. To było zbyt ryzykowne.

Nie czuł się zagrożony, spędzając noc z Hope. To było dobre, naturalne i słuszne, jakby byli razem od tysiąca lat. I to właśnie jest niebezpieczne. Ostatniej nocy prawie zapomniał o słowach Emmy i był gotów kochać się z Hope na tarasie oświetlonym przez księżyc. Miał prezerwatywę, ale żadna metoda zapobiegania ciąży nie jest stuprocentowo skuteczna. Przesunięcie się w cień było tak naprawdę kolejnym półśrodkiem.

Podniósł koszulkę do góry i przywarł ustami do brzucha Hope. Smakowała najlepiej na świecie. Jej skóra była gładka i ciepła. Całował ją, chcąc wchłonąć w siebie jej smak i zapach, aż poczuł rękę na swoich włosach.

- Dzień dobry - wymamrotała zaspanym głosem.

Tego ranka nie spieszył się; kochali się leniwie i czule. Miał zamiar zmęczyć ją pieszczotami na przemian natarczywymi i kojącymi, orgazmami przechodzącymi w kolejną drogę na szczyt, niegasnącym pożądaniem. Kiedy zaśnie twardo, on wymknie się i wyruszy w drogę sam, bez swojej towarzyszk. Hope będzie na niego wściekła, ale w końcu mu przebaczy. Świetnie wiedział, w jaki sposób doprowadzić do tego, by mu darowała.

- Masz najdłuższe nogi na świecie - powiedział, całując miękko wgłębienie za kolanem.

Jej skóra była niemal biała. Najwyraźniej rzadko wylegiwała się w słońcu. Fascynował go kontrast między jego opaloną dłonią a jej ciałem. Przesunął palcem po udzie w górę i pozwolił, by elektryczne iskierki przeskoczyły z jego dłoni na mleczną skórę Hope. Zaśmiała się i zaczęła wykręcać.

- Łaskocze.

- Naprawdę?

- Tak.

Nie był w stanie się oderwać od tej kobiety. Czy kiedykolwiek się nią nasyci? Ranek był w pełni, a on nie zostawił na jej ciele ani jednego skrawka,

którego by nie dotknął. Wibrowała w jego ramionach, dygotała i wyginała się, wydając jęki, które działały na niego jak erotyczna stymulacja. Kiedy skończył, przewróciła go na plecy, zdecydowana, że teraz ona weźmie go po swojemu. Że teraz on będzie się wił i jęczał. I tak zrobiła.

Kiedy już był gotów, Hope zrzuciła z siebie jego podkoszulkę. Gideon sięgnął do szuflady. To było miejsce, gdzie trzymał prezerwatywy. W drodze powrotnej będzie musiał wpaść do apteki i uzupełnić zapas, który szybko się wyczerpywał. Nie ma znaczenia, jak bardzo lubi Hope; nieważne, jak dobrze czuje się w jej towarzystwie i jak świetnie jest im w łóżku; w tym miejscu musi postawić granicę. To prawda, że seks jest niewiarygodny, ale nie ma żadnej gwarancji, że ich związek przetrwa. Niewiele jest na tym świecie rzeczy, które nie przemijają.

Hope siedziała na brzegu łóżka - uśmiechnięta, zaróżowiona i zdyszana. Jej czarne włosy były potargane. Idealna Hope, zawsze tak opanowana i nienaganna, była nieodparcie piękna, kiedy tak siedziała, rozczochrana i naga. Rozczochrana, naga... i z dwoma srebrnymi amuletami na szyi.

Gideon z wrażenia upuścił na łóżko prezerwatywę. Zapomniał o przerwanej akcji miłosnym, o tym, że jeszcze przed chwilą tak bardzo pragnął znaleźć się w Hope. Teraz widział tylko dwa wisiorki na jej szyi.

- Skąd to masz? - zapytał, podnosząc jeden z nich do góry. Ten, którego jej nie zawiesił.

Spojrzała na talizman obojętnie.

- Prawie o nim zapomniałam. Znalazłam go wczoraj na toalecie.

Zeskoczył z łóżka i rzucił się do toaletki. Tak jak się spodziewał, brakowało na niej talizmanu dla Dantego, tego, który zawierał w sobie zaklęcie wspomagające płodność. Hope miała go na swojej ślicznej szyi.

- Miałaś go wczorajszej nocy na tarasie?

- Tak mi się wydaje. - Odgarnęła włosy z twarzy i przeczesła je palcami.

- Tak. Podniosłam go i włożyłam przed wyjściem na dwór.

- Dlaczego?

- Sama nie wiem. Jest piękny. - Zdjęła z głowy łańcuszek, spłoszona tym, że użyła czegoś, co nie było przeznaczone dla niej. Ten gest jeszcze bardziej potargał jej włosy. To nie miało znaczenia. Było już za późno. - Wydawało mi się, że potrzebuję dodatkowej ochrony. - Podała mu talizman na wyciągniętej ręce. Nie wziął go. - Przepraszam, jeśli nie powinnam była go ruszać. Weź go i wróć do łóżka.

- Cała ochrona na świecie tego już nie zmieni... - Urwał.

W końcu miał ją tylko raz, stało się to w cieniu, i zabezpieczała go prezerwatywa. Może nic się nie stało. Popędził do łazienki i zatrzasnął za sobą drzwi.

- Gideonie? - zawołała zaniepokojona Hope. - Czy nic ci nie jest?

- Wszystko w porządku - odparł tylko.

W porządku? Co za łgarstwo. Był tak blisko kolejnego absolutnie doskonałego momentu zespolenia z Hope, gdy zobaczył na jej piersi ten przeklęty talizman. Pożądanie drugiej osoby do tego stopnia, że zapomina się o całym świecie, to jedna sprawa. Ale splodzenie dziecka jest czymś kompletnie innym.

Może naprawdę nic się nie stało. Resztki rozsądku kazały mu wczoraj schować się przed światłem księżyca. Już to jedno zmieniło sytuację. Emma nie może przybyć do niego w księżycowym promieniu, jeśli nie ma księżycowego promienia w pobliżu.

- Emmo - szepnął. - Pokaż mi się.

Zamarł w oczekiwaniu na ducha, który uważał się za duszę jego przyszłego dziecka. Do tej pory zawsze się pojawiała, gdy ją przywoływał. Ale łazienka pozostała cicha i pusta.

- Czy na pewno dobrze się czujesz? - Hope była tuż za drzwiami.

- Świetnie! - wrzasnął ze złością.

Odeszła, a po chwili usłyszał szum wody w łazience dla gości. Oparł się o umywalkę i wpatrywał w swoje odbicie w lustrze. Nie wyglądał na ojca; nie czuł się ojcem.

- Daj spokój, Emmo. To nie jest śmieszne - powiedział głośniejszym głosem niż poprzednio. - Nieładnie jest tak się droczyć. Tatuś dostanie ataku serca, jeśli się nie pokażesz.

Słysząc tylko jego przyspieszony oddech. Hope była wyjątkowa; temu nie mógł zaprzeczyć.

Fakt, że kochając się z nią, zaczynał emanować blaskiem, był najlepszym znakiem, iż angażował się nie tylko ciałem, ale też sercem i duszą. Może za kilka lat, jeśli nadal będzie im tak dobrze w łóżku, jeśli rozwiążą pomyślnie problem wspólnej pracy, może wtedy rozważy ewentualność, że Hope zagości w jego życiu na stałe. Ale teraz?

- Emmo, skarbie - prosił - nie ma powodu do pośpiechu. Za kilka lat będę gotowy na to, żeby mieć dzieci. - To było kłamstwo, ale Emma nie może tego wiedzieć. Świat nie jest miejscem dla niewinnego dziecka; codziennie widział tego dowody.

Emma przekomarza się tylko. Schowali się w cień i był zabezpieczony.

Ale Hope miała na sobie ten przeklęty talizman i samo to wystarczyło, by wszelkie środki ostrożności zawiodły.

Gideon wskoczył pod prysznic, by zmyć z siebie przeczucie nadchodzącej katastrofy, wytarł się i owinał ręcznik wokół bioder. Znalazł Hope w kuchni. Zaparzyła kawę i teraz przeszukiwała szafki w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

Spojrzała na niego uważnie.

- Jesteś pewien, że się dobrze czujesz?

- Tak. - Spojrzał na nią. A dokładniej, spojrzał na jej brzuch. - Emmo, proszę. Odezwij się do mnie - szepnął, gdy Hope wsadziła głowę do lodówki.

- Co mówiłeś? - Hope odchyliła się z galonem mleka w rękę.



- Nic.

- Wydawało mi się, że powiedziałaś „Emma”.

- Postawiła mleko na stole obok płatków śniadaniowych. - Tak miała na imię moja babcia.

Omal nie jęknął, ale w porę się pohamował.

Hope sięgnęła po talerze. Zachowywała się, jakby знаła tę kuchnię jak własną kieszeń.

- Moja mama marzy o wnuczce, która miałaby na imię Emma - oznajmiła - ale chyba nieprędka się jej doczeka, zważywszy na to, że Sunny ma trzech chłopców, a ja na razie nie planuję dzieci.

- Chcesz się założyć? - mruknął Gideon pod nosem.

Hope odwróciła się do niego.

- Może powinnam do ciebie mówić Rainman, jak w tym filmie, a nie Raintree. Przez cały ranek nie można się z tobą porozumieć.

Gideon wskazał palcem na drugi amulet. Hope ponownie zawiesiła go na szyi, gdy go od niej nie wziął. Był przeznaczony dla Dantego, taki braterski psikus, przypomnienie, że dranir powinien mieć potomstwo. Zaklęcie nie rozróżnia płci, więc będzie miało taki sam skutek wobec Hope.

- Ten talizman, który w nocy znalazłaś na toalecie - Gideon nie opuszczał ręki - wspomaga płodność.

- Co?! - Hope cofnęła się o krok, zerwała łańcuszek z szyi, jakby nagle zaczął parzyć. - Co za chora psychicznie osoba sporządza takie amulety i rozrzuca je na prawo i lewo!

- Ta chora osoba. - Gideon wskazał siebie. - Amulet był przeznaczony dla mojego brata, nie dla ciebie.

Cisnęła w niego wisiorkiem z całej siły.

- Naprawdę jesteś chory na umyśle - stwierdziła ostro, a on złapał talizman w locie. - Czym ci zawinił twój brat, że chciałeś mu wyciąć taki numer? - Rozejrzała się wokół, jakby chciała znaleźć inne przedmioty, którymi

mogłaby w niego cisnąć, niczego jednak nie znalazła. - Jestem przekonana, że nie zadziałał. Nie był zrobiony dla mnie. Zachowaliśmy wszelkie środki ostrożności. Zawsze byliśmy ostrożni. Nie masz magicznej spermy.

- Masz rację - przyznał nieszczerze. Gdyby talizmany, które robi, były niezawodne, Dante do tej chwili miałby cały pułk dzieciaków. - Nawet cię zaciągnąłem w cień, żebyś nie była w świetle księżyca.

- A to co ma do rzeczy? - parsknęła nieżyczliwie.

Uznał, że nadeszła pora na absolutną szczerłość.

- Od trzech miesięcy nawiedza mnie w snach mała dziewczynka. Dante ją wywołał. Więc nie współczuj mu tak, że czasami dostaje ode mnie w prezencie coś, czego nie chciał.

- Przysłał ci sen?

- Parę razy widziałem Emmę na jawie. To ona kazała mi cię osłonić, gdy Tabby nas ostrzelała.

- Ale co to wszystko ma wspólnego ze światłem księżyca? - Hope była zdenerwowana i może trochę przestraszona. Przyglądała włosy drżącą ręką.

- Emma zapowiedziała, że przybędzie do mnie w księżycowym promieniu.

Hope pobladła - śmiertelnie, przerażająco. Jakby nagle krew odpłynęła jej z twarzy. Była tak biała jak mleko, które wyjęła z lodówki.

- Powinieneś był mnie uprzedzić.

Złapała solniczkę i cisnęła w niego, ale jej gniew jakby osłabł, więc złapał ją bez trudu. Trochę soli rozsypało się na podłodze. Z przyzwyczajenia wziął szczyptę i rzucił za siebie przez lewe ramię.

- Dlaczego? - spytał, odstawiając solniczkę. - Nie uwierzyłem jej. W takich sprawach sami podejmujemy decyzje, a ja zdecydowałem, że nie będę mieć dzieci. Poza tym to jakaś poetycka przenośnia. No i nie byliśmy w promieniach księżyca ostatniej...

- Zamknij się, Raintree. - Hope tęsknie spojrzała na pojemniczek z pieprzem, ale pohamowała się i nie rzuciła nim w Gideona. - Ty akurat byłeś w promieniu księżycy w najbardziej dosłownym sensie. - Odwróciła się i skierowała do wyjścia.

- Dokąd idziesz?

- Zostań. Zaraz wracam.

Kilka sekund później pojawiła się w kuchni z torebką w ręku. Siadła przy stole, wyjęła portfel, wyciągnęła swoje prawo jazdy i rzuciła je Gideonowi.

Pofrunęło w powietrzu jak frisbee, uderzyło go w pierś i upadło u jego stóp.

- Czytaj i płacz - powiedziała słabym głosem.

Gideon podniósł prawo jazdy. Zdjęcie nie było zbyt udane, jak większość zdjęć legitymacyjnych, ale jego uwagę przykuło imię i nazwisko. Przeczytał je jeszcze raz, nie wierząc własnym oczom, a potem zaklął słowami całkiem nieodpowiednimi dla uszu malej Emmy.

Moonbeam Hope Malory.

Moonbeam - Księżycowy Promień.

## ***ROZDZIAŁ DWUNASTY***

Setki razy zamierzała wystąpić do sądu o zmianę imienia, ale matka za każdym razem robiła z tego wielką aferę. Starsza córka Rainbow nazywała się Sunshine - Słoneczne Światło, młodsza Moonbeam - Księżycowy Promień. Przez całe dzieciństwo wołano do nich Sunny i Moonie, dopóki Hope nie dorosła i nie wymogła na otoczeniu, by ją nazywano drugim imieniem.

Gideon prowadził zbyt szybko, ale Hope nie protestowała. Rozłożył dach, więc mogła w drodze przeglądać akta. Nie musieli rozmawiać.

Kilka niewyjaśnionych morderstw zapewne nie ma żadnego związku z prowadzoną przez nich sprawą. Były to okrutne zabójstwa, ale sprawca nie zabrał ze sobą trofeów z miejsca zbrodni. Jednak niektóre przypadki miały niepokojąco podobny scenariusz.

Jeśli Tabby jest seryjną morderczynią, dlaczego próbowała zabić Gideona? Ta nieudana próba zasadniczo różniła się od innych zbrodni. Została podjęta w miejscu publicznym, a Gideon nie przypominał innych ofiar. Czy chodzi o to, że jest samotnikiem? To prawda, był zdeklarowanym kawalerem, zanim zaangażował się w tę historię. Teraz zresztą też nie tworzą pary. Nie chciał uczucia, odpowiedzialności. Połączył ich tylko seks.

Hope nie chciała o tym myśleć. Nie chciała się zastanawiać nad reperkusjami dzisiejszej nocy i poranka. Dużo prostsze było analizowanie zawartości akt opisujących brutalne, sadystyczne morderstwa.

Wyłowiła akta dotyczące zabójstwa w okręgu Hale. Niewiele w nich było, choć szeryf usilnie próbował znaleźć świadków, którzy rzuciliby światło na śmierć nauczycielki. Ucieszył się, gdy się okazało, że jeszcze ktoś zainteresował się wyjaśnieniem zbrodni.

- Dlaczego wybrałaś tę sprawę? - zapytała. - Są inne, które pasują do stylu działania naszej zabójczyni, a popełniono je znacznie bliżej.

- To mniej niż trzy godziny jazdy, a co ważniejsze, scena zbrodni pozostała nienaruszona.

- Jak możesz być tego pewien po czterech miesiącach?

- Oczywiście, posprzątano tam, ale nie wprowadził się nowy lokator. Mam szansę porozmawiać z duchem ofiary i zdobyć jakieś cenne wskazówki.

Nie spierał się, kiedy uparła się mu towarzyszyć, choć najwyraźniej nie było mu to w smak. Może dlatego był taki milczący i przygnębiony? A może dręczy go myśl o jej prawdopodobnej ciąży? Nigdy nie widziała mężczyzny bardziej przerażonego perspektywą ojcostwa. Dla niej też wizja zostania matką nie była źródłem radości.

Wydawał się absolutnie pewny, że spółdzili Emmę. Hope nie podzielała tej pewności, choć wszystko, co mówił o księżycowym świetle i zaklęciach wspomagających płodność, zbijało ją z tropu i zmuszało do rozważenia tej ewentualności. Gideon otworzył jej oczy na niezwykle świat rzeczy nieprawdopodobnych z racjonalnego punktu widzenia. Ale, doprawdy, kobiety nie zachodzą w ciążę, bo noszą na szyi amulet z zaklęciem.

Przez okno widać było okolicę. Drzewa i łąki zlewały się w intensywnie zieloną smugę. Wpatrywała się w nią, ale myślała o czymś innym. Spotkała mężczyznę w poniedziałek i w środę wylądowała w jego łóżku. To zupełnie nie w jej stylu. Działał na nią jak narkotyk. Jakby nagle dostała erotycznej gorączki. W towarzystwie Gideona nie potrafiła się pohamować. Była nienasycona. Zupełnie nie przypominała siebie sprzed kilku dni - powściągliwej i purytańskiej, zdolnej do samokontroli. To właśnie powinno być jej drugie imię - Kontrola. Oczywiście, Hope Kontrola Malory brzmiałoby w jego uszach lepiej niż Hope Księżycowy Promień.

Byli mniej więcej pół godziny od celu podróży, gdy Gideon nagle się odezwał:

- Przepraszam, jeśli trochę przesadziłem.

- Dorosły mężczyzna, który wrywa sobie włosy z głowy, przeklina i histerycznie przemawia do mojego brzucha. Czy to nazywasz „trochę przesadziłem”?

Gideon wzruszył ramionami i zaczął się wiercić, jakby nagle samochodowy fotel przestał być wygodny.

- Niczym w ciebie nie rzuciłem.

- To nie ja zrobiłam amulecik, który jest pułapką na każdą kobietę. Nie ja zostawiłam go na wierzchu, żeby łatwo było go znaleźć.

- Przecież przeprosiłem.

Nie chciała się kłócić. Przynajmniej nie teraz. Nie chciała też myśleć o konsekwencjach ich związku.

- Może po prostu poczekamy i sprawdzimy, czy rzeczywiście jest powód do zmartwienia?

Minał kolejny moment niezręcznej ciszy, po czym powiedział:

- Jeśli będziesz chciała zmienić partnera, zrozumiem.

- Czy tylko o to ci chodzi? - parsknęła rozzłoszczona. - Chcesz pracować sam, więc uknułeś zawiłą intrygę, żeby się pozbyć niechcianej partnerki?

- Nie - zaprotestował, a po pauzie, która trwała parę sekund za długo, dodał: - To prawda. Nie chcę mieć partnera.

- Więc idź do szefa i powiedz mu, że mnie nie chcesz. Nie spodziewaj się, że sama zrezygnuję. Ja się nie poddam, Raintree. Nigdy.

- Przydzielili mi kogoś innego - burknął.

Nie chciała się do tego przyznać, ale sprawiło jej przykrość, że Gideon nie chce z nią pracować. Nie dlatego, że spali ze sobą i była pewna, że ten związek ma szansę rozwinąć się w coś bardzo poważnego, ale dlatego, że bardzo ciężko pracowała na swoją obecną pozycję i miała dosyć kolegów policjantów, którzy uważali, że kobieta nie sprawdzi się w tym zawodzie.

- Oczywiście. Przydzielili ci jakiegoś Mike'a albo Charliego i trudno ci będzie odstawić podobną scenę i ronić krokodyle łzy z powodu tego, że zrobiłeś dziecko swojemu partnerowi.

Gideon nie odpowiedział, więc spojrzała na niego. Tłumił uśmiech.

- Myślę, że nie jestem w ciąży - powiedziała; jej gniew gdzieś się ulotnił.

- Byliśmy ostrożni. Kawałeczek srebra i sen nie mają większego znaczenia.

- Może masz rację - przytaknął, choć ton jego głosu świadczył, że sam w to nie wierzy.

- Nawet jeśli jestem... w ciąży... - do diabła, jak trudno powiedzieć coś takiego na głos - to nie oznacza, że musimy zostać małżeństwem albo coś w tym typie. - Słowo na „m” było trudniejsze do wykrztuszenia niż słowo ciąża. - Nie musisz się troszczyć o to, co się ze mną stanie. - Powiedziała to, ale serce jej się ścisnęło. Perspektywa bycia najpierw samotną kobietą w ciąży, potem samotną matką. Udawanie, że nigdy nie pomyślała „kocham go” o człowieku, który był przerażony perspektywą, że go usidli przez wspólne dziecko.

- Emma jest Raintree. I z pewnością będę się troszczyć - odparł Gideon.

- Chcę zwrócić twoją uwagę na to, że Emma nazywa się Malory, o ile w ogóle jest jakaś Emma.

- Kobieta, która rodzi dziecko należące do klanu Raintree, staje się jedną z nas. Jest Raintree, jak każdy inny członek rodziny.

- Nie sądzę - odparowała. Zaintrygowały ją jego słowa, ale bała się spytać, co właściwie ma na myśli.

- Widziałas, co potrafię. - Gideon ściszył głos, jakby w samym środku zielonej głuszy ktoś mógł ich podsłuchać. - Emma będzie miała swoje własne talenty i nie ma mowy, żebym nie troszczył się o to, co się z nią dzieje.

Nie znali się na tyle długo, by Hope czuła się zraniona tym, że jego troska jej nie obejmuje.

- Może tym razem będzie inaczej. Może tym razem wasze geny nie będą dominujące. - Niech to licho, ona mówi o dziecku, jakby sprawa była przesądzona. - O ile jestem w ciąży. A nie jestem.

- Jesteś w ciąży - stwierdził krótko.

- Jeśli jestem w ciąży - powtórzyła - czy to oznacza katastrofę? - Tym razem nie tylko serce podeszło jej do gardła, ale i żołądek. Oczywiście, że to katastrofa!

Może jej się wydawać, że jest zakochana w Gideonie, ale przecież znają się od paru dni, miała takie atrakcyjne plany, a w dodatku on jej wcale nie kocha.

- Tak!

Hope odwróciła głowę i wpatrywała się przez okno w okolicę, która zamazywała jej się przed oczami coraz bardziej. Nie chciała, aby Gideon zobaczył jej twarz. Nie miała prawa czuć się zdruzgotana tylko dlatego, że nie chciał mieć z nią dziecka. To taka pensjonarska reakcja - rozplakać się, bo mężczyzna, którego przecież ledwo zna, odrzuca jej afekt.

Może dorastanie jako istota różniąca się od otoczenia było dla niego tak ciężkim doświadczeniem, że nie chce narażać dziecka na podobne przeżycia. Ale przecież poradził sobie z tym doskonale. Ma dobre życie, pomaga ludziom - żywym i martwym - i potrafi wykorzystać większość swych możliwości. Może ciężko mu jest ukrywać przed światem swoją prawdziwą naturę, ale przecież przed nią nie musi niczego udawać.

Zjechał na pobocze tak gwałtownie, że przestraszył Hope, która odwróciła się, by na niego spojrzeć.

- Co robisz?

Zatrzymali się, ale Gideon nie wyłączył silnika. Sięgnął po akta leżące na jej kolanach i wybrał jedno z nich na chybił trafił. Przekartkował opisy, przerzucił zdjęcia, potem wybrał jedno i przytrzymał przed nią. Kobieta na



zdjęciu pólleżała na kanapie, krew zalała jej sukienkę, a głowa była niemal odrąbana od tułowia.

- Są na tym świecie ludzie, których stać na podobne bestialstwo - rzekł przyciszonym głosem. - Gdyby było ich niewielu, pewnie nie czułbym się przerażony perspektywą narażenia niewinnego dziecka na życie w świecie, gdzie to się dzieje każdego dnia. Każdego dnia, Hope. Co będzie, jeśli Emma, tak jak ja, będzie musiała codziennie widywać umarłych i poznawać przerażające szczegóły ich śmierci? A co, jeśli będzie podobna do mojej kuzynki i będzie śniła o katastrofach i kataklizmach, którym nie może zapobiec? Co będzie...

Nie skończył i zacisnął usta. Nie mógł wypowiedzieć swoich najgorszych obaw.

Czy może się na niego gniewać? Nie jest małostkowy ani egoistyczny. Jego panika wypływa z głębokiej troski o dziecko, którego podobno nie chce. Hope ze współczuciem dotknęła jego policzka. Nie cofnął głowy, choć obawiała się, że to zrobi.

- Jesteś przemęczony i wypalony. Robisz to za długo.

- A mam inny wybór? Moje paranormalne uzdolnienia pozwalają mi łapać ludzkie bestie i izolować je od społeczeństwa. Jeśli nie będę tego robił, niektóre sprawy zostaną niewykryte i zbrodniarze nie poniosą kary. Duchy niektórych ofiar utkną na tym świecie, uwięzione między życiem a śmiercią. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Co odpowiesz, kiedy mała dziewczynka zapyta cię, czy są na świecie potwory? „Tak” jest przerażające. „Nie” jest kłamstwem.

Pogłaskała go czule po policzku.

- Kiedy ostatnio byłeś na wakacjach, Raintree?

- Nie pamiętam.

- Gdy już złapiemy Tabby i wsadzimy ją na dobre, pojedziemy na długi urlop. Lubię góry.

Nie przytaknął, że wakacje to dobry pomysł, ale i nie protestował. Położył jej rękę na brzuchu, a jego dotyk był niezwykle czuły.

- Nie jestem w stanie znieść myśli, że mógłbym stracić coś tak ważnego - wyznał cicho.

- Emmę? - szepnęła.

- I ciebie, Księżycowy Promieniu. Do diabła, skąd się właściwie wzięłaś? Uśmiechnęła się, słysząc to wyznanie.

- Jeszcze raz nazwiesz mnie Księżycowym Promieniem, a cię zastrzełę. Po raz pierwszy tego dnia uśmiechnął się, po czym szybko ją pocałował.

- Zbierajmy się. Szeryf na nas czeka.

Salonik Marcii Cordell sprawiał wrażenie pokoju urządzonego przez staruszkę. Na stolikach i szafkach leżały wyszywane serwetki, na nich stały kompozycje ułożone ze sztucznych kwiatów, po kilku miesiącach poszarzałe od kurzu, stare meble nie od kompletu w dziwny sposób do siebie pasowały. Na środku dywanika była wielka ciemna plama.

Gideon przykucnął nad nią, a Hope rozmawiała z szeryfem, który nerwowo obracał w palcach rąbek kapelusza.

- Panna Cordell była tutaj nauczycielką. Każdy ją lubił. Przynajmniej tak nam się wydawało, że nie było nikogo, kto by jej źle życzył. Trzeba mieć w sobie dużo nienawiści, żeby zrobić tak okropną rzecz drugiemu człowiekowi. Widziała pani zdjęcia? Paskudny widok. Nigdy go nie zapomnę.

Nie przestawał gadać. Był zdenerwowany i bardzo chciał pomóc. Szukał dowodu, że zrobił to ktoś spoza jego miasteczka, spoza małej lokalnej społeczności, w której wszyscy się znali. Nie chciał dopuścić do siebie myśli, że człowiek zdolny do podobnego bestialstwa mógłby mieszkać między nimi.

Duch Marcii Cordell był w pokoju. Czaiła się w kącie, nieufna i przerażona.

- Jaki mężczyzna mógł zrobić coś tak podłego? Żeby zgwałcić i zamordować taką słodką kobietę.

Gideon gwałtownie poderwał głowę. Zgwałcić?

- Została wykorzystana seksualnie? Szeryf kiwnął głową.

To wykluczało udział Tabby w tej zbrodni. W innych zabójstwach nie było elementu seksualnego.

- Szkoda, że w aktach nie ma na ten temat ani jednej wzmianki.

- Panna Cordell była przyzwoitą kobietą. Nie było powodu, żeby narażać ją po śmierci na nieprzyjemne plotki. Ta część dochodzenia została utajniona.

- DNA? - wtrąciła Hope.

- Koroner powiedział, że mężczyzna miał prezerwatywę. Nie zostawił śladów.

- Detektywie Malory - zwrócił się do niej Gideon spokojnym tonem. - Proszę wziąć szeryfa

Webstera na zewnątrz i przy jego pomocy uzupełnić brakujące fakty.

- Świetny pomysł. - Wzięła szeryfa pod ramię i choć nie miał wielkiej ochoty, poszedł za nią jak dobrze ułożony pies.

Teraz Gideon w końcu zwrócił się do ducha kryjącego się w najdalszym kącie pod postacią świetlistej kuli. Nawet jeśli ten wyjazd miał niewiele wspólnego z aktualnym śledztwem, ma tutaj coś ważnego do zrobienia.

- Odezwij się, Marcio. Powiedz mi, co tu zaszło.

Kula światła przesunęła się i stopniowo przybrała ludzki kształt. Marcia Cordell była pulchna i ładna. Miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, długie brązowe włosy spięte były w kok. Pasowała do tego staromodnego pokoju.

- Widzisz mnie? - spytała drżącym głosem.

- Tak. - Zachowywał spokój, by jej nie spłoszyć. - Marcio, czy wiesz, że nie żyjesz?

- Widziałam, jak zabierali stąd moje ciało. Wołałam do nich o pomoc, ale nikt mnie nie słyszał.

- Ja cię słyszę.

Marcia przysunęła się bliżej, czujna jak dzikie zwierzę. Jeden niewłaściwy ruch i zniknie. Nie była wściekła, jak Sherry i Lily. Była przerażona.

- Opowiesz mi, co się stało?

- Wpuściłam go. Nie wiedziałam, jakie miał zamiary. Dennis zawsze był takim dziwnym chłopcem.

- Dennis. Znałaś go?

- Młody człowieku, staram się opowiedzieć ci, co zaszło. Nie przerywaj mi - rzekła tonem reprimendy, jakiego mogła używać wobec swoich uczniów.

Nie zamierzał jej tłumaczyć, że jest zaledwie parę lat młodszy i z pewnością nie jest młody. Zapewne już za życia była w głębi ducha starą kobietą, jakby przeniosła na ten świat coś z poprzednich wcieleń.

- Przepraszam panią. Proszę mówić dalej.

- Dennis Floyd jest moim sąsiadem. Jego rodzina mieszka tu obok od dwudziestu lat. Kiedy się sprowadzili, poszedł do pierwszej klasy. Parę lat temu uczyłam go angielskiego. Był kiepskim uczniem. Tej nocy zapukał i zapytał, czy może skorzystać z telefonu. Ich linia była zerwana. Oczywiście, wpuściłam go. - Przybrała surowy wyraz twarzy. - Nie dostrzegłam niebezpieczeństwa, dopóki mnie nie złapał z tyłu i nie rzucił na podłogę, jak... - zająknęła się i zaczerwieniła.

- Dopilnuję, aby był ukarany za to, co pani zrobił - zapewnił Gideon.

- Dennis zasługuje na surową karę. Ona też.

- Ona? - Gideonowi zjeżyły się włosy na karku.

- Kobieta, która była z Dennisem i go podjudzała. Nie widziałam jej z początku. Nie wpuściłabym obcej osoby do domu tak późno w nocy. Dennis obalił mnie na podłogę i unieruchomił mi ręce i nogi taśmą klejącą. Potem ją wpuścił.

- Nie znała pani tej kobiety.

- Nie. Dennis mówił do niej jak do kota. Chyba Kitty.

- Tabby - powiedział Gideon cicho.

- Zgadza się. Siedziała tu na krześle i przyglądała się, kiedy Dennis wyprawiał ze mną te niewyobrażalne bezeceństwa. Uśmiechała się, gdy wołałam o pomoc. Powiedziała, że nikt mnie tu nie usłyszy. - Mglista sylwetka rozmyła się, jakby Marcia nie była w stanie mówić o tych szczegółach.

- Ona też zapłaci za swoje zbrodnie. Przysięgam pani.

- To ona mnie zabiła.

- Wiem.

- Myślałam, że już koniec, a wtedy ta potworna kobieta przyłożyła mi nóż do brzucha i przecięła skórę. Sprawiało jej to przyjemność. Kiedy się zmęczyła, zaczęła mnie dźgać i...

Gideon słuchał, a Marcia Cordell opowiedziała mu z detalami o torturach, jakie zadali jej Dennis oraz Tabby, i o sposobie, w jaki zadali jej śmierć. Nie chciał poznawać szczegółów, ale panna Cordell potrzebowała słuchacza, któremu wreszcie mogła wszystko opowiedzieć.

- Czy mogłaby pani powiedzieć mi coś jeszcze o kobiecie? - spytał na zakończenie. - Dennis nazywał ją Tabby. Czy kiedykolwiek użył jej nazwiska? Czy widziała pani samochód, którym przyjechała? Każdy drobiazg może mi się przydać.

- Wiem tylko, że wyszli razem, Dennis i ta okropna kobieta.

Co pewnie oznaczało, że Dennis już nie żyje. Tabby nie zostawiłaby świadka swoich wyczynów.

- Czas na panią, pani Cordell - rzekł do ducha Gideon. - Obiecuję, że oboje zapłacą za to, co pani zrobili. Zajmę się nimi. Proszę się przenieść do kolejnego etapu egzystencji i odnaleźć spokój. Zasługuje pani na to.

- Pan też - szepnęła i rozviała się w nicłość.

Gideon wyszedł na dwór. Jeśli Dennis nadal żyje - co jest mało prawdopodobne, lecz możliwe - może stanowić klucz do odnalezienia Tabby. Tych dwoje to najlepszy dowód, że ten świat nie jest miejscem dla dzieci.

Szeryf Webster stał przy aucie, mnąc kapelusz w palcach. Gideon rozejrzał się wokół.

- Gdzie jest detektyw Malory?

- Postanowiła porozmawiać z sąsiadami. - Wskazał na mały biały domek w oddali. Był oddalony o dobre czterysta metrów, ale i tak znajdował się najbliżej domu Marcii Cordell. - Detektyw Malory uznała, że mogli zobaczyć coś owej nocy, nawet jeśli uważają, że to nieistotny drobiazg. Przesłuchaliśmy ich wszystkich i nic nie wniesli do sprawy, ale...

Gideon poczuł nagły niewytłumaczony niepokój.

- Akurat przejeżdżał tędy Dennis Floyd...

Szeryf nie dokończył zdania. Gideon obrócił się na pięcie i pognął w kierunku białego domku.

Hope rzuciła wzrokiem za siebie.

Szeryf opierał się o samochód patrolowy, posłuszny jej poleceniu, aby nie przeszkadzać detektywowi Raintree. Nie wiadomo, ile jeszcze czasu Gideon będzie w środku, rozmawiając z duchem. Jak naturalnie brzmiały te słowa w jej uszach. Rozmawiając z duchem.

Gdyby mogła coś odkryć, jakikolwiek szczegół może okazać się istotny w połączeniu z tym, czego dowie się jej partner. Może sąsiedzi widzieli obcy samochód. Informacje tego typu czasem były lekceważone i pomijane w pierwszym przesłuchaniu. Nawet jeśli Gideon pozna tożsamość zabójcy, potrzebne są im dowody, by doprowadzić do wyroku skazującego.

- Proszę wejść, przygotuję mrożoną herbatę. Dennis Floyd miał na oko dwadzieścia kilka lat.

Był chudy jak szczapa, miał rzedniejące jasne włosy i niewielkie jasnoniebieskie oczy. Jego samochód i ubranie widziały lepsze czasy, ale dom był zadbany. Ganek od frontu zastawiono kwiatami w glinianych donicach, co sprawiało radosne wrażenie.

- Starzy są w pracy - oznajmił i przytrzymał przed nią drzwi z siatką. -  
Miałem swoje własne mieszkanie - powiedział tonem przechwałki - ale kiedy  
odszedłem z jednej pracy, a nie zacząłem drugiej, wprowadziłem się z  
powrotem do rodziców. Teraz mam stały etat, ale starzy potrzebują trochę  
pomocy przy trawniku i różnych naprawach, więc zrobiłem im tę przysługę i  
zostałem.

Hope weszła do chłodnego, mrocznego salonu.

Było tu czysto, ale unosił się odór stęchlizny, jakby różne domowe  
zapachy przez lata wtapiały się w ściany i nie sposób było się ich pozbyć. Jak na  
jej gust, było tu zbyt wiele bezużytecznych przedmiotów, przeróżnych ozdóbek,  
popielniczek, zakurzonych bukietów z zasuszonych kwiatów.

- Prowadzicie śledztwo w sprawie zamordowanej panny Cordell? -  
zapytał Dennis, wchodząc za nią.

- Tak.

Poszedł do kuchni, a Hope za nim. Kuchenne okna nie były zasłonięte i  
wpuszczały do środka dużo światła, dzięki czemu pomieszczenie wydawało się  
weselsze niż posępny salonik.

- Szeryf powiedział, że mordercą był jakiś przejezdny psychol.

- Naprawdę? Skąd to wie?

Dennis był zajęty wyjmowaniem szklanek z kredensu, napełnianiem ich  
kostkami z lodem, wyjmowaniem dzbanka z herbatą z lodówki.

- Nikt tutejszy nie zrobiłby tak okropnej rzeczy - powiedział po chwili,  
gdy skończył nalewać herbatę do szklanek. - Wszyscy kochali pannę Cordell.

- Czy widział pan tej nocy coś odbiegającego od normy?

Dennis wręczył jej szklankę, po czym oparł się o blat kuchenny.

- Nie wydaje mi się. Szeryf o to pytał, ale nie pamiętałem niczego, co  
mogłoby pomóc. Nadal nic takiego nie przychodzi mi do głowy.

- Jakiś nieznany samochód na drodze, obcy człowiek w okolicy?

Dennis tylko potrząsnął głową, a Hope odstawiła nietkniętą herbatę na kuchenny stół. Ta rozmowa donikąd nie prowadzi, a jednak jeżą jej się włosy na karku.

- Dziękuję, panie Floyd. Jeśli przypomni pan sobie coś jeszcze...

- Właściwie - przerwał Dennis gwałtownie i odstawił na stół własną szklankę - jak się tak dobrze zastanowić, to może przejeżdżał wtedy samochód. Tak koło jedenastej wieczorem. Jechał bardzo wolno.

- Jaki samochód?

- Szpanerski, jeśli dobrze pamiętam. Jeden z tych sportowych modeli. Zielony.

Hope uśmiechnęła się. Dennis najwyraźniej kłamie. Czy po to, aby ją zatrzymać chwilę dłużej? Rzucił jej pożądlive spojrzenia, ale czy to powód do kłamstwa? Jest spragniony uwagi? A może chce sprawdzić, ile już wie?

Wymyślił ten samochód w tej chwili. W dodatku kiepsko kłamał. Jakim cudem rozróżnił kolor samochodu w nocy, o jedenastej, skoro na tej uliczce bez lamp musiało być ciemno jak oko wykol?

- Gdzie pan stał, gdy zobaczył pan to auto?

Dennis zastanowił się i w oczach Hope był to dowód, że zmyślił całą tę historyjkę.

- Wszedłem na dwór na papierosa - wyjaśnił.

Czy myślał, że nie zauważyła tych wszystkich popielniczek w salonie? Nie musiał wychodzić na dwór, by zapalić. Wiedziała o tym, ale udała, że przyjmuje jego słowa za dobrą monetę.

- Więc stał pan na trawniku przed domem.

- Tak - potwierdził. - Palilem papierosa.

- Gdyby zielony sportowy samochód skręcił na podjazd przy domu panny Cordell, zauważyłby to pan.

- Może i skręcił. Nie pamiętam.



- Zamordowano kobietę, a pan już następnego ranka nie pamiętał o samochodzie na jej podjeździe?

- To było okropne - wyjaśnił Dennis. - Traumatyczne przeżycie.

Dowiedzieć się, że jedna z moich ulubionych nauczycielek ze szkoły średniej, w dodatku nasza sąsiadka, została zgwałcona i pocięta nożem przez jakiegoś obcego...

Hope niezauważalnie opuściła dłoń na kaburę. Szeryf Webster nikomu, nawet Gideonowi, nie powiedział o gwałcie. Sprawa wyszła na jaw, gdy tu przyjechali. Nie umieścił tego szczegółu w oficjalnym raporcie, nie zdradził prasie. Zważywszy na to, z jakim oddaniem bronił czci zmarłej nauczycielki, wykluczone było, by plotkował na ten temat.

Dennis w mgnieniu oka zorientował się, że popełnił błąd. Cisnął szklanką w głowę Hope. Uchyliła się i wyciągnęła broń. Wokół posypały się odłamki szkła i kostki lodu.

Zamiast rzucić się do ucieczki, Dennis skoczył na nią i chwycił jej rękę w momencie wystrzału. Pośliznął się na rozlanej herbacie i oboje runęli na podłogę.

Hope upadła ciężko, a Dennis wylądował na niej. Starła się wymierzyć w niego broń, ale złapał ją za przegub i odepchnął. W walce o pistolet zaczął wygrywać. Jak na takiego chudzielca był bardzo silny, w dodatku desperacja dodawała mu sił. Tylko zdesperowany i niebezpieczny mężczyzna mógł zrobić te wszystkie rzeczy Marcii Cordell.

Przypomniała sobie o talizmanie, który miała pod bluzką, ale chyba niewiele mógł jej pomóc w obecnej sytuacji.

- Nasłata was na mnie? - wykrztusił, usiłując jej zabrać broń.

Czyżby myślał, że przysłał ją duch panny Cordell?

Przydusił ją kolanem i wyrwał z ręki pistolet. Nagle w jej umyśle sformowało się jedno słowo, niespodziewane i potężne.

Emma.

## ***ROZDZIAŁ TRZYNASTY***

Gideon biegł najszybciej, jak mógł. Był już w połowie drogi do białego domu, gdy usłyszał odgłos strzału. Serce skoczyło mu do gardła.

Kontaktowanie się z duszami obcych ludzi, których za życia nigdy nie widział, nie rozmawiał z nimi, nie dotykał, było wystarczająco ciężkie. Obcowanie z ofiarami morderstw wymagało od niego jeszcze więcej wysiłku. Jednak nigdy do tej pory nie miał do czynienia ze zmaltratowanymi i zdezorientowanymi duchami przyjaciół albo osób, które kochał. Ostatniej nocy i dzisiaj rano Hope stała mu się tak bliska, że wręcz nieodzowna do życia. Wiedziała, kim był, a mimo to się go nie wystraszyła. Całkiem możliwe, że nosi pod sercem jego dziecko. A raczej na pewno. Talizmany od Dantego są niebywale skuteczne, więc Emma nie jest tworem jego wyobraźni.

Nie chciał, aby Hope nawiedzała go jako duch. Nie miał zamiaru jej tracić, ledwo ją znalazł.

Czy Emma także będzie mu się pojawiała?

Jednym skokiem pokonał ganek i wpadł do środka z pistoletem w rękę. Z głębi domu dochodziły odgłosy szamotaniny. Mężczyzna przygniatał Hope do podłogi w kuchni. Trzymał broń i w nią celował, a ona usiłowała się oswobodzić.

Gideon nie strzelał z obawy, że mógłby trafić Hope. Miał zamiar złapać Floyda, ściągnąć go z Hope i odebrać mu pistolet, gdy jego partnerka jednym chwytem oswobodziła się i rozbroiła napastnika, wymierzając mu cios łokciem w twarz. Trwało to najwyżej parę sekund. Z głośnym jękiem Dennis Floyd wylądował na plecach, zalany krwią z rozbitego nosa i niezdolny do dalszego oporu. Wściekła i zaczerwieniona z wysiłku Hope przygwoździła go do podłogi kolanem.

Podniosła głowę i spojrzała na Gideona. Oddychała ciężko, była rozczochrana, zła, ale też trochę wystraszona. Przed domem zahamował samochód szeryfa. Człapiące kroki zwiastowały przybycie stróża prawa.

Gideon nie mógł oderwać wzroku od twarzy swojej partnerki. Niewiele brakowało, by stracił ją i Emmę. Niewiele brakowało, by musiał je pochować.

Zamierzał właśnie poprosić Hope, by została jego żoną, i zapowiedzieć, że już nigdy nie spuści jej z oka, kiedy szeryf wpadł do kuchni.

Hope wstała, a Gideon jednym szarpnięciem poderwał chuderlawego mężczyznę z podłogi i przyparł go do ściany.

- Au! Uważaj na mój nos. Złamała mi go - jęknął tamten.

Gideon przez zęby wyrecytował podejrzanemu jego prawa i poprosił szeryfa o to samo, gdyż znajdowali się na terenie jego jurysdykcji. Dennis nie został jeszcze o nic oskarżony, ale Gideon nie zamierzał dopuścić do tego, by ten mały potwór z powodu jakichś uchybień w procedurze pozostał na wolności.

- Wiem, co zrobiłeś.

- Nic nie zrobiłem! - wrzasnął Dennis.

- Nie dbam o ciebie, śmierdzielu. Szeryf zajmie się tobą, gdy mu znikniemy z oczu. Chcę dopaść Tabby.

Mężczyzna z wysiłkiem przełknął ślinę. Po chwili odpowiedział:

- Nie znam nikogo takiego - skłamał nieudolnie.

- W porządku. Rób, co chcesz. Kiedy się dowie, że tu byłem, złoży ci wizytę. Widziałeś, do czego jest zdolna, więc możesz sobie wyobrazić, co zrobi z tobą, gdy jej wpadniesz w ręce. - Zbliżył się tak, by szepnąć mu do ucha: - Naprawdę lubi swój nóż. Widziałem wielu morderców, którzy przedkładali nóż nad pistolet, ale chyba nigdy nie spotkałem takiego, który by czerpał z tortur tyle sadystycznej przyjemności. Ciekaw jestem, co wymyśli dla ciebie. Jak myślisz, co ci Odetnie na pamiątkę?

- Spotkałem ją tamtego dnia. - Głos Dennisa stał się piskliwy. - Byłem na stacji benzynowej, tankowałem i kupiłem coś do picia w automacie.

Nagle do mnie zagadała. Powiedziała, że wie, co mi chodzi po głowie. Nie myślałem o niczym. To wszystko były jej pomysły.

- Kiepskie pomysły - skomentował Gideon, odsuwając się nieco.

- Zawsze uważałem, że panna Cordell zadzierała nosa, uważała się za lepszą niż wszyscy...

- Chciałeś ją przywołać do porządku? Chciałeś pokazać, kto tu rządzi? - Gideon znowu przyparł mężczyznę do ściany.

Tamten próbował skinać głowę, ale z ramieniem policjanta na gardle trudno mu było zrobić jakikolwiek ruch. Gideon miał ochotę zabić zbrodniarza własnymi rękami. Bez wysiłku mógłby mu skrócić kark albo usmażyć go jak spaloną frytkę. Wystarczyło popofolgować emocjom, przemienić gniew w potężne wyładowanie elektryczne.

Zawsze ukrywał swoje zdolności przed oczami postronnych, pohamowywał się, gdy wokół byli ludzie. Ta ostrożność powstrzymała go przed zatrzymaniem Tabby, gdy mógł to zrobić, podobnie jak powstrzymała go wcześniej przed rozprawieniem się z mordercami różnej maści, którzy prędzej czy później wpadali w jego ręce. Tym razem z trudem walczył z gniewem, a obrazy tego, co mogło się zdarzyć, były jeszcze nazbyt żywe w jego pamięci. Na moment zapomniał o ostrożności. Ciało Dennisa przeszył prąd.

- Auu! Co to było?!

Gideon zrobił to znowu, a chudzielec zaczął się trząść. Łatwo byłoby spalić go na węgielek, zetrzeć z powierzchni ziemi. Za Marcię Cordell. Za zagrożenie życia Hope i Emmy. Jednak nie uległ pokusie. Nie chciał, by gniew przemienił go w potwora podobnego do tych, których ścigał. Dennis zostanie ukarany przez szeryfa i wymiar sprawiedliwości. A jeśli nawet im się wymknie, Raintree zawsze może go znaleźć.

- A teraz powiedz wszystko, co pamiętasz na temat Tabby - polecił.

Droga powrotna upłynęła im w milczeniu, poza kilkoma telefonami. Gideon podał Hope swoją komórkę, bo słaby zasięg i wyjątkowo silne pole

elektryczne, jakie generował, praktycznie uniemożliwiły mu rozmowę. Charlie dostał za zadanie sprawdzenie samochodu, którym wedle opisu Dennisa poruszała się Tabby. Nadal nie znali jej nazwiska, ale może zrobili kolejny krok w celu zidentyfikowania przestępczyni.

Do Hope dotarło wreszcie, że może być w ciąży. Gdy śmierć zajrzała jej w oczy, odpowiedzialność za nienarodzone dziecko była silniejsza niż strach. Uświadomiła sobie, że broniąc Emmy, nie cofnie się przed niczym. To był szok. Do tej pory uważała, że jest pozbawiona instynktu macierzyńskiego. Świetnie się czuła w roli ciotki, bo mogła bawić się ze swoimi siostrzeńcami i skończyć wizytę, gdy dzieci stawały się zbyt rozbrykane lub zbyt marudne. Ale zostać matką? Nigdy dotąd nie czuła się na to gotowa, ale może się myliła. Może.

Było już ciemno, gdy dojechali do domu Gideona.

Nie dostali od Charliego żadnego raportu, ale próby ustalenia nazwiska Tabby wymagały czasu. Gideon wprowadził auto do garażu. Zgasił silnik, ale przez chwilę siedział nieruchomo z rękami na kierownicy.

Również Hope pozostała na miejscu.

- Chcesz, żebym się spakowała i wyniosła? Powrót do mamy nie jest najlepszym pomysłem, ale...

W odpowiedzi przyciągnął ją do siebie, by ją pocałować. To z pewnością nie był pożegnalny całus od kogoś, kto pragnie się jej pozbyć. Chyba jeszcze nigdy nie całował jej w ten sposób - jakby chciał ją kompletnie zawłaszczyć i wchłonąć w siebie. Wreszcie się odsunął.

- Marcia Cordell opowiedziała mi ze szczegółami, co ten drań jej zrobił. Najpierw nie chciała mówić o swojej śmierci, ale kiedy już zaczęła, nie była w stanie przerwać. Nie szczędziła mi perwersyjnych, sadystycznych detali, a kiedy wyszedłem stamtąd, szeryf oznajmił: „Och, a detektyw Malory poszła jeszcze porozmawiać z Dennisem Floydem”.

Zaciągał nieco, naśladując całkiem udatnie wymowę szeryfa, a Hope nie mogła się powstrzymać, by się nie roześmiać. Nie śmiała się jednak długo.

- Nie byłem wystarczająco szybki.

- Nic mi nie jest. - Parę siniaków, dużo strachu, ale poza tym wyszła z opresji obronną ręką.

- Tym razem. Ale będą inne takie sytuacje. Będzie inny Dennis, inna walka, inny wystrzał, który zmrozi mi krew w żyłach. Amulety trochę pomogą, dadzą ci dodatkową szansę, a ja już zadbam o to, żebyś zawsze miała świeży na swojej ślicznej szyi. Ale nic cię nie ochroni przed kulą ani nie sprawi, że źli ludzie nagle wyparują. Potwory żyją wśród nas. Hope, naprawdę bym chciał, żebyś się zadowoliła pieczeniem ciasteczek, opalaniem na tarasie, rodzeniem dzieci...

- Dzieci? - Zamilkła. - Więcej niż jedno?

- Skoro się pobierzemy, możemy równie dobrze pomyśleć o większej rodzinie.

- A co się stało z tym światem, który jest przepełniony złem i nie powinno się na niego sprowadzać dzieci? - spytała, trochę tylko spłoszona wizją, którą przed nią nakreślił.

- Nie zmienimy tego, co już się stało, więc przynajmniej moglibyśmy zapewnić Emmie towarzystwo braci i siostr.

- Poczekaj no chwilę...

- Chyba cię jeszcze nie poprosiłem, żebyś została moją żoną?

- Nie, jeszcze nie - szepnęła.

- Wyjdź za mnie.

- To nie brzmi jak pytanie. Bardziej jak rozkaz.

Gideon wydał z siebie mimowolny jęk desperacji. Wiedziała, jakie to dla niego trudne, ale dla niej również nie była to łatwa decyzja. Mówił o małżeństwie, dzieciach i „nie opuszczę cię aż do śmierci”. A znała go od tygodnia.

- Dobrze - poddał się. - Zrobimy to po twojemu. Czy zechcesz zostać moją żoną?

- Dasz mi trochę czasu na zastanowienie? - poprosiła, oszołomiona, przejęta i nieco przestraszona. - To wszystko dzieje się trochę za szybko.

- Nie. Bywam niecierpliwy i lepiej do tego przywyknij. Chciałbym od razu usłyszeć twoją odpowiedź.

Jak łatwo byłoby ulec tym nowym uczuciom, które Gideon w niej obudził. Przywyknąć do pocałunków, pieszczot i zapowiedzi, że będzie ich więcej. Do wizji siebie z Gideonem i dziećmi - całą gromadką dzieci.

- Nigdy nie planowałam zakładania rodziny i całej tej zabawy w mamusię i tatusia.

- Więc pora zacząć.

Rzeczywiście pora na plan awaryjny, jeśli prawdą jest to, co Gideon powiedział o upodobnieniu się do innych członków rodu Raintree na skutek urodzenia dziecka spłodzonego przez jednego z nich - a nie miała powodu podejrzewać, że wprowadził ją w błąd.

Nadal był blisko. Bardzo blisko. Czują ciepło jego dłoni na karku, silny i kojący dotyk. Kilka godzin temu był przerażony wizją rodzinnej sielanki, którą teraz przedstawiał jako pewnik.

- Jeśli się zgodzę, pewnie dostaniesz ataku paniki.

- Jeśli się zgodzisz, będę się z tobą kochał tu i teraz.

- W samochodzie?

- Tak.

- W tych lotniczych fotelach?

Mruknął potwierdzająco.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała.

- Muszę to zobaczyć na własne oczy.

- Myślę, że coś sobie złamałem. - Gideon pieszczotliwie potarł nosem kark Hope.

Zaśmiała się. Uwielbiał jej śmiech.

- Seks w samochodzie to twój pomysł.

- Tu jest znacznie wygodniej. - Jego łóżko, jego kobieta i żadnych ubrań. Czulość i namiętność, odważne eksploracje i nieśmiałość. Dreszcze i westchnienia. Niepowtarzalny sposób, w jaki reagowała na jego dotyk. Sposób, w jaki okazywała, że go pragnie.

Był przekonany, że Hope jest w ciąży, więc nie zawracał sobie głowy prezerwatywą. Ani w samochodzie, ani teraz. Mogli przed sobą obnażyć ciała, serca i dusze. Połączyli się w sposób, jakiego sobie wcześniej nie wyobrażał. Hope chciała być jego partnerką, i była nią w każdym sensie tego słowa. Jeszcze niedawno nawet nie marzył o takiej bliskości z drugim człowiekiem.

Emma powiedziała mu, że zawsze do niego należała, w każdym wcieleniu. Może to samo dotyczy Hope. Jest jego zagubioną połówką. Stąd natychmiastowa fascynacja i wyraźne przyciąganie między nimi. Może dlatego czuł się tak, jakby znali się od zawsze.

- Kocham cię - powiedziała, jakby zaskoczona własnym wyznaniem, w którym czulość mieszała się z namiętnością.

Miał te słowa na końcu języka, ale się powstrzymał. Mógł ją kochać i chronić najlepiej jak umiał, dać jej dzieci i zadbać, by nigdy nie brakowało jej ptasiego mleka. Hope należy do niego, ale jeszcze nie potrafił na ten temat mówić. Nie był pewien, czy wie, co to jest miłość; wiedział tylko, że bycie z nią wydaje mu się tak naturalne i niezbędne jak oddychanie. To wystarcza. Przynajmniej na razie.

Szukał w głowie odpowiednich słów, gdy usłyszał coś jak nieziemskie dzwoneczki - cichutki dziewczęcy śmiech i niemal bezgłośnie westchnienie: „A nie mówiłam, tatusiu?”. Jeśli Hope je usłyszała, nie dała po sobie nic poznać.

Powinno go to rozgniewać albo przynajmniej zdziwić. Ale trwając jeszcze w erotycznym rozleniwieniu i uszczęśliwieniu, nie odnalazł w sobie podobnych uczuć. Przebaczył Emmie jej mały fortel.

- Nasza córka nas przechytrzyła - rzekł do Hope i odgarnął jej z oczu pasmo ciemnych włosów.



- W jaki sposób?

- Nie zaszłaś w ciążę wczoraj w nocy. Stało się to przed chwilą albo stanie już za chwilę. Przecież zapłodnienie nie jest dziełem sekundy.

Hope przeczesła palcami jego czuprynę i przyciągnęła go do siebie na długi i głęboki pocałunek. Najwyraźniej także była w nastroju do wybaczenia.

- Dobrze wiem, na czym to polega, Raintree.

- Nadal chcesz za mnie wyjść?

- Tak, chcę - odparła bez cienia namysłu. Nadal mnie kochasz? Nie zadał tego pytania.

Pewnie powinien jej odpowiedzieć tym samym, albo przynajmniej zapewnić: „Ja też”. Jednak tego nie zrobił. Nadejdzie jeszcze odpowiedni moment. Uniósł się na łokciu i spojrzał na nią.

- Nie chcę, żebyśmy cokolwiek zepsuli.

- Więc nie psujmy. - Poglaskała go po głowie. Nie było już nic do dodania. Leżeli spleceni jak jedno ciało, przepelnieni zadowoleniem.

Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio odczuwał podobną błogość.

- Myślałam o tym, o czym mówiłeś wcześniej - powiedziała szybko i trochę nieśmiało.

- Co takiego mówiłem?

- O potworach.

- Och. - To nie był temat, jaki chciałby w tej chwili poruszać.

- Jeśli na świecie żyją potwory...

- Sama wiesz o tym najlepiej - przerwał jej.

- Jeśli są - powtórzyła. - Moja mama zawsze mówiła o równowadze sił. Równowadze w naturze, między elementem męskim i żeńskim, nawet między dobrem a złem. Lekceważyłam to jak wiele innych rzeczy, ale okazuje się, że miała sporo racji. I tak sobie myślę, że dobro nie może się poddać, bo gdzie byśmy się wtedy wszyscy znaleźli?

- Co takiego jest dobrem?

- Ty - odrzekła bez wahania. - My razem. Emma. Miłość. Warto o to walczyć. I może czasem warto się zmierzyć z potworem w walce o dobro.

Walczył z potworami, bo takie było jego powołanie. Jego przeznaczenie. Nie chciał, by w tej walce rodzina stała u jego boku, ale najwyraźniej to była cena za to, by ją mieć.

Tabby siedziała w swoim mieszkanku i z uwagą studiowała paczkę na kuchennym blacie. Nie lubiła bomb. Nie tylko są nieprzewidywalne, ale też nie mogła być wystarczająco blisko, by napawać się strachem i bólem ofiar. W jednej chwili są żywi, w następnej już ich nie ma. Żadnego przypływu mocy, żadnych pamiątek.

Ale nie ma już czasu do stracenia.

Tym razem nie może zawieść. Nie udało jej się usunąć Echo, ale to Gideon jest głównym celem wyznaczonym przez Caela. To następca tronu, członek rodziny królewskiej. Jest wyjątkowo potężny i za wszelką cenę należy go usunąć. A Echo jeszcze wpadnie w jej ręce.

Bomba nie zabije Gideona, ale zmusi go do działania. A ona będzie na niego czekała.

Nadal było prawdopodobne, że Cael uzna, iż nie wywiązała się ze swojej misji, bo nie wykonała jej zgodnie z planem. Gdyby jej kuzyn był kimkolwiek innym, uciekłyby przed nim na koniec świata. Umiała na zawołanie zmienić wygląd, przyjmować różne tożsamości. Przygotowania do tego zadania sprawiły jej więcej przyjemności, niż mogła oczekiwać. To był wielki kraj, pełen samotnych ludzi, których zniknięcia nikt nie zauważa, i tchórzliwych zbrojców, którzy bali się działać na własną rękę, ale wystarczy niewielka zachęta, by wykazali się wyjątkowym sadyzmem.

Podżeganie okazało się wyjątkowo proste. Jeśli Cael jej nie zabije, po wygranej batalii zamierzała wrócić do podobnych gier. Może zresztą Cael wybaczy jej, jeśli wszystko pójdzie tak, jak zaplanowała.

Musi tylko przynieść mu na tacy głowę Gideona Raintree - mówiąc w przenośni, niestety - a wszystko będzie dobrze.

Hope obudziła się sama w wielkim łóżku i przez moment pomyślała, że był to tylko sen: Emma, Dennis, seks w samochodzie i to niemądre „Kocham cię”.

Ale szybko dotarło do niej, że były to najprawdziwsze wydarzenia. Rozsunięte zasłony oznaczają, że Gideon wyszedł na taras. W słonecznym świetle trudno oczekiwać elektrycznych fajerwerków. Szkoda.

Umyła zęby i włożyła jedną z jego starych podkoszulek. Sięgała jej prawie do kolan. Gideon zaparzył kawę i zdążył już wypić jedną czwartą dzbanka. Nalała sobie filiżankę i wyszła na taras, by do niego dołączyć. Na plaży byli już ludzie, spacerowali brzegiem, mocząc nogi w morskiej pianie.

Gideon stał przy balustradzie i wpatrywał się w ocean tak intensywnie, jakby chciał zaczerpnąć z niego siły. Może naprawdę potrafi regenerować się w ten sposób?

Tyłu jeszcze rzeczy nie wiedziała o mężczyźnie, w którym się zakochała. Ostatniej nocy kochali się i śmiali, ale dziś rano był śmiertelnie poważny.

Wiedziała, że pod kamienną fasadą kryje się serce. Surowe? Czasami. Nieprzebaczące? Czasami, jeśli przebaczenie jest dowodem słabości. Nieludzkie? Nigdy.

- Co się stało? - spytała, opierając się o balustradę obok niego.

- Chciałbym, żebyś rzuciła pracę, a nie sądzę, że się na to zgodzisz - wypalił bez ceregieli.

- I masz rację. W każdym razie nie od razu. Potrzebuję trochę czasu, żeby do tego wszystkiego przywyknąć. Wszystko się dzieje dosyć szybko.

- To niedopowiedzenie.

Oparła głowę o jego ramię i powiedziała, patrząc na ocean:

- Jestem policjantką, tak samo jak ty. Nie zamienię tego na rodzenie dzieci, szydełkowanie, pieczenie ciasteczek i czekanie na ciebie w domu. Policjanci też mają rodziny. Uda nam się to połączyć.

- Będziesz mnie rozpraszała.

- Nauczysz się z tym żyć.

- Dlaczego, skoro mam aż nadto pieniędzy, żeby ci zaoferować komfortowe życie?

- Gdyby naszym celem było tylko zarabianie pieniędzy, też byś rzucił tę pracę. Dobrze wiesz, że chodzi nam o coś więcej niż o pensję.

- Wiem, uważasz, że jesteś taka sama jak wszyscy w policji, ale to nieprawda. - Zaciśnął wargi. - Jesteś moja. Nie chcę cię stracić.

- Jestem twarda.

- Jesteś delikatna.

- Nieprawda.

- To, co sercu najdroższe, zawsze jest delikatne.

Na moment ją zatkało i nie wiedziała, co odpowiedzieć. „Najdroższe” nie było słowem, którego się po nim spodziewała, a jednak go użył, choć z oporem.

- Na samym początku poszedłem z tobą do łóżka, bo spodziewałem się, że poprosisz o transfer. - Skierował rozmowę na inny tor.

- Wiem - przyznała bez pretensji.

- Jeszcze bardziej podbiliśmy stawkę, mój Księżycowy Promieniu. Nie możesz już być moją partnerką, a nikomu nie ufam na tyle, żeby powierzyć mu twoje bezpieczeństwo.

- Nie kłóćmy się na ten temat, przynajmniej dzisiaj.

- Czy nie twierdziłaś, że jestem słodki, gdy się wściekam? - zapytał, a wyraz jego twarzy złagodniał.

- Bo jesteś - zaśmiała się. - Ale nie chcę się dzisiaj spierać.

- Czemu?

Prawda. Nic poza prawdą.

- Jestem zbyt szczęśliwa, żeby to psuć. Otoczył ją ramieniem.

- Urodzenie małej Raintree oznacza, że zostaniesz obdarzona pewnymi talentami i zdolnościami. To jest część naszego dziedzictwa. Będziesz zdrowsza, twoje rany będą się goiły w błyskawicznym tempie, będziesz dłużej żyła. Ty i dzieci zawsze będziecie mieć na sobie talizmany. A najchętniej zamknąłbym was w miejscu, w którym bylibyście absolutnie bezpieczni.

- Gdzie jest to miejsce, Gideonie?

Nie odpowiedział, bo musiałby przyznać, że takie miejsce nie istnieje.

- A poza tym muszę ci pomóc przygwoździć Franka Stilesa - dodała. -  
Potrzebujemy dowodów.

Chętnie zmienił temat na ściganie potworów.

- Nie istnieją. Stiles spalił dom po zabiciu Johnny'ego Raya Blacka.

- Więc musimy mieć przyznanie się do winy albo zeznania świadków.

- Do tej pory nie udało mi się ich zdobyć.

- Jeszcze mnie nie widziałeś w akcji. Jestem bardzo dobra w wyciąganiu zeznań.

- Nie wątpię - zaśmiał się.

Popatrzyła na ocean i poczuła, że jego piękno i potęga także dla niej stanowią źródło siły. Jakim cudem właśnie to miejsce z dnia na dzień stało się domem? Ale nie chodzi o dom ani ocean. To Gideon.

Gideon Raintree jest jej domem.

Ta myśl była jednocześnie kojąca i niepokojąca, podobnie jak perspektywa macierzyństwa i wszystko, co się z tym wiązało.

## ***ROZDZIAŁ CZTERNASTY***

### ***Sobota - południe***

Na razie nie doszli nigdzie na podstawie informacji o samochodzie, którym Tabby poruszała się cztery miesiące temu. Gideon zostawił ten trop Charliemu, a sam pojechał do motelu.

Pokój, w którym została zamordowana Lily Clark, został zabezpieczony przez techników policyjnych. Byli ostatnimi osobami na miejscu zbrodni. Duch Lily stał w kącie pokoju, wyraźny i pełen gniewu.

Hope zapewniała, że nie ma żadnych paranormalnych zdolności, a jednak cofnęła się i pocierała ramiona, jakby czuła chłód mimo upalnego dnia.

Wyczuwała gniew i smutek; wyczuwała przemoc.

- Obiecałeś, że ją dopadniesz. - Lily była tak rozzłoszczona, że jej zjawia aż migotała.

- Pracuję nad tym - odrzekł Gideon spokojnie.

Hope stała parę kroków z tyłu. Dobrze było dla odmiany nie musieć niczego ukrywać. Rozmawiać z duchem bez szukania wykrętów, by odesłać partnera, lub udawania, że się mówi do siebie.

- Tabby spędziła w tym pokoju dużo czasu - podsunęła mu Hope. - Na pewno zostawiła jakieś ślady.

- Jest ostrożna.

- Znaleźliśmy jej włos na miejscu zabójstwa Sherry Bishop. Zostawiła świadka na miejscu zbrodni popełnionej na Marcii Cordell. Tutaj też coś musi być. - Hope weszła głębiej. - Technicy znaleźli tylko kilka włókien, które mogły tu być nie wiem jak długo. Może od tygodni. Ten motel nie należy do najczystszych. Tabby musiała dotknąć czegoś, co zapomniała potem wytrzeć.

- Po mojej śmierci wzięła prysznic - wtrąciła Lily. - Musiała, bo miała na sobie moją krew. Na twarzy, we włosach, na ubraniu. Myślę, że jej się to podobało.

- Co zrobiła z zakrwawioną odzieżą? - spytał Gideon.

- Nie wiem.

Gideon skinął na Hope.

- Moja komórka jest dziś bezużyteczna. - Przesilenie letnie miało nastąpić już jutro. Niekontrolowane wyładowania elektryczne zdarzały mu się coraz częściej. - Zadzwoń do Charliego. Niech technicy przeszukają odpływ prysznic. Jeszcze dzisiaj.

Gdy Hope rozmawiała przez telefon, podszedł bliżej do ducha Lily, aż nazbyt widocznego.

- Możesz nam pomóc znaleźć jej ubranie. Jest na nim twoja krew, więc jeśli się skoncentrujesz, to je zobaczysz. Nie mogę gwarantować, że naprowadzi nas to na jej ślad, ale zawsze jest taka możliwość.

- Nie potrafię - szepnęła zjawa.

- Przypomnij sobie tę noc. Pomyśl, co zdarzyło się po twojej śmierci. Patrzyłaś, jak Tabby wychodzi tymi drzwiami.

- Tak. Krzyczałam, ale mnie nie słyszała. Staralam się ją zatrzymać, ale byłam bezsilna.

- Czy miała ze sobą pakunek? Torbę, do której upchnęła zakrwawione szmatki?

- Włożyła moją ulubioną sukienkę. - Lily odebrała to jako kolejną zniewagę. - Bezczelność.

- A co z ubraniem, które miała na sobie wcześniej?

Lily przechyliła głowę i z wysiłkiem wróciła pamięcią do tamtego wieczoru, choć nie pragnęła niczego innego, niż o nim zapomnieć. Może będzie w stanie wyprzeć go z pamięci, gdy zakończy się dochodzenie. Nikt nie powinien zabierać ze sobą na wieczność takich koszmarnych obrazów.

- Nie - stwierdziła z namysłem. - Miała torebkę, nic więcej. W torebce był nóż, świeżo umyty i owinięty w jedną z moich nocnych koszul. Na nic więcej nie było miejsca. Kochała ten nóż. Dotykała go, jakby to było żywe stworzenie.

- Ubrania są jeszcze na miejscu zbrodni - poinformował Gideon swoją partnerkę.

- Pokój został przeszukany - odparła.

- Lily, czy Tabby po wzięciu prysznicza wyniosła te ciuchy z łazienki? - upewniał się detektyw.

Duch pokręcił głową przecząco, a wtedy wzrok Gideona skierował się na płytki na suficie.

Parę dni potrwa przeprowadzenie analiz w laboratorium i wydobywanie maksimum informacji ze znalezionej pod panelami sufitowymi odzieży i ręcznika, ale Gideon był pewien, że to kolejny krok we właściwym kierunku. Nie znajdą tam wyhaftowanych inicjałów ich właścicielki ani wizytówki z jej adresem, ale przynajmniej będą mieli solidne dowody z DNA morderczynie. Teraz wystarczy tylko złapać Tabby, aby móc ją wsadzić za kratki.

Dennis Floyd siedział w więzieniu okręgowym Hale i trząsł się ze strachu, że Tabby go odnajdzie. Nie potrafił podać żadnego przydatnego szczegółu poza informacją, że kobieta przyjechała niebieskim taurusem, ale ten nigdzie ich nie doprowadził. W Karolinie Północnej nie było samochodu tej marki zarejestrowanego na Tabby albo Tabithę, a wszystkie Catheriny okazały się pomyłką. Sprawdzali teraz wszystkie kobiety, ale lista była długa.

Hope była przekonana, że Tabby uderzy wcześniej.

Gideon zajechał pod Srebrny Kielich, a Hope nachyliła się, by mu dać całusa.

- Bądź o siódmej, jeśli tylko ci się uda. Sunny jest lepszą kucharką ode mnie. Nie można rezygnować z dobrej kolacji.

- Podzielimy się z nimi dobrą nowiną?



- Jeszcze nie. - Hope nie była pewna, w jaki sposób powiedzieć matce i siostrze, że wychodzi za mąż za człowieka, którego poznała w poniedziałek. Nie istniało logiczne uzasadnienie dla wiadomości o Emmie. Choć z drugiej strony, logika nie była mocną stroną jej matki.

Gideonowi wyraźnie ulżyło. Może on też nie był gotów na wyjaśnienia. Jechał teraz pomóc Charliemu w przeszukiwaniu rejestru samochodów. Jak pies gończy, nie był w stanie przerwać pościgu. Hope rozumiała, że musi się nauczyć z tym żyć.

- Jesteś pewien, że nie chcesz, żebym ci towarzyszyła?

- Jest sobota, a ty potrzebujesz wolnej chwili, żeby pobyć z siostrą, zanim wróci do domu.

- No dobrze. Przecież nie jesteśmy bliźniakami syjamskimi. - Więc dlaczego nienawistna jej była myśl, że Gideon za chwilę odjedzie?

Tabby od paru dni nie dawała znaku życia. Było możliwe, a nawet wysoce prawdopodobne, że wyniosła się z miasta po ataku na Gideona. Gdyby miała choć trochę oleju w głowie, zrobiłaby to jeszcze tamtej nocy. Widzieli ją wtedy oboje. Jednak Hope nie była pewna, czy Tabby rozumuje jak normalny człowiek.

Nawet jeśli Tabby jest w pobliżu, Gideon potrafi o siebie zadbać. Ona też. Oboje mają ochronne amulety, broń i instynkt wyczulony bardziej niż przeciętny człowiek. Mimowolnie spojrzała na budynek po drugiej stronie.

- Nadal tam są - przyznał Gideon.

- Jak długo zostaną?

- Do momentu schwytania Tabby.

Pocałował ją jeszcze raz, zanim wyskoczyła z samochodu.

W Srebrnym Kielichu był tłum klientów, jak zwykle w sobotnie popołudnie. Turyści i stali bywalcy buszowali w przecenionych towarach; w pomieszczeniu na zapleczu odbywał się jakiś wykład. Medytacja, leczenie ultradźwiękami... rzeczy, które Hope zawsze uważała za brednie.

Zupełnie innymi oczami patrzyła dzisiaj na klientów matki. Może wiedzą coś, o czym ona nie ma pojęcia. Może słyszeli i dotykali rzeczy, które dla niej pozostawały niewidzialne, podobnie jak robił to Gideon.

Świat wywrócony do góry nogami nie jest aż tak niepokojący, jak się tego obawiała. A nawet odkryła, że dodaje jej otuchy bardziej, niż wydawało jej się to możliwe.

Tabby zepchnęła z ramienia wielką torbę i wsunęła ją w kąt za stojakiem z miedzianymi dzwoneczkami, częściowo zasłonięty przez półkę z książkami. W tej części sklepu umieszczono dużo towaru, a chwilowo nie było ludzi.

Rzadko jej się zdarzało zostać w takim miejscu dłużej, niż to było absolutnie konieczne. Ludzie naokoło byli pogodni i spokojni, pełni pozytywnej energii. Takie otoczenie nie przysparzało jej mocy. Nie czuła się w nim dobrze, działało jej na nerwy. Jednak nie mogła wpaść do sklepu, podrzucić bomby i natychmiast wyjść, więc udawała, że jest zainteresowana wystawionymi na sprzedaż bibelotami.

Spojrzała na nowo przybyłą osobę, gdy zabręczały dzwoneczki nad drzwiami wejściowymi, i z zadowoleniem ujrzała kobietę Gideona. Cóż za nieoczekiwana premia.

Choć była to ta sama policjantka, która ścigała ją po nabrzeżu rzeki, Tabby nie obawiała się rozpoznania. Dzisiaj miała na sobie krótką czarną perukę i workowatą suknię. Przygarbiła się, by ukryć wzrost. Była pewna, że niczym nie zwraca na siebie uwagi. Zresztą policjantka nie żywi żadnych podejrzeń. W tej chwili jest tak nieprzyzwoicie szczęśliwa, że nie zwraca uwagi na otoczenie.

Tabby odbierała emanujące z niej uszczęśliwienie w ten sam sposób, w jaki odczuwała smutek i strach innych ludzi, ale nie czerpała z tego przyjemności ani mocy. Jedyłą przyjemność przynosiła jej myśl, że to szczęście jest krótkotrwałe.

Wyszła ze sklepu, zostawiając tam swoją przepastną torbę.

Trudno o owocną pracę, gdy należy omijać komputer szerokim łukiem, ale Gideon robił, co mógł. Przeglądał wydruki z rejestracjami samochodów, które Charlie dla niego przygotował, robił selekcję kserokopii praw jazdy, aż twarze zaczęły mu się zlewać w jedną plamę. Może Tabby nie ma na imię Tabby. Może auto zostało skradzione w innym stanie, miało podmienione tablice rejestracyjne, a do tej chwili zostało zwrócone właścicielowi albo oddane na złom.

Utknęli w ślepej uliczce.

Odesłał Charliego do domu z podziękowaniem i obietnicą zaproszenia w rewanżu do swojego domu na plaży. Przysiadł jeszcze nad aktami z niewyjaśnionymi zabójstwami, które mogły, ale nie musiały być robotą Tabby. Niektóre sprawy wydawały się oczywiste. Mordercy nie byli najbystrzejsi i zostawiali za sobą mnóstwo śladów. Tabby, jeśli tak ma na imię, tego nie robiła. Wycierała odciski palców, usuwała wszystko, co mogłoby naprowadzić na jej ślad.

Dennis Floyd, poplamiona krwią odzież z hotelu i parę jasnych włosów to wszystko, co udało im się znaleźć. A cała ewidencja będzie psu na budę, jeśli nie zdołają odnaleźć morderczyni. Dopiero gdy ją złapią, dowody pozwolą zapakować ją za kratki.

Zadzwoiła komórka. Tym razem musiał odebrać, bo poza nim nie było nikogo. Na wyświetlaczu pojawił się numer z Charlotte, co oznacza, że dzwoniła Echo. Pewnie chciały się dowiedzieć, czy może bezpiecznie wrócić do domu. I urządzi awanturę, gdy usłyszy, że nie.

Przez trzaski i szumy z trudem docierały do niego pojedyncze słowa. Z jakiegoś powodu była bardzo zdenerwowana. Wyraźnie usłyszał jedno słowo. Sen. Poprosił, by zadzwoniła na normalną linię. Najwyraźniej przeraził ją jeden z proroczych snów, które były jej specjalnym darem. Niejednokrotnie musiał ją uspokajać, gdy miewała niepokojące wizje przyszłości.

Serdecznie jej współczuł. On mógł przynajmniej znaleźć praktyczne zastosowanie dla swoich specjalnych talentów. Miał wrażenie, że jednak zmieni świat, choć często jego wysiłki wydawały się kroplą w morzu potrzeb. Echo nie mogła tego zrobić bez publicznego zdemaskowania i rozgłosu. Tymczasem utrzymanie ścisłej tajemnicy należy do podstawowych obowiązków członków rodu. Poza tym, jak można powstrzymać katastrofę, jeśli jej zapowiedź pojawiała się bezpośrednio przed wydarzeniem? Czasem wizja pojawiała się na minuty przed nim. W większości wypadków była to godzina. Może gdyby Echo popracowała nad wyostreniem zmysłów, byłaby w stanie wydłużyć ten okres, ale kuzynka opierała się przed tym ze wszystkich sił.

Gdyby talenty Emmy miały być okupione takim wysiłkiem, czy zmuszałby ją do ćwiczeń, aby każdy jej sen zamieniał się w horror?

Telefon na biurku zadzwonił.

- Raintree.

- Drzemałam tylko - powiedziała Echo bez wstępu. - Zasnęłam na kanapie i miałam ten sen. Nie rozumiem go, Gideonie. Nie przypomina pozostałych.

- Opowiedz mi o nim - odparł kojącym głosem.

- Była eksplozja. Nie widziałam, gdzie, ale byli tam ludzie. - Głos jej drżał. - Bardzo dużo ludzi. Nie spodziewali się niczego złego. W jednej chwili byli szczęśliwi, śmiali się, a chwilę później... Było tyle krwi, pożar, ludzie krzyczeli ze strachu...

Najpewniej jest już za późno, ale musi spróbować.

- Uspokój się i pomyśl. Musiała być jakaś wskazówka co do miejsca. Weź głęboki oddech.

- To nie ma sensu, Gideonie. Ludzie poranieni i poparzeni. Wybuchło słońce, wielka jasna tęcza rozplynęła się w nicość, a księżyc rozpadł się na milion kawałeczków...

- Wiem, co to znaczy! - Gideon trzasnął słuchawką i zadzwonił do Srebrnego Kielicha.

Zazwyczaj zrobiłby to w biegu, ale dzisiaj nie mógł polegać na komórce. Nie mógł ryzykować, że połączenie zostanie przerwane, a Hope nie zrozumie, co właściwie próbuje jej powiedzieć.

Odebrała Rainbow. Jeszcze nie jest za późno.

- Tu Gideon. Muszę rozmawiać z Hope.

- Gdzieś ją przed chwilą widziałam - powiedziała Rainbow niefrasobliwie. - Chyba ogląda nowy towar...

- To pilna sprawa - przerwał jej. - Natychmiast wyprowadź wszystkich ze sklepu.

- Ale...

- W tej chwili. - Nie miał wyboru. - W twoim sklepie podłożono bombę.

Rzucił słuchawkę i wybiegł z biura. Pozostałe rozmowy przeprowadzi przez komórkę, niezależnie od zakłóceń.

Ze swojego miejsca w kawiarence po drugiej stronie ulicy Tabby obserwowała Srebrny Kielich. Zakłęła pod nosem, gdy ludzie zaczęli tłumnie opuszczać sklep. Nawet z oddalenia wyczuwała, że byli przestraszeni i zdezorientowani. Najwyraźniej ktoś znalazł bombę.

To jeszcze nie znaczy, że nie wybuchnie ani że Gideon nie pojawi się tam, gdzie go oczekiwała, ale miło byłoby zobaczyć wcześniej jakąś eksplozję.

Panika była uczuciem, które sprawiało jej szczególną przyjemność, ale panika wywołana odkryciem bomby nie umywała się nawet do tej wywołanej przez wybuch, zniszczenie i śmierć.

Uważnie przyglądała się tłumowi. Usiłowała odnaleźć w nim policjantkę. Strumień ludzi zamienił się w pojedyncze osoby, a kobiety nadal nie było na chodniku. W oddali Tabby usłyszała syreny alarmowe. Nie ma wątpliwości, Gideon Raintree w jakiś sposób maczał w tym palce. Może nawet będzie tu przed samochodami straży pożarnej, policji i pogotowia.

Położyła na stoliku należność za kawę. Pod osłoną stolika wyjęła nóż ze skórzanej pochwy na udzie i wsunęła do kieszeni. Warto go mieć pod ręką,

nawet jeśli nie będzie miała okazji go użyć. Na klatce schodowej sąsiedniego budynku ukryła dużo skuteczniejszą broń.

Była gotowa na przywitanie Gideona. Na wykonanie zadania tu i teraz.

Na zewnątrz spostrzegła właścicielkę Srebrnego Kielicha wypatrującą kogoś w tłumie. Pewnie szuka córki.

Tabby uśmiechnęła się. Może jeszcze dostanie swoją premię.

Hope zamierzała się przebrać, ale łóżko wyglądało tak zachęcająco, że ucieła sobie drzemkę. W tym tygodniu niewiele miała czasu na sen. Wtuliła się w znajome pościelenie, rozgrzana i bezpieczna.

Śnił jej się Gideon na plaży. Towarzyszyła mu ciemnowłosa roześmiana dziewczynka. To był piękny sen, nietknięty stresem płynącym z pracy i niepewnością, co przyniesie jutro. Nie było w nim potworów w ludzkim ciele.

Najdroższa. Gideon tak o niej myśli. Może tego nie mówić, ale to jest miłość.

Trzasnęły drzwi i nagle dobiegł do niej głos Gideona powtarzający jej imię. Był zaskakująco ostry i potrzebowała chwili, by oprzytomnieć i uświadomić sobie, że to nie sen.

Otworzyła oczy, gdy wpadł do pokoju.

- Już siódma? - spytała i przeciągnęła się.

- Podejrzewam, że na dole jest bomba - powiedział krótko. - Idziemy. -

Nie czekał na jej reakcję i niemal siłą wyciągnął ją z łóżka.

- Moje buty - zaprotestowała.

- Nie ma czasu. - Byli już na schodach prowadzących do sklepu.

- Jak to, podejrzewasz? - To nie ma sensu. Albo jest bomba, albo jej nie ma.

- Echo miała proroczy sen.

- A ja się zastanawiałam, jak na to wpadłeś.

Oboje obrócili się gwałtownie na dźwięk głosu kobiety stojącej przy drzwiach kuchennych. W jednej ręce trzymała półautomatyczną broń, drugą

zerwała z głowy czarną perukę. Rozsypały się długie jasne włosy. Tabby była dzisiaj dobrze uzbrojona.

Gideon jedną rękę oparł na klamce drzwi do sklepu, drugą trzymał ramię Hope. Osłonił ją własnym ciałem.

- Gideon Raintree - powiedziała Tabby z krzywym uśmiechem. - Niezupełnie tak sobie to zaplanowałam, ale nie mogę powiedzieć, że jestem zawiedziona. Trochę mi przeszkodziło przybycie brygady antyterrorystycznej, bo miałam nadzieję na małe *tete-a-tete* z twoją dziewczyną. Ale spotkanie w obecnym składzie też mnie zadowala.

Gideon odepchnął Hope na bok i wyciągnął pistolet. Broń Hope została na stoliku w sypialni. Nie przyszło jej do głowy, że będzie jej potrzebowała.

Tabby nie wyglądała na zbitą z tropu. Z uśmiechem obserwowała Gideona.

- Jeśli mnie zastrzelisz, nigdy się nie dowiesz, gdzie jest druga bomba i kiedy wybuchnie.

## ***ROZDZIAŁ PIĘTNASTY***

- Czego chcesz? - Gideon stał pomiędzy obiema kobietami i starał się manewrować tak, aby Hope znalazła się jak najbliżej drzwi wyjściowych.

- Po pierwsze, niech twoja dziewczyna stanie dalej od wyjścia.

- To koleżanka z pracy, a nie dziewczyna. - Gideon zdawał sobie sprawę, że osobisty związek z nim tylko potęguje zagrożenie.

- Kłamca - odparła Tabby. - Związek między wami jest tak silny, że czuć go na kilometr.

Najwyraźniej blondynka widziała ich wcześniej razem. Może wie, gdzie Gideon mieszka, co byłoby niepokojące.

- Nie jest ci do niczego potrzebna - stwierdził i zrobił krok w kierunku mordercy.

- Nie wiesz, czego mi potrzeba, Raintree - odparła ostro. - Jeśli twoja dziewczyna zrobi najmniejszy ruch, zanim jej na to pozwolę, nie tylko ją zastrzelę, ale z pewnością nie powiem ci, gdzie podłożyłam drugą bombę.

Kolejny krok zbliżył go do Tabby.

- Pytam raz jeszcze. Czego chcesz?

- Chcę was dzisiaj zabić i chcę znaleźć Echo. Gdzie do diabła się schowała?

- Chcesz odszukać Echo? Tylko tyle? Podaj mi namiary na drugą bombę, to ubijemy interes.

Tabby trzymała pistolet w taki sposób, jakby nawykła do trzymania broni.

- Tak łatwo sprzedasz swoją kuzynkę?

Trzeba ją przekonać, że jest gotów postawić na szali życie Echo w zamian za ocalenie wielu osób.

- Tak - odparł spokojnie. - Możesz ją mieć w zamian za Hope i lokalizację bomby.



- Zimny sukinsyn z ciebie - zauważyła kobieta. - Rozsądny i szlachetny, jak można było się spodziewać, ale kompletnie pozbawiony emocji. Zatrzymaj się i bardzo powoli połóż broń na podłodze.

Za plecami Tabby pojawiła się zjawą Lily Clark i bezskutecznie usiłowała ją odepchnąć.

- Nie ma drugiej bomby - ostrzegała. - Nie słuchaj jej, Gideonie! Ona chce cię oszukać. Ze mną zrobiła to samo, a wcześniej z innymi. Nie pozwól jej na to.

Czy Lily naprawdę coś wie, czy tylko zgaduje? Nie miał pewności, że druga bomba jest tylko blefem.

- To wszystko i tak bez znaczenia, jeśli się stąd nie ewakuujemy. Ile mamy czasu do wybuchu bomby w sklepie? - Pochylił się i ostrożnie położył pistolet na ziemi. Chciał się zorientować, ile czasu mu zostało na ocalenie Hope, zakładając, że policyjnym pirotechnikom nie uda się rozbroić podłożonego pocisku. Słyszał ekipę pracującą piętro niżej: z dołu docierał szmer głosów i jednostajny szum jakiegoś urządzenia.

- Mamy parę minut - przyznała Tabby i odgarnęła włosy gestem stanowiącym karykaturę figlarnego wdzięku. - To mi wystarczy. Chciałabym poświęcić wam więcej czasu, ale teraz się bardzo spieszę. Wieczorem idę na balangę i chcę wyglądać wystrzałowo.

Gideon wiedział, że klatka schodowa od podwórka była rzadko używana. Rainbow otwierała drzwi tylko wtedy, gdy wynosiła śmieci. Najwyraźniej tą drogą Tabby dostała się do budynku. Bez problemu mogła strzelić im w plecy, gdy wyszła z kuchni. Nie zauważyli jej obecności, potem było już za późno. Dlaczego tego nie zrobiła? Po co uparczywie przedłużyła konfrontację?

I gdzie do diabła są ochroniarze, którym zlecił obserwację sklepu? Ktoś powinien był wiedzieć, że Tabby jest tutaj. Powinni obserwować wszystkie wejścia do budynku, otwarte czy zamknięte.

Jeden fakt jest oczywisty: gdyby Tabby chciała go po prostu zabić, już by nie żył.

- Przejdźmy do interesów. - Obezwładni ją jednym ruchem, musi tylko spowodować, by przestała mierzyć w Hope ze swojego półautomatu.

Psychopatka sięgnęła do przepastnej kieszeni sukni i wyciągnęła nóż, którym zamordowała Sherry Bishop, Lily Clark i wiele innych osób. Więc o to chodzi. Chce go zabić, ale nie za szybko i nie na odległość. To działa na jego korzyść. Może uda się do niej zbliżyć na tyle, by Hope nie spadł włos z głowy.

- Powiedz, dlaczego to robisz? - Gideon przesunął się o kolejny metr. Był nieuzbrojony, a Tabby miała nóż i pistolet, więc nawet nie kazała mu się cofnąć.

- Kogo to obchodzi? - Lily Clark trzepotała się obok jak spłoszona ćma. - Zabij ją. Nie pozwól, aby jej to uszło płazem.

Gideon rzucił okiem na Lily. Była silna. Na tyle materialna, że mogłaby manifestować swoją obecność, gdyby tylko się postarała.

- Musisz skierować lufę w bok.

- Nie licz na to. - Tabby nie zdawała sobie sprawy, że nie do niej mówi. Lily też go nie rozumiała.

- Skieruj lufę w bok - powtórzył. Lily zrobiła wielkie oczy i zadygotała.

- Mówisz do mnie?

- Tak.

Tabby wreszcie odgadła, co się dzieje.

- Masz niewidzialnego pomocnika? Powodzenia. Zabiłam wiele osób.

Czasem nawet wydawało mi się, że ich duchy mnie obserwują, ale żaden nie był w stanie nic mi zrobić. A wiesz czemu? Nie mogą. Są martwi. Kiedy już kończę z nimi, zostaje po nich kurczący się strumyczek energii. Mogą tylko wypłakiwać się przed tobą. To żalosne.

Mglista dłoń sięgnęła po pistolet, ale lufa tylko leciutko się zachybotwała.

- Nie czuję, żeby ktoś wyrywał mi broń. - Tabby wymachiwała nią jak szalona. - Widzisz? To ja jestem panią sytuacji. Żaden duch nie dotknie ani mnie, ani pistoletu. - Znowu wymierzyła w Hope. - Chcę wyssać z ciebie ostatnie tchnienie, Raintree. Do niej nic nie mam. Może umrzeć tu i teraz.

Gideon rzucił się pomiędzy Tabby a Hope, a w tym samym czasie Lily wreszcie schwyciła lufę i szarpnęła nią do góry. Seria przeszła sufit, robiąc wiele hałasu, a niewiele szkody, zanim Lily udało się wytrącić broń z ręki morderczynie.

Pistolet spadł na podłogę, odbił się i wpadł pod kanapę. Hope rzuciła się na niego jak jastrząb, a w tym samym czasie Gideon podniósł rękę i cisnął w Tabby piorunem. Z łatwością spaliłby jej serce, ale nie chciał, by umarła. Nie w tym momencie.

Jest druga bomba czy nie? Musi to wiedzieć. Elektryczny cios posłał Tabby na podłogę. Wylądowała z hukiem, ale nie wypuściła noża.

- Do diabła, co to było? - wyjąkała, gdy tylko odzyskała głos. - Nie mówili mi, że to potrafisz.

- Kim oni są, Tabby? - Jeśli nie działała na własną rękę, cała sprawa nie zakończy się tak szybko.

- Chciałbyś wiedzieć, co?

Poderwał ją z podłogi i wytrącił jej nóż z ręki. Szok elektryczny wyraźnie osłabił i oszołomił zabójczynię. Próbowiła walczyć, ale bez powodzenia. Hope zdążyła podnieść jej półautomat i przynieść swoją broń z sypialni. Stała obok Gideona i celowała w Tabby. Ręka jej nie drżała.

- Gdzie jest druga bomba? - zapytał.

Tabby uśmiechnęła się, więc poraził ją małym wyladowaniem, by jej przypomnieć, co potrafi.

- Wystarczy jeden szok elektryczny i zatrzymam twoje serce. Mogę ci usmażyć mózg. Nie myśl, że tego nie zrobię.

- Proszę bardzo. Spotka mnie gorszy los, jeśli stąd wyjdę i zostawię cię przy życiu. Zresztą i tak nas wszystkich czeka wielkie bum. Czas mija. Tik-tak, tik-tak.

- Hope, sprawdź, co słychać u pirotechników. - Gideon nawet nie odwrócił głowy. - Jeśli jeszcze nie rozbroili bomby, wynoś się z budynku.

- Sprawdzę, ale nie wyjdę stąd bez ciebie.

- Nie bądź głupia.

Hope wyszła, zostawiając Gideona samego z Tabby.

- Wzruszające - szepnęła kobieta. - Co właściwie zamierzasz, Raintree? Ożenisz się i spłodzisz gromadkę dziwołagów? Będziesz udawał, że jesteś jak każdy inny stary policjant? Powodzenia. Oboje wiemy, że to się nie uda.

- Gdzie jest druga bomba?

- Chciałbyś wiedzieć, co?

- Twoja jedyna szansa to współpraca z policją, Tabby. Rzeczywiście się tak nazywasz? - spytał niemal obojętnie.

Nie odpowiedziała. Skrzywiła wargi w dziwnym grymasie i zanim się zorientował, co zamierza, przegryzła coś ukrytego w ustach. Jej ciało zeszywniało i zadrżało, przewróciła oczami, jakby zaglądając w głąb czaszki. Parę sekund później opadła na ziemię.

Gideon zaklął i z półmartwą kobietą na rękach wypadł na schody. Niemal zderzył się z Hope.

- Mechanizm zegarowy był prosty, bomba została rozbrojona. Co się stało?

- Miała w ustach kapsułkę z trucizną. Przegryzła ją, gdy doszła do wniosku, że nie uda jej się oswobodzić. - Powinien był to przewidzieć, biorąc pod uwagę paralizujący proszek, którym sypnęła mu w oczy.

Nadal nie miał pojęcia, czy jest druga bomba. I kim są tajemniczy „oni”. Czy ktoś poza nią wie o jego paranormalnych uzdolnieniach? Może kolejny zabójca czeka za rogiem, gotów zająć miejsce Tabby?

- Umarła?

- Jeszcze nie. - Gdyby umarła, zobaczyłby jej ducha.

- Powiedziała coś?

- Nic. Nie wiemy, gdzie jest druga bomba, ani nawet czy istnieje.

Na miejscu było już pogotowie. Ratownicy rzucili się z pomocą, gdy ich trójka pojawiła się w drzwiach. Gideon nie wiedział nawet, co Tabby zażyła. Ostrzegł ekipę medyczną, że mają do czynienia z niebezpieczną osobą i należy ją unieruchomić, gdy tylko odzyska świadomość. Inaczej każdy, kto stanie na jej drodze, będzie trupem.

W tłumie zauważył jednego z wynajętych ochroniarzy.

Utorował sobie drogę, przepychając się między policjantami i gapiami. Chwycił mężczyznę za kołnierz i cisnął nim o ścianę.

- Gdzie się podziewaliście, do cholery?

- Kiedy tłum wybiegał ze sklepu, ktoś gwizdnął kobiecie torebkę - bronił się tamten. - Ona wrzeszczała, a spanikowani ludzie opowiadali coś o bombie. Straciłem głowę. Nie wiedziałem, co robić najpierw. Przepraszam.

- Gdzie drugi ochroniarz? - dopytywał Gideon. - Prosiłem o dwóch ludzi.

Chłopak, bo ochroniarz sprawiał wrażenie bardzo młodego, pobladł.

- Pogotowie zabrało Joego do szpitala. Obchodził budynek od tyłu, gdy jakaś kobieta dźgnęła go nożem w brzuch. Udało mu się dowlec do karetki. Opowiedział jeszcze policjantom, co się stało. Ratownicy pocieszali go, że z tego wyjdzie.

Gideon zdążył już ochłonąć, więc puścił chłopaka wolno. Hope rozmawiała z matką, może tłumacząc, co się właściwie stało, a może pocieszając ją jak dobra córka. Spotkali się wzrokiem. Poklepała matkę delikatnie po ramieniu i skierowała się w jego stronę.

Wziął ją w ramiona i mocno przytulił, nie dbając o to, kto na nich patrzy.

- Kocham cię - szepnął.

- Też cię kocham - odpowiedziała, jakby to było całkiem oczywiste.

Ich miłość, Emma, wspólne przeznaczenie.

Niezwykłe, jak łatwo zaakceptowała swą nową drogę, zważywszy na to, że parę dni temu deklarowała, iż nie wierzy w nic, czego nie może zobaczyć lub dotknąć.

- Chodźmy do domu - zaproponowała. - Szpital nas zawiadomi, jeśli Tabby się ocknie.

Puścił Hope i zobaczył, że duch Lily Clark wreszcie blednie i traci kontury.

- Dziękuję - powiedział pod jej adresem.

- Pomogłam, prawda? - Zjawa uśmiechnęła się nieśmiało.

- Nie poradziłbym sobie bez ciebie. Sprawiedliwości stało się zadość, ale Lily wciąż nie była gotowa na ostateczne pożegnanie.

- Dokąd idę? Jeśli ona umrze, czy trafi tam, gdzie ja?

Gideon nie musiał pytać, o kim mówi Lily.

- Nie, trafi zupełnie gdzie indziej. - Nie wiedział, gdzie i w jaki sposób, ale był absolutnie pewien, że Lily już nigdy nie zobaczy swojej morderczyni.

- Są z ciebie bardzo dumni - szepnęła zjawa na pożegnanie.

- Kto?

- Twoi rodzice. - Lily Clark zniknęła tak, jak pęka bańka mydlana, i tylko Gideon był tego świadkiem.

To jest jej prawdziwy dom. Nie apartament nad sklepem, nie dom, w którym spędziła dzieciństwo, nie mieszkanie w Raleigh.

Ledwo przekroczyli próg, ktoś zadzwonił ze szpitala z informacją, że Tabby zmarła. Wiadomo było, że zażyła truciznę, ale jeszcze jej nie zidentyfikowano. Może upłynąć trochę czasu, zanim to się wreszcie uda.

Hope zamierzała zadzwonić do laboratorium w poniedziałek rano i zmusić ich do podwojenia wysiłków w sprawie proszku, który Tabby cisnęła Gideonowi w twarz. Istnieje szansa, że trucizny są podobne.

Gideon zdawał się rozkojarzony. Kochali się w milczeniu, bez jego elektrycznych pieszczot i iskrzenia. Tylko na zakończenie rozświetlił się od środka, jakby chciał jej podarować własną prywatną zorzę.

Kiedy ciepła poświata przygasła, nadal trzymał ją w uścisku. Gdyby od czasu do czasu nie głaskał jej delikatnie, mogłaby uznać, że zasnął. Ale wiedziała, że nie śpi.

- O czym myślisz? - zapytała. - Wiesz, że możesz mi powiedzieć wszystko.

Przez dłuższą chwilę myślała, że zignoruje jej pytanie, ale wreszcie odpowiedział:

- Nigdy nie widziałem moich rodziców po ich śmierci. Wszędzie, gdzie się obróczę, widzę duchy, ale nigdy nie było wśród nich mamy i taty. Byłem na nich wściekły, że nie wrócili. Przez chwilę byłem wściekły na cały świat.

Pozwoliła mu mówić, tylko koniuszkami palców głaskała go po twarzy.

- Kiedy rodzice zostali zamordowani, zacząłem lekceważyć wszelkie zakazy. Miałem kłopoty z prawem. Pomyśl tylko, nie ma na świecie takich zamków, których bym nie otworzył, i takich systemów ochronnych, które stanowiłyby dla mnie przeszkodę. Elektryczność otwiera przede mną wszystkie drzwi. Byłbym złodziejem, którego nic nie jest w stanie powstrzymać. Niewiele brakowało, żebym poszedł tą drogą.

Ona jednak wiedziała, że Gideon nigdy nie zszedłby na manowce. Był dobry i uczciwy do szpiku kości.

- Co cię powstrzymało?

- Mój brat. Moja siostra. Świadomość, że nawet jeśli ich nie widzę, rodzice nadal mogą mnie obserwować.

- To było dawno temu, Gideonie. Czemu wracasz do tego w tej chwili?

- Lily Clark powiedziała mi, że rodzice są ze mnie dumni, jakby z nimi rozmawiała. Może tak. I ty. Pod twoim wpływem zacząłem myśleć o sprawach, z którymi się dotąd nie zmierzyłem. A Emma... Sam nie wiem, jak to ogarnąć.

- Nauczysz naszą córkę wszystkiego, czego cię nauczyli rodzice.

Niezależnie od tego, jakie będzie miała talenty, będziesz wiedział, w jaki sposób

mądrze je rozwijać. - Uśmiechnęła się przekornie. - A ja nauczę ją sztuki samoobrony i strzelania z pistoletu.

Gideon pocałował ją w odpowiedzi. Do sypialni dobiegły dźwięki muzyki. Stereo było nastawione na cały regulator. Honey i jej koleżanka, czarnowłosa wamp, wydawały wielkie przyjęcie. Słysząc było wybuchy śmiechu. Zabawa najwyraźniej się rozkręcała.

Gideon poderwał się nagle.

- Tabby powiedziała, że dzisiaj wieczorem idzie na balangę. Czy myślisz...

- Gideonie, jest sobotni wieczór. Ludzie się bawią. - Nie było informacji o eksplozji w jakimś punkcie miasta. Może Tabby blefowała.

Ale on już wciągał spodnie.

- Przespaceruję się i rozejrzę trochę, na wszelki wypadek. Mam wrażenie, że wiedziała, gdzie mieszkam. Jeśli podłożyła gdzieś bombę wcześniej w ciągu dnia, to umieściła ją pod domem.

- Idę z tobą.

- Nie. - Nachylił się i pocałował ją w nos. - Zostań. Zaraz wracam.

Hope opadła na poduszki, ale nie chciało jej się spać. Poleżała kilka minut i nie wytrzymała. Wciągnęła na siebie podkoszulkę Gideona i wyszła na dwór. Oparła się o balustradę i przez chwilę obserwowała tłum na sąsiedniej posesji. Obie kobiety udekorowały swój taras kolorowymi lampionami. Było strojnie i egzotycznie.

Wszędzie tańczyli, pili piwo, śmiali się młodzi i piękni ludzie obu płci, większość w kostiumach kąpielowych, choć nikt nie zbliżał się do wody. Hope nie dostrzegła wśród nich Gideona, ale z tego miejsca widziała tylko fragmenty domu. Nie widziała frontu ani miejsc, które Gideon zamierzał sprawdzić na wypadek, gdyby jednak Tabby podłożyła bombę.

Honey wisiała na szyi młodego człowieka z długimi włosami i zabójczą opalenizną. Brunetka również była zajęta, tańczyła z innym przystojniakiem.



Oboje byli ubrani w jakieś krzykliwe szmatki, a niedbałe fryzury były efektem wielogodzinnej pracy stylistów.

Życie tych kobiet było dla niej całkowicie egzotyczne. Czy kiedykolwiek była taka młoda? Czy tańczyła bez troski, nie interesując się niczym poza tytułem następnej piosenki na CD? Nigdy. A jednak większość tych młodych ludzi tak właśnie się zachowywała. Niefrasobliwie. Całowali się, śmiali się i tańczyli.

Może jej do szczęścia wystarcza sam Gideon - ekskluzywna prywatka dla dwojga. Chwilami aż jej się w głowie kręciło. Po raz pierwszy w dorosłym życiu czuła się tak absolutnie szczęśliwa.

W rozbawionym tłumie wyróżniała się jedna kobieta. Wysoka blondynka w kolorowej sukience, bardziej plażowej niż wizytowej. Stała samotnie na tarasie przy balustradzie. Nagle, jakby czując na sobie czyjś wzrok, odwróciła się w kierunku domu Gideona.

Na widok Hope podniosła rękę i pomachała ku niej. W Hope zamarło serce, ugięły się kolana.

Tabby.

## ***ROZDZIAŁ SZESNASTY***

Jeśli pod domem Honey znajduje się bomba, może być ukryta pod tarasem albo w garażu. Gideon obszedł dom dookoła, sprawdził garaż, zajrzał do przejścia prowadzącego w głąb domu. Potrzebował kwadransa, by się upewnić, że nie ma tu niczego podejrzanego. Może Lily Clark miała rację i cała ta gadanina o drugiej bombie była funta kłaków warta.

Gideon nie wrócił do domu, ale skierował się na plażę. Zachód słońca i krótki okres półmroku były szczególnie piękne nad oceanem, spokojnym i majestatycznym. Gdyby nie tłumek ludzi zgromadzonych na tarasie, spróbowałby doładować swoje akumulatory energią kryjącą się w wodnej otchłani.

Może któregoś dnia kupi sobie wyspę albo przynajmniej posiadłość na tyle odizolowaną od wścibskich sąsiadów, że będzie mógł pić energię z natury, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota, a żaden potwór nie odważy się zbliżyć do Hope i Emmy. To był kuszący pomysł, jednak nie wiedział, czy mógłby egzystować w ukryciu.

Wątpił w to i nie sądził, że Hope by tego chciała. Muszą nauczyć się żyć w realnym świecie, gdzie są przestępcy, złamane serca i niepewność jutra.

Skierował się do domu, gdy Honey, ubrana w bikini i chustę zawiązaną na biodrach, zamachała do niego.

- Chodź do nas!

- Nie mogę.

Ktoś jeszcze zaczął do niego machać z tarasu. Blondynka. Duch Tabby.

Wyglądała na istotę z ciała i kości. Czy to znaczy, że zagości tu na stałe? Czy będzie go nawiedzała na każdym kroku? Odsyłał w zaświaty udręczone zbłąkane dusze, ale nie miał jeszcze do czynienia z istotą złośliwą i złowrogą.

Odwróciła się i torowała sobie drogę wśród tancerzy. Zachowywała się tak, jakby unikała zderzenia z mijanymi ludźmi. Czy myśli, że jest nadal żywa?

Gideon czekał na nią na plaży. Musi znaleźć sposób, by się jej pozbyć raz na zawsze, ale nie miał pojęcia, jakich zaklęć użyć, by odesłać w zaświaty podobne monstrum.

Tabby pojawiła się tuż przed nim, uśmiechnięta w ten swój chory arogancki sposób. Umiał sobie radzić ze smutnymi zabłąkanymi duszami i wielkimi złymi facetami, ale jeszcze nie miał do czynienia z podobnym wyzwaniem.

Im bliżej podchodził do Tabby, tym bardziej dręczyło go dziwne przeczucie. Była zbyt materialna, prawdziwa. Jej stopy zostawiały ślady na piasku.

To nie jest duch.

Wyciągnęła z kieszeni mały rewolwer. Nóż znajdował się gdzieś w policyjnym archiwum, ale z taką bronią też sobie dobrze radziła.

- Zdziwiony?

- Tak. Słyszałem, że umarłaś.

- Nie na długo. Przez chwilę tak wyglądałam. Wyobraź sobie zdziwienie tych facetów, którzy jutro przyjdą robić sekcję zwłok i nie znajdą ciała.

- Gdzie jest bomba?

Skinęła głową w kierunku tarasu.

- Wśród tancerzy. Czeka na swój moment.

Nie kłamała. Zbyt wielką czerpała przyjemność z bólu innych, by zmarnować taką okazję.

- Jak długo będzie czekać?

- Niezbyt długo.

Gideon zostawił broń w domu. Nie zabierał jej ze sobą na taras, gdzie słuchał szumu fal, czy na plażę, gdy szedł na spotkanie nocnej burzy. Nie chciał paranoicznie oglądać się przez ramię, czy w ciemności nie czai się kolejna Tabby.

- Mógłbyś mnie porazić prądem, ale jak to wyjaśnisz tym wszystkim ludziom? Patrzą na nas, Raintree. Nie miej złudzeń, że coś się ukryje przed

wzrokiem ciekawskich. Tamta blondynka ma na ciebie ochotę. Zadowolili się każdym mężczyzną, którego zaciągnie do łóżka, ale tak naprawdę chce ciebie. Jest zaniepokojona faktem, że twoja nowa partnerka spędza tu tyle czasu. Jest smutna, zazdrosna i złośliwa.

- Czego chcesz?

- Tego samego co twoja sąsiadka, ale w zupełnie inny sposób. - Podniosła broń i wypaliła.

Gideon był na to przygotowany. Sekundę wcześniej odskoczył na bok. Kula przeorała mu ramię, zanim opadł na ziemię i potoczył się po piasku. Czuł klucie i pulsowanie, ale poderwał się szybko i rzucił w kierunku Tabby. Ponownie wymierzyła w niego broń.

Musiał być blisko, by ją porazić prądem bez zrobienia widowiska. W tej chwili polegał tylko na swoim amulecie. Zawsze dawał mu dodatkową ochronę. Jeszcze parę metrów i nikt postronny nie zorientuje się, w jaki sposób obezwładni Tabby.

- Gideonie!

Oboje z Tabby raptownie odwrócili się w kierunku głosu. Hope biegła po drewnianym chodniku prowadzącym w głąb plaży. Celowała w kobietę ze swojego służbowego rewolweru.

- Rzuć broń! - poleciła.

Tabby wzięła ją na muszkę i wypaliła, wściekła, że coś znowu stanęło jej na przeszkodzie. Hope odpowiedziała dwoma strzałami. I to Tabby osunęła się na piasek. Jedna kula przeszła jej pierś, druga trafiła ją w czoło. Była martwa, zanim upadła na ziemię. Gideon kopnięciem odrzucił od niej pistolet.

- Spróbuj tym razem zmartwychwstać, ty suko - wyszczała Hope jadowicie. Potem spojrzała na Gideona i powiedziała normalnym głosem: - Ty krwawisz.

Ale on nie chciał tracić czasu.

- Bomba jest na tarasie domu Honey! - zawołał.

- Zadzwońię po brygadę saperską.

- Nie ma na to czasu.

Po schodkach z plaży wbiegł na taras. Muzyka nadal grała głośno, ale goście przestali tańczyć i śmiać się po kątach. Wyglądali na przerażonych. Nikt nie widział wcześniej podobnej sceny.

- Wezwałem gliny - oznajmił jeden z gości.

- To świetnie - odparł Gideon. W tłumie spostrzegł Honey. - Czy tamta kobieta zostawiła tu jakąś paczkę?

- Powiedziała, że jest twoją znajomą, że dołączysz później...

- Co przyniosła?

Honey rozejrzała się naokoło.

- Miała ze sobą dużą torebkę. Położyła ją - przebiegła wzrokiem otoczenie - tam, przy stoliku z piwem.

Gideon rzucił się we wskazanym kierunku, złapał torebkę i popędził w kierunku wody.

- Krwawisz! - krzyknęła za nim Honey. Minął Hope stojącą obok ciała Tabby.

- Natychmiast wracaj do domu!

- Mowy nie ma, Raintree.

- Zrób to dla Emmy, nie dla mnie.

Hope z ociąganiem potruchtała w kierunku zabudowań, a Gideon już był na morskim brzegu. W miejscu, gdzie fale sięgały mu do łydek, wziął szeroki rozmach i rzucił torebką jak najdalej. Modlił się w duchu, aby ten ładunek nie był mocniejszy i bardziej skomplikowany niż pierwszy, który Tabby podłożyła w Srebrnym Kielichu. Jeśli ma tę samą moc i zasięg, są bezpieczni. Tym bardziej dotyczy to Hope i wszystkich ludzi na przyjęciu u Honey. Jeśli nie...

Nie mógł zostawić bomby unoszącej się na falach oceanu. Mogliby ją wyłowić Bogu ducha winni rybacy. Zanim torebka wpadła do wody, skierował w jej stronę potężny strumień elektryczności. Bomba eksplodowała w mgnieniu

oka. Siła wybuchu wyrzuciła Gideona z wody na morski brzeg. W ciągu sekundy było po wszystkim, jedynie jakieś strzępy unosiły się na falach.

Zanim się obejrzał, Hope znalazła się przy nim. Przykucnęła obok.

- Dobrze strzelasz - pochwalił ją.

- Dziwi cię to?

- To nie zdziwienie, tylko ulga.

Hope oparła głowę na jego zdrowym ramieniu.

- Przez chwilę wydało mi się, że widzę ducha - szepnęła. - To nie było przyjemne.

- Nie przestraszyłaś się.

- Nie. Przerażają mnie tylko amulety na płodność wiszące na mojej szyi - zażartowała. - Złapałam pistolet i zdążyłam zauważyć, że idzie za tobą na plażę.

Wokół szybko robiło się ciemno, ale lampiony na tarasie Honey dobrze oświetlały plażę.

- Jesteś świetną partnerką.

- Cały czas starałam się to udowodnić.

- Szef nas rozdzieli, gdy tylko weźmiemy ślub. Przeklęte przepisy.

- Przepisy są po to, by je łamać. Znajdziemy sposób. - Hope podniosła się i podała mu rękę.

Na plaży znaleźli się nagle policjanci i ratownicy.

- Idziemy, Raintree. Pozwolimy chłopcom opatrzeć twoje ramię, zanim przepalisz wszystkie bezpieczniki w ich aparaturze.

Policja i ratownicy zabrali ze sobą ciało Tabby, tym razem nieodwracalnie martwe. Wyjaśniono świadkom wydarzenia, co właściwie widzieli; nie było to łatwe, bo paru młodych mężczyzn zarzekło się, że z dłoni Gideona wyskoczyła błyskawica, która trafiła w torebkę. Na szczęście wszyscy oni wcześniej solidnie nadużyli alkoholu, więc nikt nie zwrócił uwagi na ich bredzenie.

Hope wciąż dygotała. Nigdy dotąd nie strzelała do człowieka. Robiła to regularnie na strzelnicy, w czasie treningów. Jednak gdy Tabby zraniła Gideona,

nie miała wyboru. Nie myślała wtedy o Emmie, małżeństwie, wspólnych nocach.

Ta psychopatka groziła jej partnerowi.

Balanga u Honey została przerwana. Hope zaprowadziła Gideona do domu i zaczęła rozbierać jego i siebie już na schodach prowadzących do sypialni. Dotknęła palcami zabandażowanego ramienia. Uleczy je dzięki wyładowaniu elektrycznemu czy pozwoli, by rana goiła się sama?

- Parę osób mnie widziało, prawda? - spytał.

- Wmówiłam im, że byli zbyt pijani, aby dokładnie widzieć, co się stało.

Pod koniec mi uwierzyli.

- Jesteś bardzo przekonująca.

- Dziękuję.

Leżeli już, gdy uniosła głowę znad jego piersi.

- Jestem umówiona na poniedziałek po południu na przesłuchanie Franka Stilesa.

- Chcesz go zmusić do przyznania się?

- Tak. Zrobiłeś swoje, teraz kolej na mnie.

Miała dryg do wydobywania zeznań z kryminalistów. Pracowali razem zbyt krótko, by to o niej wiedział, ale wkrótce mu to udowodni.

- Jakim cudem ci się to udaje? Czy dlatego, że jesteś ładniejsza niż inni detektywi, oczekujesz, że przestępcy ulegną twojemu urokowi?

- Nie. Jestem po prostu bardzo dobrą pokerzystką, Raintree. Błefuje z kamienną twarzą. Większość ludzi się na to nabiera. Dasz mi wystarczająco dużo informacji, żebym zmusiła Stilesa do gadania.

- Biedaczek nie ma z tobą szans.

- Życie nie jest sprawiedliwe.

Kiedy Gideon ją przygarnął, wtuliła się w jego pierś. Jak dobrze znaleźć się w uścisku pełnym miłości, namiętności i niespodziewanej czułości. Nie

miała pojęcia, że to tak wspaniałe uczucie, kończyć dzień w objęciach tego jedyne.

- Byłam przerażona - wyznała. - Kiedy Tabby wystrzeliła, a ty upadłeś...

- Nic mi nie jest.

- Wiem, ale... - Słowa uwięzły jej w gardle. Nie ma szczęścia pozbawionego zmartwień.

- Skoro jesteś w takim nastroju, partnerko, może ponegocjmy na temat seksu w świetle księżyca...

### ***Niedziela - 11.36 rano***

- Na szczęście dzisiaj nie uciekła nam z kostnicy - rzekł patolog, przykrywając zwłoki Tabby.

Gideon usiłował przekonać Hope, że może zostać w domu, ale to mu się nie udało. Uparła się, że będzie mu towarzyszyć.

- Zabiła ją kula, która trafiła w czoło. Druga ominęła serce i wylądowała w kręgosłupie.

Hope zbladła. Nigdy dotąd nikogo nie zabiła, ale nie czuła wyrzutów sumienia. Tabby to jedna z najpodlejszych istot, jakie w życiu spotkali. Nie zasługiwała na miejsce na ziemi.

- Co takiego chcieliście mi pokazać? - zapytał Gideon.

Nienawidził tego miejsca. Mógłby tu spędzić całe lata, a i tak nie udałoby mu się odesłać do wiecznego spokoju wszystkich pokutujących tutaj dusz.

Lekarz sądowy delikatnie odwrócił ciało.

- Nigdy nie widziałem niczego podobnego. Najpierw sądziłem, że to tatuaż, tymczasem to jakieś szczególne znamię. Sierp księżyca pod łopatką kobiety jest absolutnie doskonały. I ma niezwykły kolor. Pomyślałem, że taki znak szczególny może się przydać do identyfikacji zwłok.



Gideon zastygł jak posąg, wpatrzony w półksiężyc. Znał ten kształt i kolor.

- Do jasnej cholery - wymamrotał.

- Co się stało? - spytała Hope.

Gideon skoczył do drzwi i wyciągnął komórkę z kieszeni.

- Tabby mówiła „oni”. Bała się o własne życie, gdyby jej się nie udało mnie zabić. Miała prawo się bać. Nic dziwnego, że chciała też dopaść Echo.

- Raintree, na miłość boską, przestań mówić zagadkami!

Nie uzyskał połączenia. Zaklął, gdy znaleźli się w pełnym słońcu.

- Nazywa się Tabby Ansara. Myśleliśmy, że są pokonani.

Zdziesiątkowani i bezsilni. To wszystko zmienia.

Kiedy okrążali budynek w poszukiwaniu lepszego pola zasięgu, telefon nagle zadzwonił. Gideon usłyszał jedynie szumy i trzaski.

To był Dante. Nie słyszał go wyraźnie, ale wyłapał dwa słowa, które mu wszystko powiedziały.

Ansara.

Dom.

Zwrócił się do Hope. Kochał ją i chociaż nie znosiła sposobu, w jaki usiłował ją chronić, tym razem nie narazi jej na niebezpieczeństwo. Mowy nie ma.

- Muszę natychmiast pojechać do domu. Do kolebki naszego rodu.

Na jej twarzy odmalowała się troska, błękitne oczy wpatrywały się w niego z uwagą. Czy już jej powiedział, jak bardzo mu się podobają te oczy? Jeszcze nie. Zrobi to, gdy wróci. Ma jej jeszcze wiele do powiedzenia.

- Jadę z tobą - oznajmiła.

- Nie.

- Co ma znaczyć?

- Czekają nas tam poważne kłopoty. - Niewyobrażalne. Nie umiałby jej wyjaśnić, nawet gdyby próbował. - Chcę zapewnić tobie i Emmie bezpieczeństwo.

- Mam broń - wtrąciła. - I umiem się nią posługiwać.

Jak jej wyjaśnić, że w nadchodzącej walce pistolety będą całkowicie bezużyteczne?

- Zostań. Bardzo cię o to proszę.

Westchnęła i zaakceptowała polecenie, choć sprawiło jej to kłopot.

- Zadzwoń, gdy tylko znajdziesz się na miejscu.

- Zrobię to. - Jeśli tylko będę mógł.

- Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz mnie zabrać ze sobą - narzekała. - Opowiedziałeś mi o swojej rodzinie. Nie masz chyba nic więcej do ukrycia. - A w oczach odczytał niewypowiedziane pytanie: A może jest coś jeszcze?

Ujął jej twarz w dłonie.

- Kocham cię. Kocham cię tak bardzo, że aż mnie to przeraża. Nie spodziewałem się, że będę w stanie zakochać się bez pamięci, a jednak stało się to tak błyskawicznie, że aż mi się w głowie kręci. To ważne, żebyśmy mieli prawdziwą szansę na szczęście. Pewnego dnia zabiorę cię do mojego rodzinnego domu - przyrzekł. - Ale jeszcze nie dzisiaj.

- Nie rozumiem - szepnęła.

- Wiem i bardzo cię przepraszam. Pocałował ją i wskoczył do samochodu.

- Niech Charlie cię podrzuci do domu. Zadzwonię najszybciej, jak się da.

Zostawił Hope na parkingu. Wiedział, że nie nawykła do czekania, ale był pewien, że będzie na niego czekała. Pod tym względem nie miał żadnych wątpliwości.

Dzisiaj było letnie przesilenie. Nic nie jest dziełem przypadku. Zamach na Echo i na niego nie były przypadkowe. Ansarowie chcą zdobyć Sanktuarium, chcą osiąść jego nadprzyrodzoną moc.

Niedoczekanie.

Nadejdzie taki dzień, gdy jego żona i córka odkryją piękno i potęgę kryjące się w rodowej ziemi, w miejscu, które wszyscy z klanu Raintree określali mianem Sanktuarium. Obowiązkiem Gideona była ochrona tego miejsca za wszelką cenę, tak jak chronił Hope i Emmę.

Był to zarazem obowiązek i przywilej, a jeśli jego dziedzictwo oznaczało także konieczność obcowania ze zmarłymi, żywienie się elektrycznością i gotowość do walki, był gotów podjąć się tego wszystkiego.

Na autostradzie docisnął pedał gazu i pognał najszybciej jak się dało. Wiatr chłostał jego twarz, rozwiewał włosy. Z każdą sekundą przybliżał się do domu, a kiedy od południa nadeszła niespodziewana burza i ciemne chmury zgromadziły się nad samochodem, w promieniu wielu kilometrów nie było żywej duszy.

